

# MIGUEL DE SAAVEDRA

DON KICHOT Z LA  
MANCHY

Miguel de Cervantes y Saavedra

**Don Kichot z La Manchy**

«Public Domain»

## **Cervantes y Saavedra M.**

Don Kichot z La Manchy / M. Cervantes y Saavedra — «Public Domain»,

Alonso jest gorliwym czytelnikiem romansów rycerskich. Po wielu godzinach spędzonych na lekturze postanawia, że on również chciałby przeżyć tak wspaniałą przygodę. Bohaterowie przeczytanych książek stają się dla niego wzorami do naśladowania. Postanawia więc zmienić nazwisko na Don Kiszot, wybiera sobie damę serca, giermka, uznaje karczmę za swój zamek i na koniu wyrusza w świat, by pomagać potrzebującym i zdobywać honoru. Gdy jego przyjaciele dostrzegają, że popadł w obłąd, palą książki, które mogły wywołać w nim takie chęci, ale Don Kiszot już rozpoczyna swoje nowe życie jako błędny rycerz. Przygoda będzie obfitować w wiele interesujących, niebezpiecznych i niezwykłych zdarzeń — niekiedy ze względu na rozbudzoną wyobraźnię głównego bohatera... Don Kiszot to najśłynniejsza powieść autorstwa Miguela Cervantesa oraz jedno z najważniejszych dzieł literatury hiszpańskiej. Została wydana po raz pierwszy w 1605 roku. Imię głównego bohatera przeszło do języka potocznego jako określenie osoby tracącej poczucie rzeczywistości w pogoni za wzniosłymi ideami i celami, które chce osiągnąć.

## Содержание

Przedmowa	6
Księga pierwsza	13
Rozdział I	13
Rozdział II	17
Rozdział III	21
Rozdział IV	25
Rozdział V	29
Rozdział VI	32
Rozdział VII	36
Rozdział VIII	39
Księga druga	43
Rozdział I	43
Rozdział II	46
Rozdział III	49
Rozdział IV	53
Rozdział V	56
Rozdział VI	61
Księga trzecia	67
Rozdział I	67
Rozdział II	71
Rozdział III	75
Rozdział IV	79
Rozdział V	85
Rozdział VI	89
Rozdział VII	96
Rozdział VIII	102
Rozdział IX	107
Rozdział X	113
Rozdział XI	117
Конец ознакомительного фрагмента.	121

# **Miguel de Cervantes Saavedra**

## **Don Kichot z La Manchy**

*Don Kichot z La Manchy* – tytuł oryginału: *Don Quijote de la Mancha*; zapis i wymowa nazwiska bohatera powieści (oraz nazwa jego rodzinnego miasta, niekiedy zapisywana nawet jako: Mansza) zostały spopularyzowane w Europie za pośrednictwem fr. tłumaczenia, dlatego też pierwotne brzmienie zostało zniekształcone. [przypis edytorski]

## Przedmowa

W wiekach średnich, w owej epoce, gdy baronowie, dumni a drapieżni niby zwierzęta dzikie, napadali z kryjówek swoich na przechodniów, by ich zrabować, rycerstwo było instytucją zbawienną, ludzką i szlachetną, gdyż miało zasługę rzeczywistości, broniąc skrzywdzonych, karząc bezprawia i stając się opiekunami wdów i sierot, słabych i uciskanych. Wówczas to i poezja rycerska spełniała posłannictwo szacunkowe, opiewając czyny bohaterów prawdziwe lub urojone, gdyż w ten sposób wszystkie natury szlachetniejsze do bohaterstwa pobudzała. Jakoż tak zwane księgi rycerskie (*libros de caballeria*) wszechwładnie wówczas panowały w literaturze europejskiej. Ale wkrótce chimera zajęła miejsce rzeczywistości; wyobraźnię truverów<sup>1</sup> zaludnił świat cały czarownic, czarodziejów i olbrzymów, a miejsce idealnego kultu kobiety i miłości zajął mistycyzm uczucia, który uświęcił niemoralność. Bohaterowie romansów rycerskich posiadali wszystkie przymioty, a nadzwyczajne ich czyny przechodziły wszelką moc ludzką i wszelkie podobieństwa granice. Ta literatura fałszywa gorączkowała wszystkie umysły z krzywdą rozumu, moralności i smaku, sprowadzając rezultaty najopłakańsze. Moralisci, kaznodzieje i prawodawcy, rozumiejąc dobrze niebezpieczeństwo, szukali środków przeciw chorobie i usiłowaniami swoimi popularność ksiąg rycerskich podkopywali. Już w w. XV *libros de caballeria* zaczęły tracić dawne znaczenie. Pomyślność, którą za Karola X zdobył naród hiszpański, sława wojenna, odkrycie Ameryki, która otworzyła pole do nowych przygód, pozytywniejszych, niżeli opiewane w księgach rycerskich, stosunki Hiszpanów z innymi krajami, zwłaszcza z Włochami, gdzie już panowały nowe prądy, a wreszcie częste przygody rzeczywiste, których doświadczali jeńcy na ziemi nieprzyjacielskiej – oto główne przyczyny stopniowego upadku ksiąg rycerskich. Nowemu życiu i zmianom obyczajów narodu odpowiadała bardziej nowa forma fikcji literackiej – nowela bądź to pasterska (*novela pastoril*), bądź tak zwana łotrowska (*novela picaresca*). Grunt więc do ewolucji był już należycie przygotowany i jedno tylko uderzenie potężne w zmurszałą budowę ksiąg rycerskich mogło ją zupełnie unicestwić. Dokonał tego Cervantes, znalazłszy lekarstwo na chorobę: – śmieszność; po Don Kichocie romans rycerski znikł zupełnie zarówno w Hiszpanii, jak w Europie.

Miguel de Cervantes Saavedra urodził się w Alcalá de Henares r. 1547. O dzieciństwie jego to tylko wiemy, że był ukochanym uczniem słynnego humanisty Lopeza de Hoyos i że od najwcześniejszych lat życia miał szczególne zamiłowanie do poezji, spotęgowane jeszcze w małym chłopcu czytaniem romansów rycerskich. Pierwsza praca Cervantesa, **epitafium** na śmierć królowej Izabelli de Valois, napisane w formie sonetu, jest niejako posępnym wykładnikiem ciernistej drogi jego życia. W r. 1570 spotykamy poetę w Rzymie, gdzie, żądny poznania obcych krajów, wyjechał jako sekretarz kardynała Juliusza Aquavivy, który był w Madrycie z misją specjalną od Papieża. W roku następnym zaciągnął się jako ochotnik do wojska **Świętej Ligi**, mającego wojować z Turcją. Pełen wiary i zapału, okazał w walce odwagę nieustraszoną, a w bitwie pod Lepanto ciężko ranny, otrzymał od zwycięskiego Don Juana pochwałę razem z podwyżką żołdu. Jeszcze przed zabliznieniem ran otrzymanych uczestniczył w zdobyciu Tunisu, do którego wszedł z markizem de Santa Cruz, a następnie do r. 1575 pełnił służbę we Włoszech. Wreszcie, zateśkniwszy za krajem, rodzicami i przyjaciółmi, Cervantes pospieszył na statku do Hiszpanii, lecz w drodze był przez korsarzy algierskich wzięty w niewolę.

Wódz ich, Mami, wnosząc ze znalezionych przy Cervantesie listów rekomendacyjnych Don Juana austriackiego do króla o wysokim stanowisku jeńca, okuł go w kajdany i trzymał w ciemnym więzieniu, pewny, że otrzyma wykup bogaty. Pomimo prób ucieczki, ponawianych nieustannie z odwagą bezprzykładną i pomysłowością prawdziwie romantyczną, musiał Cervantes spędzić w

---

<sup>1</sup> *truwer* (z fr.) – w średniowieczu, w płn. Francji poeta i kompozytor tworzący poezję epicką (epikę rycerską) oraz lirykę miłosną.  
[przypis edytorski]

ciężkiej niewoli pięć lat rozpacznych najpiękniejszego wieku swego życia, pomimo, że bohaterstwem swoim nawet wśród ciemieźców cześć budził. Wszelako poeta zachował w tej ciężkiej dobie spokój filozoficzny i pogodę ducha, ciesząc się nawet, że przeszedł szkołę „cierpliwości wśród udręczeń”. Wszystkie męczarnie, jakie wycierpiał, wszystkie bóle tęsknoty za ojczyzną wytworzyły w jego duchu potężnym pierwsze zarody szczytnego malowidła wytrwałych zapasów człowieka z losem, nieustannej walki ze złymi, która jest treścią największego utworu Cervantesa. Usunąć z życia poety te pięć lat cierpienia – mówi Benjumea<sup>2</sup> – jest to poderwać jeden z najgłówniejszych korzeni, które dostarczały życia, barwy i soków dla jego kreacji nieśmiertelnej. Wypadki w Algierze zaczynają tworzyć w szlachetnym sercu i poetycznej wyobraźni Cervantesa ową cudowną optykę, ów sposób obserwowania rzeczy i ludzi, obejmujący świat kontrastów nadzwyczajnych, jakie istnieją pomiędzy iluzjami poetycznymi a rzeczywistością smutną, między zuchwalstwem i wielkością pragnień a karłimi rozmiarami środków.

Wykupiony nareszcie w r. 1580 za sprawą siostry szlachetnej, która skromny swój posąg złożyła na cel ten w ofierze, Cervantes, z powodu śmierci ojca, znalazł się w nędzy zupełnej razem z rodziną i to go zapewne skłoniło do wzięcia udziału w wyprawie wojennej Markiza de Santa Cruz do Portugalii w r. 1581. Po powrocie do kraju, zmuszony do pracy na chleb powszedni, zaczął pracować dla teatru, któremu oddał około trzydziestu sztuk dramatycznych. Komedia Cervantesa, pisane w kierunku narodowym, jak: *Los tratos de Argel* (*Życie w Algierze*), gdzie maluje smutny stan jeńców chrześcijańskich, a w niewolniku Saavedra przedstawia siebie, *El gallardo Español* (*Zuch hiszpański*), *La Sultana*, *El Rufian dichoso* (*Faktor szczęśliwy*) i inne, są w ogóle bardzo słabe i nie przedstawiają żywszego interesu<sup>3</sup>. O wiele wyżej stoi tragedia klasyczna tego pisarza *La Numancia*. Pomimo trudności przedmiotu, który przedstawia katastrofę miasta Numancji, autor stworzył dzieło nie wolne wprawdzie od usterek bardzo poważnych, ale utrzymane w tonie podniosłym, oraz pełne epizodów pięknych i natchnionych.

Najlepiej wszakże udały się Cervantesowi *entremesses* (międzyakty), pełne życia, humoru i plastyki. Takie komedjki, jak: *Los habladores* (*Gaduły*), *La election de los Alcades* (*Wybór sędziów*), *El viejo celoso* (*Stary zazdrośnik*), *La guarda cuidadosa* (*Straż czujna*) i *La cueva de Salamanca* (*Piwnica w Salamanca*) będą miały zawsze swoją wartość.

W r. 1584 napisał Cervantes nowelę pasterską p. t. *Galatea*, utwór słaby, pełen wierszy lichych, przesady i komplikacji epizodów niczym ze sobą niepowiązanych.

Zniechęcony niepowodzeniem materialnym poeta, niedawno ożeniony z panią biedną, musiał szukać zajęcia zyskowniejszego i teraz to właśnie rozpoczyna się dwudziestoletni okres jego życia, w którym Cervantes, zajęty interesami komisowymi, zdawał się być ofiarą najzupełniejszej martwoty ducha. A przecież w tej beczynności pozornej umysł poety nie próżnuje. Rodzaj nowych zajęć daje mu sposobność studiowania ludzi w ich zwykłym życiu, przyjrzenia się charakterowi, obyczajom i występkom ludu, wnikięcia w zawiłą labirynt interesów drobnych, walk nędznych, ambicji niskich i poziomych sprężyn wszelkich uczuć. Te lat dwadzieścia uważnych studiów nad człowiekiem w wieku bystrej przenikliwości i poważnego nastroju ducha nie były czasem prześnionym, lecz ustawiczną działalnością, w której przed badawczym wzrokiem Cervantesa przesuwają się obrazy wszystkich instynktów i namiętności, wszystkich stron ujemnych i występków, nurtujących w łonie tego społeczeństwa, które później geniusz poety z takim mistrzostwem odtworzył. Wśród tedy zajęć najprozaiczniejszych i „w milczeniu zapomnienia” (*el en silencio del olvido*), jak mawiał później, kształtował się utwór Cervantesa, który genialnością swoją miał światu całemu zaimponować.

<sup>2</sup> Benjumea, Nicolás Díaz de – jeden z dziewiętnastowiecznych krytyków literatury, którego neoromantyczna interpretacja dzieła Cervantesa oraz badania jego biografii wywarły znaczący wpływ na recepcję *Don Kichota*. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> przedstawiać żywszy interes – budzić żywsze zainteresowanie. [przypis edytorski]

Dostawszy się w r. 1597 do więzienia za sprzedanie, korzystne zresztą i zupełnie usprawiedliwione, partii zboża bez specjalnego upoważnienia władzy, rychło uwolniony, na próżno starał się u króla o właściwsze dla siebie stanowisko, aż wreszcie wyjechał do Walladolid, gdzie za sprawę, w której żadnego nie brał udziału, znów został aresztowany r. 1605.

W tym roku właśnie i w tymże mieście wyszła część pierwsza nieśmiertelnego *Don Kichota*, która w kilkunastu miesiącach miała pięć wydań. Pomimo tego, Cervantes, osiadłszy r. 1609 w Madrycie, żył tu w nędzy zupełnej. Roku 1613 wyszły *Nowele przykładowe* (*Novelas ejemplares*). Bogata inwencja, oryginalność charakterów, różnobarwność sytuacji, wdzięk opowiadania, prawdziwe poczucie natury, delikatna analiza serca ludzkiego, język mistrzowski – oto strony wybitne tych utworów. Jest ich dwanaście: w jednych przeważa humor i satyra, w innych uczucie głębokie i poezja, wszystkie zaś dlatego noszą miano „przykładowych”. ponieważ w nich, podług słów autora, „nawet sceny miłosne są tak uczciwe i chrześcijańskie, że nie mogą rozbudzić złej myśli w czytelniku, gdyż w przeciwnym razie raczej bym (mówi autor) uciął sobie rękę, którą pisałem, niżeli pokazał je światu”.

W *Licencjacie Szklanym* (*El Licenciado Vidriera*) bohaterem jest młody człowiek wielce utalentowany, który przez szkodliwy napój miłosny uległ szczególnemu przywidzeniu, że jest szklany i przy każdym zetknięciu się z jakimś przedmiotem drżał z obawy. Poza tą manią posiadał umysł trzeźwy i bystry, a cały interes noweli spoczywa właśnie na dowcipnych i trafnych odpowiedziach, które daje tłumowi, ustawicznie otaczającemu licencjata. W odpowiedziach tych jest dużo ostrej krytyki przeciwko ówczesnym przesądom, zakorzenionym w życiu i w polityce. – *Rozmowa dwu psów* (*Coloquio de los perros*) jest nowelą pełną prawdy i gryzącego humoru, który zwraca się głównie przeciwko ówczesnym zabobonom, panującym wówczas we wszystkich warstwach społeczeństwa hiszpańskiego. *Hiszpanka w Anglii* (*La española inglesa*) jest historią młodej dziewczyny, porwanej z Kadyksu do Anglii i sprowadzonej następnie do Sewilli, gdzie po życiu burzliwym znajduje spoczynek i pociechę w skromnym domku.

W *Kochanku wspaniałomyślnym* (*El amante liberal*) autor odtwarza wypadki z własnego życia w Algierze. *Zazdrosny Estramadurczyk* (*El geloso Ektrámeño*) *Małżeństwo zwodnicze* (*El casamiento engañoso*) i *Ciotka mniemana* (*La Tia fingida*) są nowelami o treści wydartej z życia andaluzyjskiego i noszą na sobie wszystkie cechy rdzennie miejscowe. Ostatnia nie odznacza się wcale „przykładnością”. Ten sam charakter mają nowele: *Rincanete y Cartodillo* oraz *La Gitanilla* (*Cyganka*). W pierwszej z nich autor przedstawia historię dwu młodych nicponiów, którzy zaprzyjaźnieni na wielkim gościńcu, porozumiewają się prędko i tworzą związek ku eksploatacji swoich talentów łotrowskich. Autor znakomicie scharakteryzował tu mieszaninę przewrotności i dewocji, praktyk pobożnych i czynów podłych, ten spokój sumienia w zbrodni, ową metodę w morderstwie i łupiestwach, która cechowała opisywanych bohaterów, przekonanych o swojej uczciwości. *Cyganka* jest obrazem świetnym, opartym na studiach z natury. Tyle uroku i poezji wlał Cervantes w swą bohaterkę, że kopiowali ją później różni poeci, nie wyłączając takich tytanów, jak Victor Hugo. Do „noweli przykładowych” należą jeszcze: *Las dos doncellas* (*Dwie dziewczyny*), *La illustre Fregona* (*Słynna pomywaczka*) i *La Señora Cornelia*.

W r. 1614 wydał Cervantes *Podróż na Parnas*, dość słabą satyrę na ówczesnych poetów, a w roku następnym ukazała się druga część *Don Kichota*. – Ostatnia praca powieściowa Cervantesa, wykończona już na łożu śmierci, nosi tytuł *Trabajos* (przygody) *de Persiles y Segismunda*. Autor uważał ten utwór za najlepsze swe dzieło, a krytyka musi je uznać za najsłabsze. Poeta opowiada w tym romansie, pisanym na modłę grecką, historię cierpień Perfilesa, syna monarchy islandzkiego, oraz Zygmunty, córki króla Frieslandu. Ta para kochanków odbywa pielgrzymkę po Portugalii, Hiszpanii, Włoszech, a doświadczywszy tysiąca przygód nieszczęśliwych, wypadków rozbicia okrętu, rozłączeń i katastrof, dostaje się wreszcie do Rzymu, gdzie błogosławieństwo Kościoła ostatecznie kochanków połączyło. Nie brak i w tym dziele pięknych obrazów i świeżej, twórczej fantazji, ale pstrokaczna scen i wypadków nieujętych w ramy artystyczne, nuży czytelnika i zniechęca.

Żyjący w ciągłym niedostatku i zapomniany aż do śmierci, Cervantes umarł 23 kwietnia 1616 r. Całe jego życie było jednym pasmem zgrzyot, borykań się z losem, zawodów i rozczarowań. Śmierć poety przebrzmiała niepostrzeżenie i nawet dziś nie wiadomo, gdzie się znajdują kości największego z pisarzy Hiszpanii. Potomność dopiero wynagrodziła sławą olbrzymią nieśmiertelnego twórcę *Don Quijota*, który to utwór w edycjach niezliczonych przeszedł do wszystkich literatur świata i jest ciągle przedmiotem sporów, krytycznych studiów i rozpraw. Ze wszystkich pisarzy Hiszpanii Cervantes jest dziś najwięcej wśród swoich komentowany i rozbiegany, zwłaszcza od wyjścia pierwszej pracy krytycznej Navarrette'a, ogłoszonej w r. 1819 przez królewską akademię hiszpańską. W ostatnich czasach<sup>4</sup> zawiązało się nawet w Kadyksie, za sprawą Ramona Maineza, Towarzystwo Cervantesowe z czasopismem *Cronica de los Cervantistas*, które wyłącznie studia nad Cervantesem ogłasza.

Brylantem najczystszej wody w koronie zasług pisarskich Cervantesa jest *El ingenioso hidalgo Don Quijote de la Mancha*. – W całej literaturze naszej – mówi Garcia – nie ma ani jednej książki, która by się cieszyła taką popularnością. Od chwili wyjścia była ona podziwem swoich i obcych, była, a jest i ciągle, najpiękniejszym klejnotem naszego narodu i żyć będzie tak długo, dopóki przetrwa język hiszpański, którego jest skarbem nieocenionym. Aby dać pojęcie o popularności *Don Kichota* w kraju i zagranicą, wystarczy przytoczyć cyfrę wydań tego utworu. W Hiszpanii wydano go przeszło 400 razy, w Anglii przeszło 100, we Francji 169, we Włoszech blisko 100 razy i w tym stosunku, we wszystkich językach europejskich razem z górą tysiąc wydań. W języku polskim całkowite przekłady wyszły dwa: Podoskiego (1786) i Zakrzewskiego (1855). Ten ostatni właśnie, już dziś całkowicie wyczerpany, podajemy czytelnikom „Biblioteki”.

Nie wiadomo, kiedy Cervantes rozpoczął swoje arcydzieło, pomimo, że jak sam mówi: „zrodziło się ono w więzieniu”. (*se engendro en una carcel*), to tylko pewna, że ogłoszeniem części pierwszej (1605) poeta położył koniec dwudziestoletniemu okresowi milczenia, o którym wyżej wspominaliśmy.

Mało jest książek, które by tak często i tak różnorodnie były komentowane, a są całe zastępy krytyków, którzy szukając *un sentido oculto* (znaczenia ukrytego) w *Don Kichocie*, dochodzili w rozumowaniach swoich do absurdów. Do tych zaciekań dialektycznych dała głównie powód przypisywana Cervantesowi książka p. t. *Buscapié*, ogłoszona w r. 1858 przez Adolfa de Castro. Jest to jakby rodzaj klucza do zrozumienia ciemniejszych stron *Don Kichota*. Dopiero gdy nowsi krytycy, a zwłaszcza La Barrera, Gayangos oraz Vedia, udowodnili, że ów klucz mniemany jest prostym falsyfikatem, dawniejsze łamigłówniki erudytów ustąpiły miejsca trzeźwieszym na utwór poglądom.

Bądź co bądź, jedni z krytyków twierdzą, że w *Don Kichocie* istnieje tendencja polityczna, a nawet i religijna, inni, że w utworze swoim autor chciał odzwierciedlić całą ludzkość; są tacy, którzy w nim widzą satyrę na przedsięwzięcia Karola V, inni zaś pół-biografię Cervantesa, a nawet zemstę jego na sąsiadów z Argamasili (gdzie poeta był uwięziony), a także szyderstwo, skierowane do księcia Mediny Sidonia lub Blanea de Paz, dominikanina, wroga poety. Nie koniec na tym. W *Don Kichocie* widziano wizerunek szlachty w owej epoce, a w Sancho Pansie – plebejuszów, a wreszcie utrzymywano, że Cervantes, wyprzedzając pojęciami epokę swoją, piętnował jej nadużycia, a zwłaszcza nietolerancję i despotyzm. Na domiar tego wszystkiego, D. Antonio de Morejon, lekarz Ferdynanda VII, w dziele bardzo poważnym, obejmującym całokształt historii medycyny hiszpańskiej, poświęca jeden cały ustęp Cervantesowi, który, jakoby w *Don Kichocie* ze szczególną precyzją opisał rodzaj szaleństwa zwanego powszechnie monomanią. Gdy na koniec w ekstazie nad *Don Kichotem* Mor de Fuentes nazwał Cervantesa *el ilustrador del genero humano*<sup>5</sup>, wówczas podniosła się i reakcja, a między innymi uczony pisarz Valera nazwał zdanie powyższe niedorzecznością.

<sup>4</sup> w ostatnich czasach – sformułowanie to odnosi się do czasu powstania niniejszej przedmowy; dokładnie chodzi o rok 1872. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *el ilustrador del genero humano* – ilustrator rodzaju ludzkiego. [przypis edytorski]

Czymże więc jest ów *Don Kichot*, który tyle wywołał sporów i który dotychczas nie stracił na wartości?... Romansem opowiadającym dzieje szlachcica z Manchy, który pod wpływem fantazji, rozkołysanej czytaniem ksiąg rycerskich, śpieszy w świat z giermkim swoim, aby wśród tysiącznych przygód i niebezpieczeństw bronić niewinności, cnoty i prawa. Gdy jednakże ów maniak szlachetny, w egzaltacji z obłędem graniczącej, bierze zwykłe chaty za zamczyska, pospolite dziewczki za księżniczki, wiatraki za olbrzymów, a barany za wojska; gdy żądny walk bohaterskich atakuje rzeszę bezbroną, a wyswobadza z kajdan galerników w mniemaniu, że są ofiarami niewinnymi – doświadczać musi całego szeregu przygód zarówno komicznych, jak dramatycznych, które składają się razem na wielce interesującą i różnobarwną treść *Don Kichota*. Czy cel, czy tendencja utworu jest trudna do odgadnięcia? Bynajmniej – w tym względzie własne słowa poety najmniejszej nie pozostawiają wątpliwości. W prologu Cervantes wyraźnie mówi, że pragnął tylko „obalić znaczenie i popularność, jaką zdobyły w świecie księgi rycerskie”, a przy zakończeniu części drugiej dodaje: że „miał jedyny zamiar obrzydzić ludziom urojone i niedorzeczne historie ksiąg rycerskich” (*poner en aborrecimiento de los hombres las fing i das y disparatadas historias de los libros de caballerias*).

Cervantes, pełen zapału poetyckiego i rycerskiego, żądny sławy, zdobytej na arenie czynów szlachetnych, mściciel skrzywdzonych i żarliwy obrońca nieszczęśliwych, w ciągu żywota pełnego cierni i rozczarowań patrzeć musiał na rzeczywistość, która marzeniom jego kłam najsmutniejszy zadawała. Wówczas rozum, dojrzały w ciężkim doświadczeniu, ukazując mu poziomą, nędzną stronę życia w przeciwieństwie do rojeń wspaniałych wyobraźni, widzącej wszystko w świetle zwodniczym, odarł z iluzji duszę poety i zmusił go do wypowiedzenia prawdy narodowi.

Gdy Hiszpania zasnęła w powodzi bajań błędnych rycerzów, Cervantes, uleczony z szaleństw, które kiedyś i on pochłaniał, zapragnął wiek swój ratować z manii niebezpiecznej. Parodiował on nie uczucia rycerskie, lecz tylko rodzaj literatury, opartej na chorobliwości i na fałszu, a będącej w owym czasie anachronizmem. W rycerzu z Manchy są tylko śmieszne jego czyny, ponieważ rzeczywistość marzeniom rycerza nie odpowiada; i stąd halucynacja, która mu każe przedmioty, niezgodne z wyrobionym o nich pojęciem, uważać za przekształcone przez czarodziejów, wskutek czego pada w ekstazie przed prostą dziewczką, czcząc w niej piękną Dulcyneę, którą czarnoksiężnicy okradli z wdzięków nieporównanych. Lecz jeżeli czyny bohatera są śmieszne, charakter i uczucia jego budzą uznanie najzupełniejsze. Ma on wszystkie cnoty: dobroć, szlachetność, prawość, czystość i wierność, a nawet słowa jego, kiedy nie idzie o rycerstwo, są zawsze rozumne, wymowne i słuszne. Don Kichot więc jest postacią zupełnie sympatyczną i w każdym sercu budzi współczucie niekłamane.

Gdybyśmy jednak znaczenie romansu Cervantesa zredukowali jedynie tylko do satyry, wówczas niesłychana popularność tej książki nie dałaby się niczym usprawiedliwić. *Don Kichot* jako satyra, byłby dziś dla nas tak obojętny, jak owe księgi rycerskie, które ośmieszał.

Otóż poeta w dziele swym dotyka kwestii tworzących szereg problemów, które wy wpływają odwiecznie na powierzchnię wieków, stanowiąc interes<sup>6</sup> całej ludzkości, przedmiot zaciekań nieustannych, stałą materię filozofii. Stąd owa żywotność i nieśmiertelność *Don Kichota*. Tytaniczna walka człowieka z przeciwnościami życia i z urąganiem namiętności, szalejących we własnej jego piersi, była dotąd, a i będzie zawsze, najszczytniejszą treścią dla geniuszów. Lecz malować ten sam przedmiot, wywracając porządek jego i granice umiał tylko Cervantes, którego oryginalność zasadza się właśnie na owym żywiole subiektywnym, na owym indywidualnym pryzmacie, przez który spoglądał ten poeta na zawiłą treść życia ludzkiego. Treść ta jest przedstawiona w *Don Kichocie* zgodnie z wypadkami życia jego twórcy, który pomimo całej energii swego ducha i niepospolitych zalet umysłu, żadnego z pragnień swej duszy urzeczywistnić nie zdołał. Aby stworzyć takie arcydzieło, musiał poeta zamalgamować<sup>7</sup> najszczytniejszy idealizm z realizmem najbrutalniejszym, najczystsza kontemplację ducha z najbrudniejszym cynizmem namiętności, ułudę świetlnych iluzji z gorzkim

<sup>6</sup> *interes* – tu: przedmiot zainteresowania. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *zamalgamować* – złączyć. [przypis edytorski]

doświadczeniem życia, gorące pragnienie dobra z dążnością skalaną do występków; musiał poeta bratać i kojarzyć nieustannie szczerość z obłudą, interes z abnegacją, chciwość z marnotrawstwem, czystość ze zmysłowością, odwagę z tchórzostwem, to jest wszystkie sprzeczności w walce, najskrajniejsze żywioły w opozycji; ponieważ z tego przeciwstawienia i z tej walki miał wytrysnąć komizm bez uszczerbku dla charakteru podniosłego przewodniej myśli. I w tym właśnie zestawieniu mistrzowskim żywiołów wrogich tkwi największy interes dzieła<sup>8</sup> i jego znaczenie wszechludzkie.

Przy boku najidealniejszego z ludzi postawił autor nieodstępny towarzysza Sancho Panse. Oba stają na krańcach przeciwległych natury i usposobień, oba nieustannie walczą z sobą, jak duch z materią, a przecież jeden bez drugiego żyć nie może. I kochają się, i kłócą, i szukają wzajem, jak gdyby każda z tych istot była integralną częścią drugiej; jest to malowidło najwierniejsze połączenia i walki dwu naturalnych, składowych żywiołów człowieka. Nie ma czytelnika – mówi Baret, który by w czynach i mowach Don Kichota i jego giermka nie odnalazł ścisłych objawów natury ludzkiej oraz wizerunku własnego życia dwu czynnikom ogólnym podległego: wyobraźni, która wyolbrzymia przedmioty, upiększa i barwi w pryzmacie złudzeń – i zdrowym zmysłem, które ograniczają wszystko do zwykłych granic, rozpraszają wszelkie iluzje, ukazując nam rzeczywistość zimną, nieubłaganą. Don Kichot interesuje nas przez egzaltację samą, to jest ową dążność idealną swego umysłu, a nade wszystko przez owe przygody najrozmaitsze, które w tym idealizmie mają swe źródło. Współczujemy żywo z tym marzycielem nieprzepartym, bo każdy z przeszłości dobrze pamięta analogiczny stan swego ducha, tę samą dążność, której ulegał, te same rozczarowania. Któż w życiu nie brał wiatraków za olbrzymów, to jest nie potęgował siłą wyobraźni przeróżnych kwestii, ludzi i rzeczy?!

Sancho budzi interes<sup>9</sup> jako przeciwieństwo krańcowe swego pana, przez trzeźwość swojej natury i przez prostotę swych zdrowych zmysłów. Symbolizuje on skutki tych przemian, jakie się w człowieku dokonywają, gdy czas i doświadczenie przekształci nasz umysł, zmuszając go do patrzenia z chłodem na to wszystko, co kiedyś pochłaniał z gorączką i entuzjazmem.

– Panie Don Kichocie – woła Sancho, widząc, jak pan jego w pełnym galopie Rosynanta rzuca się na stado baranów, przekonany, że to jest wojsko – wracaj pan, przez Boga, toż pan atakuje owce i barany. – Czytelnik, śmiejąc się, bieży myślą do owych czasów, gdy wyobraźnia zaludniała mu umysł wizjami już dzisiaj rozproszonymi. Któż kiedyś nie potrzebował – dodaje Baret – i komu nie przydałby się ów giermek Sancho z okrzykiem: dokąd biegniesz, panie?!... To malowidło w akcji, wyższe od tylu mniemanych analiz psychologicznych, ten obraz alegoryczny przeciwieństwa dwu władz zasadniczych życia ludzkiego, ta myśl głęboka, ukryta z takim wdziękiem pod przejrzystą zasłoną bajki, stanowi przyczynę główną olbrzymiej popularności Don Kichota.

Wszędzie tu widzimy człowieka ze wszystkimi jego sprzecznościami, z jego logiką chwiejną, z jego falowaniem ustawicznym pomiędzy prawdą a fałszem, rozumem a wyobraźnią, pomiędzy idealizmem a prozaizmem, między zapałem a rozważą. Na tym właśnie polega niespożyta wartość utworu, gdyż tło jego – człowiek, nie zmienia się wcale, a historia o Don Kichocie powstała z obserwacji autora nad rdzeniem samej ludzkości.

Stąd też płynie i rzewność owej ironii, ów żywioł melancholijny, który u Cervantesa powstał z poglądu jego na dolę ludzką, z mieszaniny nicestwa i wielkości, będącej treścią naszej natury, z kontrastu między wielkością pragnień a ograniczonością środków człowieka. Ta ironia jest skargą szczytną, pod tym komizmem drgają łzy. Jest to skarga wielkiego geniusza – poety, umysłu rozkochanego w ideale, a zmrożonego prozaicznością życia.

W kreśleniu charakterów był także Cervantes mistrzem prawdziwym. Przede wszystkim Don Kichot i Sancho są tak żywi, tyle posiadają indywidualności wyrazistej, że stają na wyżynie typów wszechludzkich. Okrom tego, obie postacie, przy wszystkich stronach ujemnych, są wszędzie na wskroś sympatyczne. Don Kichot jest nim nawet w szaleństwach swoich, gdyż działa z pobudek

<sup>8</sup> *największy interes dzieła* – tu: najbardziej interesujący aspekt dzieła. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *interes* – dziś: zainteresowanie. [przypis edytorski]

czystych i podniosłych, przejawiając wyższość moralną swej natury. Toteż ostatnie chwile bohatera wywołują u czytelników łzy rozrzewnienia. Sancho jest także dobry w gruncie, zdolny do uczucia i abnegacji, i nie wszędzie towarzyszy panu przez wzgląd na interes własny i egoizm, przejawia bowiem nieraz prawdziwe do niego przywiązanie, chociaż w ogóle działa pod wpływem pobudek egoistycznych. Wyobraża on zmysłowość praktyczną, nieświadomą wszelkich ideałów, lecz działającą ujemnie przez ciemnotę raczej niż zepsucie.

Dwie te postacie są dwiema połowami istoty ludzkiej, które rozłączone biegną w przepaść, a w spójni zdobyć się mogą na wielkie czyny. Jeden jest wcieleniem fantazji i uczucia bez doświadczenia i rozumu, drugi prozaicznością uosobioną bez idealizmu i zapału. Dwa te skrajne bieguny antytezy są dobre i sympatyczne w tym, co twierdzą, a fałszywe i śmieszne w tym czemu przeczą. Don Kichot ma słuszość, dążąc do urzeczywistnienia sprawiedliwości, myli się jednak, gdy mniema, że wysiłek indywidualny i włóczęga wystarczą do takich celów i że to w wieku XVI było możliwe.

Sancho ma również słuszość, żartując ze szczerości swojego pana i zalecając roztropność, lecz jest w błędzie, gdy zasadę życia widzi tylko w interesie własnym i żadnych ideałów nie uznaje. Ponad tą antytezą istnieje także i synteza, o której zapewne Cervantes nie myślał wcale, która jednak przebija wyraźnie z drugorzędnych osób utworu. Z syntezy tej, będącej niejako lekcją moralną, wypływa jasno, że człowiek powinien mieć idealizm szlachetny Don Kichota w połączeniu z rozważą roztropną Sancha, lecz bez ślepoty dziecinnej pierwszego i bez grubych instynktów egoistycznych drugiego z tych bohaterów. W *Don Kichocie* autor potępił nie miłość ideału lub zdrową praktyczność życia, lecz skrajne wyosobnienie obu pierwiastków. Dulcynea jako uosobienie ideału nieznanego, ku któremu dąży zbłąkana myśl idealisty, proboszcz i cyrulik, reprezentanci praktyczności, jak i Pansa, Samson Karasko, krytyk drwiący z idealisty szalonego, jednym słowem, wszystkie postacie romansu mają krew i ciało, drgają wszędzie życiem prawdziwym.

W rezultacie więc *Don Kichot* jest z jednej strony krytyką ksiąg rycerskich i feudalizmu rycerskiego, dokonaną pod wpływem Odrodzenia, z drugiej zaś bezświadomym odtworzeniem walki odwiecznej idealizmu z materializmem i krytyką skrajności obu żywiołów. Budowa utworu o tyle jest prosta, o ile oryginalna i brak jej tylko jednolitości. Istnieje ona w założeniu samym, ale nie w akcji, z którą nie wszystkie wypadki i epizody są należycie zespolone; niektóre zaś tak są obszerne, iż stanowią powieść w powieści, jak np. nowele *El curioso impertinente* lub *La historia del cautivo*. Mimo tego jednak różnorodność przygód i wypadków, żywa oryginalność w ich przedstawieniu, a nade wszystko humor nieporównany i świetna charakterystyka osób trzyma na uwadze czytelnika od pierwszej do ostatniej strony romansu, którego część druga, podług wielu krytyków, jest nawet lepsza od pierwszej.

Gdy nieszczęśliwy bohater spod Lepanto był zajęty pisaniem części drugiej swego arcydzieła, do rąk jego doszła książka pt. *Segundo tomo del ingenioso hidalgo Don Quijote de La Mancha*, którą autor nieznanego, pod pseudonimem Alonso Fernandes de Avellaneda wydrukował w Taragonie, znęcając się nikczemnie w prologu do swego dzieła nad Cervantesem i przedstawiając go jako współzawodnika i wroga Lope de Vegi, słynnego komediopisarza hiszpańskiego.

Wielki pisarz zapłacił napastnikowi świetną satyrą w drugiej części swego *Don Kichota*, który całkiem zaćmił książkę nieznanego do dzisiaj autora, pomimo że napisana była nie bez talentu.

J. A. Świącicki.

# Księga pierwsza

## Rozdział I

W którym opisane są stan i zajęcia wielce słynnego hidalga <sup>10</sup> Don Kichota z Manchy.

W mieście pewnej, prowincji Manchy, której nazwiska nie powiem, żył niedawnymi czasy hidalgo<sup>11</sup> pewien, z liczby tych, co to prócz spisy<sup>12</sup> u siodła, szablika starego, szkapy chudziny i paru gończych, niewiele co więcej mają. Rosolina powszednia, z baraniny częściej niż z wołowiny wygotowana na obiad, bigosik z resztek obiadu prawie co wieczór na kolację, co piątek soczewica, co sobota jaja sadzone po hiszpańsku, a na niedzielę gołąbeczek jakiś w dodatku do codziennej stawy, zjadały mu corocznie trzy czwarte części całego dochodu. Reszta szła na przyodziewek: na opończę z sukna cienkiego, hajdawery aksamitne z takimiż łapciami i na świtkę<sup>13</sup> z krajowego samodziąłu dobornego, którą się w powszednie dni tygodnia obchodził. Miał on przy sobie ochmistrzynię, która, choć się do tego nie przyznawała, na czwarty krzyżyk dobrze już nastąpiła, siostrzenicę, której jeszcze dwudziesta wiosna nie zaświeciła i parobczaka sprawnego do usługi i w domu, i poza domem, i koło konia, i koło gospodarki. Wiekiem hidalgo nasz już na pięćdziesiątkę zarywał, ale ciałem był krzepki, w sobie kościsty, na twarzy suchy, zawiędły, do rannego stawania od ptaka skorszy, a do polowania bez miary zapalony. Przydomek miał podobno Quixada albo Quesada, bo co do tego nie ma zgodności między historykami, którzy o nim pisali; ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zdaje się, że się zwał Quijana. Mniejsza wszakże o to dla naszej historii; tu rzecz główna w tym, ażeby opowieść na jedno źdźbło z prawdą się nie rozminęła.

Owóż tedy, trzeba wam wiedzieć, mili czytelnicy, że ów jegomość hidalgo, w chwilach wolnych, kiedy nie miał nic do roboty (co bodajże cały rok się wydarzało), strasznie lubił wczytywać się w książki rycerskie, przygody opisujące i tak się do nich zapalił, że nawet o polowaniu całkiem zapomniał i starunku<sup>14</sup> o gospodarce zaniechał. Zaciekłość ta jego do owych ksiąg do takiego stopnia doszła, że sprzedał spory szmat ziemi, byle mieć za co tych ksiąg nakupić. Zebrało się też to tego w domu co nie miara; bo gdzie jeno jaką rycerską książkę zobaczył, zaraz kupował. Ale ze wszystkich tych dzieł żadne mu się tak doskonale nie wydało, jak dzieło słynnego Felicjana de Silva<sup>15</sup>. Zachwycał się dziwną jasnością jego prozy, a zawiłości mowy jego wydawały mu się cudem sztuki pisarskiej; szczególnież też podziwiał jego listy miłosne i uczuciowe, w których unosił się nad najpiękniejszymi ustępami, jak na przykład taki:

Nieuwaga zniewagi, którą sprawujesz w mojej rozwadze, tak niszczy równowagę mojej uwagi, iż nie bez wagi zaliczyć się odważam na twojej piękności przewagę.

Albo ten drugi, gdzie powiada:

---

<sup>10</sup> *hidalgo* (hiszp.) – szlachcic. [przypis redakcyjny]

<sup>11</sup> *hidalgo* – szlachcic. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *spisa* – pika, lanca, dzida. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *świtka* – sukmana; wierzchnia odzież wieśniaków lub drobnej szlachty. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *starunek* (daw.) – staranie, dbałość. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *Feliciano de Silva* (1491–1554) – popularny pisarz hiszp.; autor „sequeli” powieści rycerskich, m. in. *Amadisa z Grecji*. [przypis edytorski]

Wysokie i wspaniałe nieba, które w boskości przymiotów twoich bosko wraz z gwiazdami cię umacniają i dają zjednać godności wyjednanie, która przejednała zacność twoja.

Zagłębiając się w takie mądrości, nasz biedny szlachetka tracił po trosze rozum i zachodził w głowę, szukając w nich sensu, a podziwiając je tym bardziej, im mniej rozumiał. Nie bardzo mu do serca przypadło, że Belianis tyle ran odebrał i zadawał, bo zastanawiając się zdrowo nad rzeczą, nie mógł przypuścić, ażeby przy pielęgnowaniu najwyborniejszych nawet medyków i chirurgów, którzy go opatrywali, nie zostało mu szramu<sup>16</sup> na gębie i kiereszunku<sup>17</sup> na ciele. Mimo to wszakże wielce szacował autora tej powieści i nieraz go kusiło coś, ażeby się wziąć do dokończenia jego książki, którą urwał na najciekawszym miejscu przesłicznej przygody. I byłby tego niezawodnie dokonał, pewno bardzo pięknie, gdyby nie to, że mu zawsze na przeszkodzie stały nowe fanaberie w głowie. Często toczył spory z proboszczem swoim, człowiekiem uczonym, licencjatem wykwalifikowanym w Ciguency, o to: kogo wyżej kłaść należy: Palermina Oliwskiego czy Amadisa Galijskiego. Majster Mikołaj znów, balwierz miejscowy, utrzymywał upornie<sup>18</sup>, że nie było rycerza, który by dorównać mógł rycerzowi Słońca, a jeżeli kogo by można postawić przy nim, to jednego tylko Don Goloara, brata Amadisa, co to był kawalerem ze wszech miar doskonałym, a nie takim beksą i piecuchem jak Amadis, któremu wreszcie w żadnym punkcie rycerskości ani na krztę nie ustępował.

Krótko mówiąc, szlachetka nasz tak się zaciekł w czytaniu, że dnie i noce nad książkami trawił; doszło do tego, że wskutek zbyt dużego natężenia i niewywczaś<sup>19</sup>, mózg mu jakoś scieńczył, iż po prostu mówiąc, zgłupiał na piękne<sup>20</sup>. Nabił sobie mózgownicę wszystkimi tymi andrybajami, które czytał, tak dalece, że mu się zamieniła całkiem w ładowny lamus czarów, uroków, zabijatyk, potyczek, ran, miłości, sercowych żalości, zapałów, udręczeń, srogości i tym podobnych nedorzeczności. I tak to wszystko, co czytał, wbił sobie krzepko w biedną głowinę, że ani mu gadaj, ażeby mogło być co prawdziwszego w dziejach świata. Prawił, że Cyd Ruy Dias<sup>21</sup> był rycerzem wielce znamienitym, ale że ani mu wody nosić za Rycerzem Ognistego Miecza, który jednym odlewem dwóch wielkoludów straszliwej postury, jak muchy, na dwoje rozplatał. Bernarda de Caprio wychwalał bardzo, że na równinach Roncewalskich zmógł Rolanda, pomimo osłaniających go czarów, na które użył sposobu, jakim zręczny Herkules udusił Anteusza, straszego syna ziemi. Pod niebiosą wynosił Morgana, że choć ród swój wiodł od olbrzymów, co zawsze bywali tak butni i grubiańscy, sam przecież był niezmiernie uprzejmy i pięknie wychowany. Ale nad wszystkich uwielbiał Rinalda de Montauban, a mianowicie za to, że tak dzielnie łupił kogo tylko na drodze napotkał z zamku swego wyjechałszy i że tak gracko się spisał, wykradając zza morza bałwana Mahometa, który miał być cały szczerozłoty, jak o tym mówi historia. Co się zaś tyczy Goleona, Zdrajcy Ohydneho, to z całej duszy byłby oddał ochmistrzynię, a w dodatku nawet i młodą siostrzenicę, żeby go był mógł dojechać porządnie z kilkadziesiąt razy nogą pod żeberka.

Straciwszy nareszcie rozum z kreteśsem, przysłała mu do łba myśl najgłupsza, na jaką kiedy bądź szalenie się zdobył. Ubrdał sobie, że tak dla blasku własnej sławy, jako i dla dobra ojczyzny, wypada mu koniecznie zrobić się błędnym rycerzem, puścić się w świat szeroki konno i zbrojnie na wielkie przygody i te wszystkie praktyki, których się naczytał o słynnych rycerzach błędnych,

---

<sup>16</sup> *szram* – dziś popr. szrama. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *kiereszumek* – pokiereszowanie, uszkodzenie, zranienie. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *upornie* – dziś popr. uporczywie. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *niewywczaś* – brak wypoczynku. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *na piękne* – dziś: na dobre; całkowicie. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *Cyd Ruy Dias* – Rodrigo (Ruy) Diaz de Vivar (ok. 1043–1099), zw. Cydem (z arab. *El Cid*: Pan), rycerz rodem z Kastylii, hiszp. bohater narodowy, brał udział w walkach chrześcijan o wyparcie Maurów z Półwyspu Iberyjskiego (czyli tzw. rekonkwiszie). Do literatury i tradycji kultury europejskiej wszedł jako uosobienie cnót rycerskich, stając się bohaterem anonimowych ballad, średniowiecznego eposu rycerskiego *Pieśń o Cydzie* i dramatu Pierre'a Corneille'a *Cyd*, będącego najświetniejszym z wymienionych dzieł. [przypis edytorski]

żeby jak oni mszcząc krzywdy cudze, narażając się na wszelkie niebezpieczeństwa, na boje i trudy, dojść chwały nieśmiertelnej. Roilo się już w rozmarzonej głowinie nieborakowi, że co najmniej czeka go cesarstwo Trebizondy jako nagroda dzielności potężnego ramienia. Upojony tak słodkimi omamieniami i ponętą tej świetnej przyszłości, rozgorzał cały żądzą jak najprędszego skutecznienia swoich zamysłów. Najpierw tedy zabrał się co żywo do oczyszczenia różnych części zbroi w dziedzictwie po naddziadach<sup>22</sup> mu pozostałej, a od kilku wieków pod rdzą i kurzem w kącie domostwa gdzie błogo spoczywającej. Pozbierał je, obmył, odpolerował, do kupy jak tylko mógł najlepiej poskładał. Ale ku wielkiemu strapieniu spostrzegł biedak, że starej zbroicy nie dostawało jednej z najważniejszych części, bo zamiast szyszaka<sup>23</sup>, znalazło się tylko kawał nagłówka od niego, a reszty ani weź nigdzie dopytać. Nie zrażając się tą biedą: w bystrym dowcipie swoim znajduje radę na nią, dokleja sobie z tektury brakujące części, stula to wszystko z żelastwem pospołu i tym sposobem fabrykuje sobie coś do hełmu podobnego. Na nieszczęście, przyszło mu do głowy spróbować, czy ta klejonka wytrzyma w danym wypadku ciosy, jakie spaść na nią mogą; jak tedy urżnie raz i drugi mieczem w ów szyszak tak za pierwszym zaraz cięciem zdruzgotał na nic całą robotę, nad którą przez cały tydzień się namozolił. Oczywiście strasznie mu ta próba nie do smaku poszła, ale trzeba było myśleć o zabezpieczeniu własnej osoby i nie było innej rady, jak wziąć się znów co żywo do przeróbki owego szyszaka. Pod tekturę tedy żelazne dał obróżki, wszystko skleił bardzo pięknie i w przekonaniu własnym bardzo mocno; ale odechciało mu się już prób robić, bo pewny był, że ma szyszak z przyłbicą najwykwintniejszego gatunku.

Dokonawszy tego dzieła, zajął się rumakiem; poszedł do stajni, przyglądał się szkapie swojej, a choć chudzina ta mizerniej może wyglądała, niż wywłoka Goveli *qui tantum ossa et pellis fuit*<sup>24</sup>, byłby jednak poprzysiągł, że był to rumak dzielniejszy od Bucefala Aleksandryjskiego i Babieki<sup>25</sup> Cydowej. Cztery dni, jak Pan Bóg przykazał, strawił, susząc sobie głowę nad wymyśleniem nazwiska dla tego rumaka; boć nie uchodzi, myślał sobie, żeby wierzchowiec tak słynnego rycerza nie był światu z imienia znanym. Szło mu koniecznie o to, żeby wymyślić takie, co by zarazem malowało stan owego wierzchowca przed wejściem w szeregi błędnego rycerstwa, i to czym miał stać się później. Konieczną i logiczną wydawało mu się rzeczą, że kiedy pan zmienia stan swój, iżby i koń nazwę swą zmienił, a przyjął taką, co by go uświetniła i godnie odpowiadała nowemu jego powołaniu. Dobrze tedy rzecz tę rozważywszy, przerozumowawszy, przekombinowawszy, z tysiąc rozmaitych nazw próbując, zmniejszając, zdłużając i łatając, postanowił nareszcie nazwać go Rosynantem<sup>26</sup>, bo nazwa ta wydała mu się bardzo wspaniałą, świetną i wielce znaczącą, a godną pierwszego w świecie bieguna. Wynalazłszy tak śliczne imię dla konia swego, zaczął teraz myśleć, jakie by tu sobie samemu nadać nazwisko; osiem dni przemyślał i nazwał się Don Kichotem; niektórzy autorowie tej historii, co do joty prawdziwej, myśleli z tego powodu, że istotnie musiał się nazywać Quixada, a nie Querrada, jak to inni utrzymywali. Przypomniawszy zaś sobie, że Amadisowi dzielnemu nie dość było na własnym nazwisku poprzestać i że dodał jeszcze do niego nazwę ojczyzny swej i królestwa, dla większego ich uświetnienia przezwał się Amadisem z Galii, nasz rycerz uczynił tak samo i przezwał się Don Kichotem z Manchy, myśląc, że tym sposobem rozgłosi po świecie całym i zaleci na wieki imię swej rodziny i miejsca rodzinnego.

Tak tedy wyszorowawszy należycie zbroicę, z nagłówka wysztukowawszy sobie hełm przyzwoity, rumaka ochrzcivszy wspaniale, a siebie znamienicie, mniemał, że teraz nie brakuje mu już nic więcej, jak tylko damy, w której by był zakochanym; bo rycerz błędny bez miłości, to tak samo jak drzewo bez liścia i owocu, a nawet po prawdzie, jak ciało bez duszy. Jeśli kiedy, na nieszczęście,

<sup>22</sup> naddziadowie – pradziadowie, przodkowie. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> szyszak – rodzaj hełmu rycerskiego. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *qui tantum ossa et pellis fuit* (łac.) – która była samą skórą i kośćmi. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> Babieka – a. Bawieka, koń Cyda. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> Rosynant (z hiszp. Rociante *rocin*: szkapia) – wychudły, kościsty koń; końcówka (hiszp. *-ante*) jest końcówką imiesłowową służącą do tworzenia przydomków, zwykle o charakterze nobilitującym, dystyngowanym. [przypis edytorski]

mówił sobie, a raczej na szczęście moje, przyjdzie mi się spotkać z jakim wielkoludem, jak się to błędnym rycerzom zwykle przytrafia, i gdy pierwszym cięciem powalę go na ziemię albo rozplątam na dwoje, słowem, gdy go zwyciężę, to przecież muszę z niego komuś zrobić prezent; muszę słyszeć, jak padłszy na kolana przed damą serca mego, pokornie i skruszonym głosem przemawiać będzie do niej: „Pani, ja jestem olbrzym Karakuliambro, pan wszechwładny wyspy Malindranii, którego niezwyciężony i niewysłowionej nigdy chwały rycerz Don Kichot z Manchy zwyciężył w pojedynczym boju; z jego to rozkazu przychodzę ukorzyć się u stóp Waszej Znamienitości i oddać pod jej wolę i rozporządzenie, jako nędzny jej sługa i niewolnik”. O, jakże się cieszył, jak radował nasz rycerz, wyrecytowawszy sam do siebie tę piękną mowę, a nie posiadał się już z rozkoszy, kiedy znalazł nareszcie w głowie niewiastę, którą wrytował na panią serca swego! Była nią, jak mniemają historycy, gładka dość dziewczucha wiejska, córka rolnika ze wsi, w której mieszkał nasz rycerz i kochał się w niej kiedyś, ale tak, że ona o tym ani trochę nie wiedziała i ani się domyślała. Nazywała się Alonza Lorenzo; ją to wybrał on teraz na panią swych myśli i serca; a wyszukując i dla niej także nazwiska równie szlachetnego, jak własne, i które by miało w sobie coś książęcego, po długich turbacjach nazwał ją nareszcie Dulcyneą z Toboso, jako w rzeczy samej stamtąd pochodziła, i że imię to przypadało mu niemniej do myśli i smaku, jak i imiona, powynajdywane przezeń dla siebie i konia swego.

## Rozdział II

### O pierwszym ruszeniu w świat Don Kichota.

Tak więc wszelkie przedwstępne poczyniwszy kroki, rycerz nasz nie chciał już dłużej dać czekać na siebie ludzkości, bo czuł, że każda chwila zwłoki czyni go winnym i odpowiedzialnym za wiele krzywd na świecie, za wiele nadużyć i niesprawiedliwości, którym zapobiec by było można. Owóż tedy nie dawszy nikomu najmniejszej po sobie poznaکی o zamiarze swoim, jednego ranka, jeszcze przed świtem, a było to w lipcu i pogoda śliczna, ciepluchna, uzbraja się od stóp do głów, wsiada na Rosynanta, nadziewa tarczę, bierze dzidę, i małą furteczką z brudnego podwórka wyjeżdża niepostrzeżony; wymyka się w pole, uradowany nieskończeniem, że tak piękne zamiary tak dobrze i łatwo spełniać mu się zaczynają. Ale zaledwie ze sto kroków od domu odjechał, straszny skrupuł budzi mu się w głowie i tak mu dogryza, iż bez mała nie zawrócił do domu i nie porzucił całkiem tak cudnych zamiarów. Przypomniało mu się, że nie był pasowanym na rycerza i że wedle obyczaju błędnego rycerstwa, nie miał prawa potykać się na rękę z żadnym rycerzem, i że choćby już nawet był pasowanym, to powinien nosić tarczę bez żadnego napisu, bo napis taki dzielnością ramienia dopiero zdobyć sobie należy, inaczej jest się tylko mleczakiem i frycem. Uwagi te zachwiały go chwilowo w zamiarze; ale że rozumowanie wszelkie ustąpić musiało przed naciskiem szalu zawziętego, postanowił więc, że pierwszemu lepszemu, którego spotka, każe się pasować na rycerza, jak to czytał w książkach, że bardzo wielu już przed nim zrobiło. Że zaś terminem technicznym zbroja rycerza, który pierwszego pola jeszcze nie odbył, nazywała się bronią białą, powiedział sobie przeto, że swoją tak odnucuje, że od śniegu bielszą będzie niezawodnie. Tym sposobem ukoił się w kłopotcie i ruszał naprzód drogą, wcale się o nią nie troszcząc i wybór w tej mierze zostawiając najzupełniej rozumowi konia; sądził bowiem, że to właśnie jest główną cechą powołania błędnych rycerzy. „Co za radość – mówił sam do siebie – dla przyszłych wieków, gdy czytać będą historię wypraw moich słynnych, którą mędrzec, co ją napisze, niezawodnie od tych słów zacznie: „Zaledwie promienny Apollo jął roztaczać złociste sploty płowych swych kędziorów na oblicze ziemi, a ptaszki rozbudzone dopiero witały słodkimi dźwięki przybycie pięknej rumianej jutrzeńki, która wyszedłszy z łóżka od męża zazdrosnego, ukazała się śmiertelnym na krużgankach widnokręgu Manchy, gdy słynny rycerz, Don Kichot, wróg nikczemnych wczasów i miękkiego łoża, dosiadł już był dzielnego rumaka Rosynanta i wyjeżdżał na starożytnie i rozgłośne wokoło pola Montielu”. Rzeczywiście stał właśnie w tej chwili na gruncie wioski tego nazwiska. „O! epoko szczęśliwa – mówił dalej – o! wieku szczęśliwy, co się stał godnym widzenia moich wielkich i nieporównanych czynów, zasługujących na to, by je rytowano w brązie i rżnięto w marmurze na wieczną sławy mojej pamiątkę i przykład dla przyszłych kiedyś pokoleń. O! ty wielki w mądrości czarnoksiężniku! co będziesz miał zaszczyt opisywania tej zadziwiającej a prawdziwej historii mojej, kto bądź jesteś, pamiętaj, proszę cię, pamiętaj skreślić dokładnie potomności, jak dzielnym i zręcznym był ten poczciwy mój Rosynant, wierny i niedostępny towarzysz wszystkich przygód moich”.

Takie palił ciągle perory, a przechodząc z materii jednej do drugiej ni stąd ni zowąd, gdy mu się zdało, że naprawdę zakochanym jest na śmierć, wołał: „O! księżno Dulcyneo, pani serca uwięzionego, straszną krzywdą dotknęłaś mnie, wyprawiając tak od siebie i nakazując mi srogo nie pokazywać się przed obliczem swej piękności. Racz pomnieć, pani moja, o sercu tym biednym, tobie oddanym, co tyle dla twej miłości ciężkich cierpień ponosi”. I jechał ciągle, bredząc podobnie za każdym razem, jak tylko przypomniawszy sobie coś z ksiąg, które czytał i silił się jak najmocniej, żeby styl ich pięknie naśladować. Tak się zagłębił w tym upojeniu, że człapiąc noga za nogą, ani się spostrzegł, iż słońce już wysoko wybujało, i tak mu pionowo łysinę promieniami parzyło, że niezawodnie mózg by mu się roztopił od tego skwaru niezadługo, gdyby go tylko choć odrobinę jeszcze tam było.

Cały dzień prawie jechał tak i nic mu się godnego wzmianki nie wydarzyło; do rozpacz go to przyprowadzało, bo pałał niepohamowaną żądzą zmierzenia się dzielnym orężem choćby z najtęższym nawet chwatem. Dziejopisarze jedni twierdzą, iż pierwsza przygoda spotkała go w wąwozach Port-Lopice, inni znów zapewniają, że pierwszą była przygoda z wiatrakami. Ja ze starych kronik miejscowych tyle tylko w tym względzie dowiedzieć się mogłem, że rycerz nasz cały ten dzień jechał i jechał ciągle, aż pod wieczór i on, i rumak tak byli zmęczeni, tak zgłodzeni, że już ledwo a ledwo nogi za sobą ciągnęli. Oglądając się na wszystkie strony za dymem z komina, a w myśli rojąc sobie zamki i pałace, Don Kichot nareszcie dostrzegł na trakcie jakiś dom zajezdny. Zaraz skierował tam kroki, jakby za gwiazdą zbawienia. Zmrok już dobrze zapadał; przed karczmą siedziały dwie kobiety, z rodzaju tych, co to je nazwać dość trudno, które sobie wracały z mulnikami do Sewilli, i na nocleg zatrzymały się tu z nimi. Zapaleniec nasz, z głową nabitą zawsze romansami, których się naczytał i patrzył na wszystko przez ich okulary, wziął zaraz karczmę za zamek warowny z wieżami, basztami, mostem zwodzonym i wszelkimi przynależnościami, w jakie opisy powieściopisarskie zawsze obfitują. Zatrzymał rumaka na kilkanaście kroków przed warownią, czekając, żeby karzeł zadał w róg z baszty i dał znać mieszkańcom o przybyciu rycerza jakiegoś; ale że karła jakoś długo ani oko<sup>27</sup>, a Rosynantowi strasznie było spieszo do stajni, podsunął się więc ku drzwiom domu i zobaczył dwie czeczotki, o których wyżej wspomnieliśmy, a które wziął zaraz za jakieś znakomite dziewice świeżego powietrza używające. Zdarzyło się też jakoś, jakby naumyślnie, że pastuch, zganiający z pola nierogaciznę, zadał dwa, czy trzy razy w fujarę, na który to odgłos świnię (przepraszam, ale nie moja wina, że się tak nazywają) zbiegają się do kupy. Oho! Don Kichotowi już się to wydało, bo tak sobie życzył, że karzeł z baszty daje znać o jego przybyciu. Nie posiadając się tedy z radości, kroczy ku damom, a te widząc człeka tak po cudacku wyrzynstunkowanego, z ogromną tarczą i dzidą prosto na nie walącego, niewiele myśląc, nuże w nogi do karczmy. Nie zdziwił Don Kichota przestрах pań, bo mu się wydał bardzo naturalnym; prędko więc podniósł tekturową przyłbicę i odkrywszy kościstą i kurzem umorusaną twarz swoją, słodziuchnym a poważnym przemówił do nich głosem: „Nie uchodźcie, miłościwe panie, nie obawiajcie się najmniejszej dla siebie ujmy, prawom wykwintnej galanterii przeciwnej, bo zakon rycerski, do którego mam zaszczyt należeć, nie pozwala mi ubliżać nikomu, a tym bardziej dziewczicom tak dostojnym, jak wasza obecność wskazuje”. Dziewczyny stanęły, wlepiły oczy w tego dziwoląga, któremu łatana przyłbica połowę twarzy zasłaniała, a słysząc, że je dostojnymi dziewczycami mianuje, co im się w życiu nigdy jeszcze nie zdarzyło, nie uciekały już i zaczęły się chichotać tak serdecznie, że Don Kichot, nie mogąc pojąć, co to ma znaczyć, rozdał się na dobre i z wielką powagą odezwał się do nich: „Skromność i grzeczność piękności przystoi, to jej udział; ale śmiech nie wiada<sup>28</sup> z czego, zdradza tylko prostactwo i do nierozumu się zbliża. Nie mówię ja wam tego, miłościwe panie, w myśli najmniejszej urazy, a jeno, że jedynym zamiarem moim jest pokorne służby moje całkowicie wam ofiarować”. Przemowa ta, dla uszu ich tak niezwykajna, i widok tego człowieka, tak śmiesznie wystrojonego, jeszcze bardziej rozchichotały dziewczyny, tak, że pękały prawie od śmiechu, a rycerz nasz ledwo nie pękał ze złości, i kat go wie, jakby tę sprawę był zakończył, gdyby na szczęście nie ukazał się we drzwiach gospodarz z przyzwoitym godności swej brzuszkiem. Widząc figurę tak cudacką i tak po wariacku uzbrojoną w kirys, puklerz i dzidę, szanowny amfitrion<sup>29</sup> niemniej uczuł się skłonny do śmiechu jak wędrownie panny; ale że z natury już był ostrożnym i że strachu więcej miał za skórą niż owe panny, na widok przeto tego całego ryzstunku uśmierzył w sobie chęć śmiechu i przezornie postanowił obejść się z gościem z wszelkim dla osoby jego szacunkiem. Skłoniwszy się więc, przemówił do Don Kichota: „Mości rycerzu, jeżeli szukasz przytułku dla siebie, na niczym ci w gościnie mojej zbywać nie będzie, prócz jednego łóżka; zresztą znajdziesz wszystko w jak największej obfitości”. Don Kichot widząc

<sup>27</sup> *jakoś długo ani oko* – jakoś długo nie było widać. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *nie wiada* – nie wiadomo. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *amfitrion* – gospodarz wydający ucztę, człowiek gościnny; od imienia króla Tyrynsu i Teb w mit. gr. [przypis edytorski]

tak uprzejmym dla siebie gubernatora zamczyska (bo takim sobie wyobrażał karczmarza i karczmę), odpowiedział mu: „Co do mnie, mości kasztelanie, mało mi bardzo potrzeba; nie szukam, jak widzisz, chluby w zniewieściałości, ani w marności stroju; broń jedyną moją rozrywką i ozdobą, a rycerskie rzemiosło odpoczynkiem”. Korpulentny gospodarz nie mógł wprawdzie pojąć, dlaczego Don Kichot nazywa go kasztelanem, ale że szczwana była z niego sztuka, nieodrodny Andaluzyczyk z wybrzeży San Lukaru, a przy tym co się nazywa pierwszy majster w swoim rzemiośle, zwinny jak student, a filut jak paż, nic tedy nie dając poznać po sobie, tak prawi do niego: „A kiedy tak, mój mościwy panie, to na kamieniach będziesz miał waszmość wygodne dla siebie łoże, ile że, jak miarkuję, snu zażywasz zapewne nie więcej, jak czata; w takim przeto stanie rzeczy nie ma co gadać, jeno waszmość zsiadaj z człapaka, a możesz być pewien, że znajdziesz tu sobie wygodę nie tylko na jedną noc bezseną, ale choćby i na cały rok ci jej wystarczy”. Tak przemówiwszy, poszedł potrzymać strzemięcia Don Kichotowi, który z wielką biedą zgramolił się z siodła, co nie dziwota, bo każdemu by to kaducznie ciężko przyszło, gdyby, jak on, o dziewiątej godzinie wieczorem ani kęsa śniadania jeszcze nie miał w gębie.

Zsiadłszy z konia, rycerz pilnie zalecił gospodarzowi, aby ludziom przykazał należyte mieć staranie około jego rumaka, zaręczając mu uroczyście, że na całym świecie nie masz lepszego i piękniejszego zwierzęcia trawożernego. Gospodarz przyglądał mu się uważnie, ale nie wydało się wcale, aby w tym zaręczeniu Don Kichota była choć jota prawdy. Umieściwszy konia w stajni, wrócił dowiedzieć się, czego żądać będzie kawaler i zastał go rozdzielającego się z rynsztunku, w czym uczynnie dopomagały mniemane panny, z którymi się już pogodził. Zdjęty z niego kirys<sup>30</sup> i pancierz<sup>31</sup>, ale mimo najmoźniejszych usiłowań, nie mogły rozpiąć naramiennika, ani rozwiązać supłów od zielonych wstążek, podpinających mu pod brodą szyszak, a na rozcięcie tych supłów żadną miarą przystać nie chciał. Całą noc więc siedział z przyłbicą na głowie, a wyglądał jak najpocieszniejsza istota w świecie. Biorąc zaś stworzenia rozbierające go tak usłużnie za osoby wysokiego rodu i za panie tego zamku, z wykwinną galanterią mówił do nich: „Wątpię bardzo, aby był kiedy bądź na świecie rycerz, co by za obrębem własnego domu doznał tyle od dam uprzejmości, co Don Kichot; panny usługują jemu, a księżniczki jego rumakowi! O szczęśliwy Rosynancie! tak się rumak mój zowie, a Don Kichot z Manchy, to moje nazwisko, którego, nadobne dziewice, nie miałem wam wyjawić wprzód, dopóki bym znamienitym jakim czynem, w usługach waszych dokonany, nie zjednał mu pięknego przed wami zalecenia. Dowiadujecie się go przed czasem, bo okoliczności obecne przypomniały mi cudny romans Lancelota; ale przyjdzie chwila, nie wątpię, iż racycie zaszczycić mnie waszymi rozkazami, a ja wam bezgranicznym posłuszeństwem moim i dzielnością rycerskiego ramienia dowiodę, jak gorącą pałam żądzą poświęcenia wam pokornych służb moich”. Panny, nieprzywykłe słyszeć mowy takiej i nic jej nie rozumiejąc, nic się też nie odzywały. Zapytały go tylko, czy by czego nie zjadł. – „Z całego serca, z całego serca, odparł Don Kichot, zdaje mi się, żeby to było nie od rzeczy”. – Na nieszczęście był to piątek i w całej karczmie nie było nic do jedzenia, prócz rybek maleńkich, które zwą *truchnela*, podobnych do drobnych pstrągów. Zapytano go więc, czy będzie jadł te rybki; on myśląc, że mu mówią o małych pstrągach, „z największą chęcią, odpowiedział, a byle ich było sporo, to na to samo wyjdzie, co jeść duże pstrągi, boć przecie w gruncie rzeczy, sześćdziesiąt groszy to znaczy to samo, co dwuzłotówka, a może i to jeszcze będzie w zysku, że te małe pstrążki w smaku są delikatniejsze od wielkich, jak delikatniejszy jest baranek od skopa<sup>32</sup>; słowem, co tam mają, niech dają, aby tylko prędzej, aby tylko zaraz, bo nie ma co mówić, że brzemie silnej zbroicy kaducznie morduje człowieka, a po znoju zawsze dobrze sił nieco pokrzepić, ażeby je mieć świeże od wypadku”. Wystawiono mu stół przed karczmą, że to jeść przyjemnie na świeżym powietrzu i gospodarz podał mu na talerz rybki niedogotowane bez żadnej przyprawy, a do tego

<sup>30</sup> kirys – zbroja płytowa osłaniająca korpus. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> pancierz – elementy elastyczne zbroi rycerskiej. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> skop – kastrowany baran a. kozioł. [przypis edytorski]

kromkę razowca, jak sadze czarnego i nieźle podpleśniałego. Było z czego pękać od śmiechu, widząc, jak biedaczysko zawijał, bo trzeba wiedzieć, że naramienniki i szyszak tak go piekielnie krępowały, iż własnymi rękoma nic do ust donieść nie mógł; jedna więc z usłużnych panien musiała go w tej funkcji wyręczać i jadło mu do gęby podawać. A pałaszował, że mu się aż uszy trzęsły; z pićciem nie było już rady, bo ani sposób mu go podać; szczęściem dowcipny gospodarz wpadł na koncept, prześwidrował kawał grubego kija, jeden koniec wsadził mu w usta, a drugim lał wino, i tak go napoili. Poczciwy szlachciura znosił to wszystko z anielską cierpliwością i wołał cierpieć te wszystkie biedy, niż przystać na rozcięcie wstążek, podpinających szyszak. W czasie tej biesiady przybył do karczmy koziarz jakiś, który zbliżając się, gwizdnął silnie parę razy. Odgłos tej miłej muzyki utwierdził jeszcze mocniej Don Kichota w mniemaniu, że znajduje się w znakomitym jakimś zamku; widziało mu się, że mu wyprawiają serenadę w czasie uczyty, a niedogotowane stynki tym wyborniejszymi pstrągami mu się wydały; razowiec brał za pulchniutką bułeczkę, awanturnice coraz znamienitszymi były w jego oczach damami, a karczmarz dostojnym magnatem, samowładnym panem obronnego grodu. Zachwycony tą pierwszą przygodą, szczęśliwie roił marzenia o przyszłych swych losach. Jedną go tylko rzecz serdecznie bolała, a to: że jeszcze nie był pasowanym na rycerza, i że bez tego nie mógł się ważyć urzędownie na żadną kawalerską przygodę.

### Rozdział III

Jak miłym sposobem Don Kichot wymógł na karczmarzu, że go pasował na rycerza.

Dreńczony tą boleścią, o której w końcu zeszłego rozdziału wspomnieliśmy, zapaleniec nasz nie dojadłszy nawet chudej kolacyjki, którą tak smacznie spożywał, zerwał się nagle zza stołu i w wielkim pośpiechu chwytając gospodarza pod rękę, wyprowadził go do stajni, a tam drzwi dobrze zamknawszy, rzucił się przed nim na kolana i ze złożonymi jak do pacierza rękoma, w wielkim uniesieniu tak doń przemówił: „Waleczny rycerzu, ja się dopóty z miejsca tego nie ruszę, dopóki, miłościwy panie, nie przyrzeczesz mi, iż raczysz przychylić się do prośby mojej, której spełnienie niemniej tobie samemu zaszczytu i sławy, jak światu całemu korzyści i dobra przyniesie”. Karczmarz strasznie zrazu zdziwiony, że przed nim jak przed świętym ktoś na kolana pada i w tak górny sposób do niego przemawia, wytrzeszczył tylko na niego oczy, sam nie wiedząc, co rzec, i mordował się siłą całą, żeby go z klęczek podnieść, ale na próżno się silił, tamten ani popuścił zaciętego uporu, dopóki mu nie przyrzekł, iż zrobi, czego się od niego domaga i spodziewa. „Byłem tego pewien, iż uprzejmość waszmość pana odmówić mej prośbie nie może, odparł Don Kichot. Prośba moja do ciebie, panie, której spełnienie łaskawie przyrzec mi raczyłeś, jest o to, ażebyś waszmość pan jutro, co jeno świt, raczył mnie pasować na rycerza, a dziś w nocy, ażebyś mi pozwolił odbyć rycerską próbę w kaplicy zamku twojego, gdzie należytem skupieniem ducha przygotuję się do przyjęcia dostojnego znamienia, którego tak gorąco pragnę i które nada mi prawo szukania przygód kawalerskich w niesieniu pomocy strapionym, wymierzaniu kary na krzywdzących po całym już szerokim świecie, jak to przepisuje zakon rycerski, do którego się liczę”. Karczmarz, sztuka mądra i sprytna, jakeśmy to już powiedzieli, od samego początku zaraz zaczął jakoś przewąchiwać, że kawalerowi zajączki po głowie burmistrzują, ale teraz usłyszawszy taką do siebie przemowę, upewnił się już w zdaniu na dobre, i nie widząc innej rady, dla samego śmiechu przyrzekł mu, iż żądaniu jego zadosyć uczyni. Odpowiedział mu, że nie mógł szczęśliwiej z prośbą się udać, że śliczny robi wybór powołania, najzupełniej godny rycerza tak znamienitego i dostojnego, jakim się prezentuje, że on sam wreszcie, kiedy był młodym, mocno praktykował w tym zaszczytnym rzemiośle i wiele kątów po świecie nawycierał, goniąc za różnymi kawałkami i że nie ma jednej dziury na wszystkich przedmieściach Malagi, na wyspach Riaran, na rynkach Sewilli, Segowii, Walencji, Grenady, na brzegach San-Lukaru, w porcie Kordoby i w najskrytszych szynkowniach Toledo, gdzie by nie dał dowodów zwinności nóg swoich i dzielności dłoni, płatając na wszystkie strony najrozmaitsze sztuczki: to wdówki podskubując, to dziewczyny oszukując, to głupców w pole wywodząc, słowem, imię swoje głośnym czyniąc we wszystkich prawie trybunałach Hiszpanii. Że na koniec, po długich trudach teraz osiadł w zamku swoim, gdzie żyje z dochodów własnych i cudzych i przyjmuje wszystkich błędnych rycerzy wszelkiego kalibru i stanu przez samo współczucie braterskie ku nim i żeby podzielić się z nimi całą chudobą za tyle dobrego, co na świecie robią. Powiedział, że nie ma w zamku swoim na teraz kaplicy, w której by można odprawić rekolekcje rycerskie, gdyż starą kazał zwalić, a nowej jeszcze nie zbudował, ale że to nic nie szkodzi, wiadomo mu bowiem, że w razie potrzeby można noc rycerską spędzić byle gdzie, i że jeżeli mu się podoba, jakby tego dopełnić na podwórzu zamkowym, które jakby umyślnie na to urządzone, doskonale potrzebie odpowiada, że rano odbędą ceremonię, a tak za godzin pięć lub sześć może być pewnym, iż będzie tak doskonałym rycerzem, jak mało podobnych na świecie.

– A masz wasze co pieniędzy przy sobie? – zapytał jeszcze.

– Pieniądzy! – odparł Don Kichot – ani grosza, nigdy nie doczytał się w żadnej historii, żeby który bądź z błędnych rycerzy miał pieniądze z sobą.

– O! to się wasze grubo mylisz – na to mu brzuchaty gospodarz – jeśli o tym nie stoi nic w książkach, to właśnie dlatego, że ci, co je pisali, uważali to za rzecz bardzo prostą i konieczną, żeby błędni rycerze mieli pieniądze, tak samo, jak nic także nie pisze tam, że mieli koszule do przemiany, a przecież bez tego by się nie obyli. Bądźże wasze pewien, że wszyscy ci rycerze, o których książki piszą, mieli dobrze naładowane kieski od wszelkiego wypadku, jak również mieli zawsze bieliznę z sobą i puszkę z maściami na rany, boć rozumiesz to wasze, że straszne staczając boje wśród puszczy i lasów, niekoniecznie im się zdarzyło mieć na zawołanie felczerów, co by ich opatrzyli, i zgniliby wprzód, nim by się ich doczekali, chyba, żeby im jaki czarnoksiężnik z przyjaźni zesłał na obłoku panienkę lub karła z flaszeczką wody cudownej, której jedna kropla na język wzięta człowiekowi konającemu wraca natychmiast zdrowie i rześkość, jak gdyby mu nigdy nic złego nie było. Ale że na taką usługę nie można liczyć na pewno, rycerze przeto nie zapominali nigdy giermkom kazać brać pieniędzy i innych potrzebnych rzeczy, jako maści i szarpi, a jeśliby się nawet zdarzyło, że rycerz nie miał giermka, co bardzo rzadki wypadek, to sam brał te konieczne rekwizyta i w mantelczaku, zręcznie przytroczonym do łęku wiózł je przy sobie, tak, że nic a nic widać nie było, bo znów, co prawda, to prawda, że mantelczakiem świecić samemu nie bardzo rzecz przystojna dla rycerza, i w każdej innej okazji pewno by żaden tego nie zrobił. Tak więc – dodał gospodarz – radzę waszmości, a nawet rozkazuję, jako przysłemu synowi mojemu z rycerskiego ramienia, abyś nigdy nie ważył się ruszać krokiem bez pieniędzy i innych potrzebnych rzeczy, a obaczysz, że ci się przydadzą najlepiej wtedy, kiedy najmniej byś się tego spodziewał.

Don Kichot zapewnił go, że rady posłucha i wziął się zaraz do odbycia nocy rycerskiej na podwórzu obok karczmy. Trzeba było odbyć tak zwaną straż broni; zebrał więc cały swój rynsztunek, złożył go na żłobie przy studni, a sam nadziawszy tarczę, a dziedę w garść wzięwszy, jął się przechadzać poważnie przed żłobem z miną przyjemną i dumną zarazem. Już dobrze późno w noc było, gdy zaczął tę piękną wartę; gospodarz, trzymając się za boki, rozpowiadał wszystkim gościom u siebie, co ten wariat wyrabia, jak odprawia straż rycerską i jak gwałtownie pragnie być pasowanym na rycerza. Wszyscy niezmiernie się zdumiali tym dziwnym gatunkiem wariactwa i chcąc się zabawić, przypatrywali się Don Kichotowi z daleka. Widzieli, jak poważnie i wspaniale maszerował tam i na powrót przed żłobem, to znów stawał odpoczywając, wspierał się oburącz na spisie i wlepiwszy oczy w zbroję, długo się w nią wpatrywał. Noc coraz widniejsza się robiła, księżyc wszedł wysoko i tak jasno świecił, że wszystko jak w dzień widzieć można było.

Jednemu z mulników popasających w karczmie zachciało się skądciś napoić muły swoje; ale żeby je napoić, musiał ze żłobu zdjąć rynsztunek naszego rycerza. Don Kichot, jak go tylko zobaczył zbliżającego się i zamiar jego pomiarkował, zaraz wrzasnął nań donośnym i gniewnym głosem: „O! kto bądź jesteś, zuchwały rycerzu, co masz śmiałość zbliżyć się do zbroi najdzielniejszego z ludzi, co kiedy bądź oręż przy boku nosili, strzeż się, rozważ, co czynić zamierzasz, i nie waz się zbroi tej dotknąć, jeżeli nie chcesz położyć głowy za swą zuchwałość”. Niebaczny przewodnik niewiele zważał na odgróźki<sup>33</sup> Don Kichota, przeciwnie nawet, jakby gardząc nimi, zagarnął cały rynsztunek i śmignął nim z całej siły, tak, że się rozleciał daleko. Wtedy Don Kichot przewrócił oczy do nieba, a w myśli zwracając się do damy serca swego, zawołał: „Pani! pomagaj mi w pierwszej tej potrzebie, która czeka niewolnika twego; nie odmawiaj mi orędownictwa swego w tej sprawie”. Skończywszy tę przemowę, tarczę z ręki zrzucił, a chwyciwszy dziedę oburącz, tak nią w głowę zamalował zuchwałego mulnika, że ten padł na ziemię jak długi i tak zagłuszony, iż niewiele mu już brakowało, żeby się więcej nie ocucił. Dokonawszy tak walecznego dzieła, Don Kichot pozbierał rynsztunek swój, złożył go znów na żłobie i zaczął z najzimniejszą krwią chodzić tam i na powrót wzdłuż owego żłobu. Niedługo potem drugi mulnik, nie wiedząc nic, co się stało, bo tamten leżał jeszcze na ziemi bez czucia, przyszedł także do studni w zamiarze napojenia mułów, i kiedy wziął się do ściągania zbroi ze żłobu, Don Kichot, nic już nie mówiąc i niczyjej nie wzywając opieki, zdjął znów tarczę z ramienia, chwycił ją znów oburącz, i

<sup>33</sup> odgróźki – dziś: pogróźki. [przypis edytorski]

tak nią zamalował trzy, czy cztery razy winowajcę w głowę, że mu czaszkę w kilku miejscach rozranił. Na hałas stąd powstały i na wielki lament rannego, zbiegli się wszyscy ludzie z karczmy. Don Kichot, widząc tylu ludzi przybiegających, pochwycił tarczę, a miecz potrząsając w rękę: „Pani najcudniejszej piękności! – zawołał – potęgę i dumę serca mojego, teraz przyszła chwila, ażebyś najdostojniejszy wzrok swój zwrócić raczyła na rycerza, niewolnika swego, tak ciężką przygniecionego przygodą”. Po owym wezwaniu, tak się uczuł silnym i mężnym, że wszyscy mulnicy z całego świata zebrani rady by mu nie dali, a przynajmniej na krok by się przed nimi nie cofnął. Towarzysze wszakże poranionych mulników nie mogli przenieść na sobie, żeby krwi kamratów nie pomścić, zaczęli więc rzucać na Don Kichota gradem kamieni, od których zasłaniał się biedak, jak mógł, tarczą, nie ustępując krokiem od żłobu, żeby bronić zbroi. Gospodarz wrzeszczał z całego gardła, żeby mu dali pokój, że im przecież mówił, że to wariat, a jako wariat, choćby wszystkich mulników z całej Hiszpanii na tamten świat wyprawił, to mu zawsze nic nie będzie. Ale rycerz nasz wrzeszczał jeszcze głośniej od wszystkich, wymyślając im od nikczemników i zdrajców, pana zamku wyzywając przeniewiercą, z czci i wiary wyzutym, kiedy pozwala, żeby na jego terytorium tak znieważano błędnych rycerzy. „O! pokazałbym ja ci coś ty za jeden, podły przeniewierco – gardłował do niego – żebym tylko był już pasowany na rycerza. Wy wszyscy zresztą – wołał – jesteście tylko nikczemną gawiedzią, hałastrą ciurów, o was się nie troszczę! Strzelajcie, bombardujcie, silcie się, zdradzieckie plemie, ale się nie zbliżajcie, bo obaczycie, co wam będzie za waszą zuchwałość; dam ja wam”. A wrzeszczał tak donośnie, tak dumnie i imponująco, że strach przeszedł mrowiem po napastnikach i do tego stopnia stchórzyli panowie mulnicy, że posłuchali wołania karczmarza i przestali już walić kamieniami. Don Kichot pozwolił zebrać z pola bitwy rannych i z najzimniejszą krwią jął znów maszerować tam i na powrót wzdłuż żłobu jakby nigdy nic. Gospodarz rozmyśliwszy się nad tymi figlami Don Kichota, przyszedł do wniosku, że to trochę za grube żarty, i żeby się go pozbyć jak najprędzej, postanowił skończyć już co najrychlej z tym pasowaniem na rycerza. Uniewinniwszy się więc z zuchwałości tych gburów, o której nic nie wiedział, a która tak przykładowo ukaraną została, powiedział mu, że nie ma na teraz w zamku kaplicy, jak to już mu był oświadczył, i że wreszcie nie jest ona potrzebna do dalszych formalności obrzędu, że przy pasowaniu główną rzeczą jest akolada i dotknięcie mieczem po ramieniu, tak przynajmniej przepisuje ceremonia rycerska, który czytał niedawno, i że tego dopełnić można tak samo na polu, jak i gdzie bądź indziej; nareszcie, że co do stróżowania około zbroi, dwie godziny są dostateczne, a on więcej niż cztery już tego obowiązku tak ciężko i wzorowo dopełnia. Don Kichot łatwo się dał przekonać, bo niczego tak nie pragnął, tylko, żeby jak najprędzej dochrapać się pasowania, i odpowiedział zamkowemu władcy, że gotów jest być mu we wszystkim posłusznym, i że byle był kompletnym już rycerzem, a dopuszczono się takiej jeszcze na niego napaści, to żywej duszy nie zostawi w zamku, wszystkich trupem położy i tych tylko oszczędzi, których on mu każe. Gospodarz, mądra sztuka, nie tracąc czasu, poszedł zaraz po wielką księgę, w której znał sobie rachunki za słomę i siano mulnikom wydawane, wziął z sobą dwie panny, które już znamy, i chłopca, któremu dał w rękę kawałek łożowego ogarka; z tymi przyborami i orszakiem przybył do Don Kichota i zaraz kazał mu ukłęknać na obydwie kolana. Potem, czytając niby to z książki, jak gdyby pacierz jaki, podniósł rękę do góry i wyciął go w kark tak mile, że aż mu się głowa pochyliła, a płazem miecza palnął go po plecach kalibrowym ciosem, ciągle mrużąc coś sobie pod nosem i do księgi zaglądnął. Dopełniwszy tego, jednej z panien polecił przypasać miecz kawalerowi, czego ona dopełniła z wielką gracją, dusząc się ciągle od skrywanego śmiechu i nieraz pewno, w czasie tej ceremonii, obydwie parsknęłyby sobie serdecznie, gdyby poprzednie wypadki nie dały im poznać, że z tym panem kawalerem nie ma co żartować. Przypasując mu miecz do boku, miluchna panienska mówiła do niego: „Niechaj ci Bóg szczęści w bojach, nieustraszonego serca i wielkiej fantazji rycerzu”. A on jej prosił, żeby mu nazwisko swoje wyjawiała, by wiedział, komu tak wielką zawdzięcza łaskę, i do kogo należeć będzie połowa sławy, którą dzielnym ramieniem zdobędzie. Nadobna dziewica odpowiedziała mu, że się nazywa Toloza, że jest córką szewca z Toledu, pracuje w szwalni Sanchy Bienay'a i że zawsze, na każdym miejscu i o każdej porze, poczytywać się będzie za najuniżeńszą jego sługę. „Zaklinam

cię, pani, na miłość ku mnie – zawołał Don Kichot – nazwisko twoje zaczynaj zawsze odtąd od *don* i mianuj się donną Tolozą”. Nie wymawiała się od tego i przyrzekła mu uroczyście, że zadość uczyni jego żądaniu. Druga nimfa przypięła mu ostrogę i ta sama była między nimi rozmowa. On jej się pytał o nazwisko, ona mu odpowiedziała, że nazywa się Młynarka i jest córką poczciwego młynarza z Antekwerry. I ją zobowiązał nowy rycerz do przyjęcia przed nazwiskiem, niezbędnego *don*, obsypał ją nieskończonymi dzięki i solennymi przyrzeczeniami wdzięcznych służb swoich. Kiedy się już skończyła cała ta cudaczna i niepraktykowana dotąd ceremonia, Don Kichot, pałający żądzą jak najprędzych przygód, skoczył co tchu do stajni, okulbaczył Rosynanta i rozsiadłszy się w łęku, w całej paradzie z konia uściskał gospodarza, szeroko i wymownie dziękując za łaskę, jaką mu wyświadczył. Co gadał, ani sposób nawet pomyśleć, żeby tu można powtórzyć, chyba trzeba zwariować, tyle tam było cudackich i szalonych rzeczy w tej perorze. Gospodarz kontent, jakby go kto na sto koni wsadził, że go się już przecie pozbył, odpowiedział mu na jego komplementy w tym samym stylu, tylko znacznie krócej, i nie żądając ani grosza rachunku, z całego serca dał mu krzyżyk na drogę.

## Rozdział IV

Co się wydarzyło naszemu rycerzowi po wyjeździe z austerii<sup>34</sup>.

Dniało już, kiedy Don Kichot opuszczał mniemany zamek, a w takim był rozradowaniu ze swego rycerstwa nowo nabytego, że aż koniowi tej jego radości część się udzieliła. Przypomniawszy sobie rady gospodarza względem zaopatrzenia się w rzeczy konieczne rycerzowi, postanowił zawrócić do domu po pieniądze, koszule i giermka, na którego w myśli już wyforytował sobie sąsiadującego z nim zagrodnika<sup>35</sup>, biedotę wielką, dziesięciorgiem coś dzieciaków obarczonego, ale bardzo przypadającego na urząd błędnego luzaka. Tak postanowiwszy, zawraca do wsi swojej, a Rosynant, jakby odgadł myśl pana, takiej nabrał żwawości i energii, że kopytami prawie ziemi nie dotykał, a gnał co siły. Nie ubiegł kilku staj może Don Kichot, gdy nagle ucho jego uderzył głos jakiś żalony, jakby jęki boleści, z lasu na prawo dochodzące. Poznaje, że to nie ułuda i natychmiast podnosi oczy do nieba, gorące śląc dzięki za łaskawe podanie mu tak rychłej sposobności w spełnieniu obowiązków powołania swego i zebrania wawrzynów za szlachetne czyny. Te jęki, mówi sobie, to pewno jęki jakiejś istoty nieszczęśliwej, pomocy potrzebującej; trzeba ją nieść. I zwrócił Rosynanta w głąb lasu. Niedaleko zaraz ujrzał chłopca, z piętnaście lat może mającego, jak obnażony do pasa, wił się z męczarni, przywiązany silnie do pnia dębowego. On to krzyczał tak jękliwie, a miał czego nieborak. Chłopisko ogromne i barczyste sypało mu z całej siły biczowanie straszne kawałem surowczaka w nagie plecy, a każdy raz dosalał mu jeszcze nauczka jakąś i wymyślaniem. „Ozór za zębami, a gały na wierzchu”, prawił mu, bijąc. Na co chłopak odskamliwał: „Panie, panie, już nigdy nie będę, przez miłosierdzie boskie daruj, ulituj, się już nigdy słówka nie pisnę, a gromady czujniej pilnować będę”. Don Kichot, widząc to barbarzyńskie znęcanie się, zawołał gniewnym głosem: „Nieprzystojny rycerzu, nie godzi się gwałtu zadawać człowiekowi, co się bronić nie może; siadaj na konia i bierz spisę swoją (bo mu się zdawało, że przy dębie stoi spisa, a to był kostur pastuszy), a ja ci pokażę, że tylko tchórze i nikczemnicy tak sobie poczynają”. Chłop ledwie żyw ze strachu, co go ogarnął na sam widok tak strasznie zbroistego widma, żeleźcem lancy w sam brzuch mu godzącego, dygocąc cały, wybełkotał pokorniuchno: „Najprześwietniejszy panie rycerzu, ten wyrostek, którego karcę, to mój parobczak, to pastuch mój od owiec, ale tak ich nie pilnuje, że co dzień mi jedną gubi i nie dość, że niedbalec, ale jeszcze taki niegodziwy i hardy, że mi w oczy gada, jakobym to sobie do niego z wiatru tylko upatrzył, żeby mu zasług nie płacić, a jako żywo, klnę się duszą i ciałem, tak mi Panie Boże dopomóż, że to wierutne łgarstwo”. „Co? śmiesz mu zadawać kłamstwo w mojej obecności, zuchwalcze! – huknie Don Kichot – ja cię tu nauczę; jak słońce na niebie, tak prawda, że mnie ręka świerzbi, żeby ci brzuch nadziać na tę spisę moją. Rozwiązać mi zaraz tego chłopca i zapłacić go natychmiast, tylko ani słowa, bo klnę się Bogiem, że cię w tej chwili uśmiercę”. Wieśniak, spuściwszy głowę i słówka nie pisnąwszy, odwiązał pastucha, którego Don Kichot zapytał, ile mu się zasług należy. „Za dziewięć miesięcy – odpowiedział – po siedem realów na miesiąc”. Don Kichot porachował w myśli, wyliczył, że się należy sześćdziesiąt trzy reale i kazał je wieśniakowi zapłacić natychmiast, jeżeli mu życie miłe. Chłop, na pół umarły ze strachu, wtrącił, że nie chciałby dopuścić się krzywoprzysięstwa w takiej na siebie godzinie, ale że przysięga na wszystko co tylko najświętsze, iż tyle nie winien, bo od tej sumy trzeba odciągnąć trzy pary butów i jednego reala za dwa puszczenia krwi, kiedy był chory. „Jeżeli on podarł buty, któreś mu sprawił, toś ty mu narozdzierał skóry z grzbietu, a jeżeli cyrulik w chorobie krew mu puszczał, toś ty mu za to zdrowemu krwi także upuścił, tak więc kwita jedno za drugie”. „Ale to najgorsza bieda – rzecze już chłop przyciśnięty – że ja tu nie mam z sobą pieniędzy, niechże Andrzej pójdzie ze mną do domu, to mu święcie wszyściutko co do

---

<sup>34</sup> *austeria* – karczma. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *zagrodnik* – ubogi gospodarz wiejski, właściciel jednej zagrody. [przypis edytorski]

grosza wypłacę”. „Ja miałbym z nim pójść do domu – zawoła pastuszek – a niechże mnie ręka boska broni, oho! żeby mnie złapał samego, to by mnie pewno bez skóry puścił, jak św. Bartłomieja.” „Nie, nie, nie bój się – na to mu Don Kichot – ja mu nie każę, a on rozkazy moje szanować musi, i byle mi dał rycerskie słowo, puszcze go i spokojny będę o wypłatę”. „Panie rycerzu – rzecze pastuch – co też to pan mówi, a toć przecie mój gospodarz nie jest żaden rycerz, ani mu się kiedy o takiej rzeczy śniło, toć on to jest Jan Haldudos, bogacz ten, co to mieszka pod Quintanar”. „To nic nie szkodzi – odeprze Don Kichot – i między Haldudosami mogą być rycerze, a zresztą uczynki szlachetne dają każdemu szlachectwo, każdy jest dzieckiem dzieł własnych”. „To prawda – mówi Andrzej – ale jakichże to on dzieł jest dzieckiem, kiedy mi zapłacić nie chce, com ja krwawo zarobił?” „Ależ ja ci nie zapieram, Andrzejku, mój miły – odpowie wieśniak – i powtarzam ci, jeno pójdz ze mną jakieś pocziw, a przysięgam na wszystkie rycerstwa, jakie tylko są na świecie, że ci wszyściuchno zapłacę co do grosiczka, zapłacę nowiusieńkimi jeszcze realami”. „Nowymi, czy nie nowymi, to nic, już tam wszystko jedno – mówi Don Kichot – byleś tylko wszystko zapłacił, co się temu chłopcu należy, a ja poprzestaną na tym. Ale pamiętaj sobie, że dałeś mi słowo i poprzysiągłeś, bo jakbyś mi skrewił, to ja ci znów przysięgam, że choćbyś się pod ziemię schował, to ja cię, bratku, wynajdę, a słono ci będzie. Zebyś zaś wiedział, z kim masz do czynienia, znaj, że jestem słynny Don Kichot z Manchy, mściciel krzywd i bicz na złych. Bywajże mi zdrów, a pamiętaj, żeś dał słowo, bo ja mojego słowa nie zapomnę”. Tak przemówiwszy, wpakował ostrogi w brzuch Rosynantowi i odjechał od nich.

Wieśniak patrzył za nim długo, a jak go w gąszczu już z oczu stracił, wrócił do pastucha i rzekł doń: „Chodź jeno, Andrzejku, mój kanaczku, muszę ci zapłacić, jak ci się należy, bo mi przecie ten mściciel krzywd i bicz na złych tak kazał”. „Przysięgam wam – na to mu Andrzej – że jeżeli nie dopełnicie tego, co wam kazał ten zacny rycerz (za co niechaj mu Bóg długim i szczęśliwym życiem płaci), to ja choć na koniec świata pójde po niego, przyprowadzę go tu, żeby na was karę uczynił, jak obiecał”. „Dobrze, dobrze – mówi wieśniak – i żeby ci też właśnie pokazać, jak ja cię bardzo kocham, to jeszcze ci długu przysporzę, żebyś miał więcej zapłaty do odebrania”. I mówiąc to, schwycił biednego Andrzejka za ramię, przywiązał go znów do tego samego pnia dębowego, i tak go bił, tak bił, że nie przestał, aż kiedy go zupełnie prawie bez ducha zostawił.

– A wołaj sobie teraz swojego mściciela – wrzeszczał jeszcze – obaczmy, czy ci odemści, co ci się namieściło, chociaż i tego mało, bo dalipan sam nie wiem, czemu nie ma być twoja prawda i czemu ja cię żywego ze skóry nie obedrę. – Jakby na urągowisko większe, odwiązał w końcu zbitego na leśne jabłko chłopczynę i wywoływał jeszcze: „No, ruszajże po tego sędziego swojego, niechajże tu przyjdzie i wykona ten swój wyrok, to jeszcze będziesz miał w zysku, coś dostał”. Nieszczęśliwy chłopczyna poszedł sobie z bólem w duszy i na ciele, zaklinając się, że znajdzie pana Don Kichota, a ten mu każe w czwórnasób należność zapłacić. Poszedł, grożąc i płacząc, bo kaducznie go nielitościwy pan obłożył, gospodarz zdrów sobie i bezpieczny, śmiał się na całe gardło.

Don Kichot zaś wielce zadowolony z siebie, że tak pięknie i walecznie się spisał, wieszował sobie, jadąc dalej, takiego początku rycerstwa. „Możesz się śmiało za najszczęśliwszą z żyjących poczytywać – mówił do siebie; – o! najpiękniejsza z najpiękniejszych Dulcyneo z Toboso, że masz za niewolnika tak wyśmienitego rycerza, jak Don Kichot z Manchy, który, jak to światu całemu wiadomo, wczoraj dopiero pasowanym został na rycerza, a dziś już naprawił krzywdę najokropniejszą, na jaką zdobyć się może srogość i okrucieństwo najstraszniejsze na świecie, i wydarł z rąk niegodziwego oprawcy katowskie narzędzie, którym tak niemiłosiernie mordował tego chłopczynę”. Kończąc te wyrazy, dojechał do miejsca rozstaju, gdzie drogi na czworo się rozchodziły, tu zaraz przyszło mu do głowy, że błędni rycerze stawali zawsze na rozstajnych drogach, i rozmyślali, którą się puścić mają. Chcąc przeto w najmniejszej okoliczności iść za ich przykładem, zatrzymał się chwilę i zamyśliwszy się, puścił wolno cugle Rosynantowi, zostawiając mu wybór, a Rosynant, idąc za naturalnym popędem, wybrał drogę prosto do stajni prowadzącą.

Po dwugodzinnej blisko podróży Don Kichot ujrzał na drodze wielką gromadę ludzi; byli to, jak się potem pokazało, kupcy z Toledo, jadący za kupnem jedwabiu do Murcji. Było ich sześciu

na pięknych koniach, z parasolami w ręku, a z nimi czterech jezdnych służby i trzech pieszych przy mułach. Ledwie ich zoczył Don Kichot, zaraz już nową przygodę sobie przygotował w głowie, bo książkowe historie ciągle mu mózg zaprzętały. Gotując się tedy na wszelki wypadek, poprawił się dumnie w siodle, nastroił tęgą minę, zasłonił się tarczą, wyprostował dzidę i stanąwszy na środku drogi, czekał na zbliżenie się jeźdźców, których brał za rycerzów błędnych. Gdy się tak zbliżyli, że mogli go dobrze widzieć i słyszeć, zawołał do nich ogromnym i zuchwałym głosem: „Niechaj nikt mi tu przejeżdżać nie waży się, kto wprzód głośno nie oświadczy, że nie ma na świecie całym pani pięknnością świetniejszej od monarchini Manchy, nieporównanej Dulcynei z Toboso”. Słyszając to, kupcy stanęli, żeby się przyjrzeć twarzy cudackiej tego człowieka niespełna rozumu i z twarzy i ze słów jego wzięli go nie za co innego, jak tylko za to, czym był istotnie. Ale chcąc też obaczyć, do czego ma prowadzić żądane oświadczenie i zabawić się trochę, jeden z nich, żartowniś sobie i wcale dowcipny człowiek, odpowiedział mu: „Mości rycerzu, my wcale nie znamy tej pani, o której nam mówisz. Pokażże nam ją, jeśli taka piękność, jak powiadasz, z całego serca przyznamy to, czego od nas żadasz”.

– Gdybyście ją obaczyli – na to Don Kichot – to cóż by za zasługa wasza była, że przyznalibyście prawdę, która sama za siebie mówi? Tu właśnie o to idzie, żebyście temu uwierzyli, nie widząc jej, żebyście na to przysiąc byli gotowi i twierdzenia swego z bronią w ręku przeciw każdemu a każdemu bronili. Przyznajcie mi więc to natychmiast, ludzie dumni i pyszni, albo biada wam! Chodźcie, śmiałki, jeden po drugim, jak tego prawo rycerskie wymaga, albo jeśli chcecie, chodźcie wszyscy razem, jak to gawiedź wam podobna czynić zwykła. Stoję i czekam was, ufny w prawdę, którą mam za sobą.

– Dostojny rycerzu – odpowie kupiec – w imieniu wszystkich przytomnych tu, jak jesteśmy książąt, dopraszam się łaski twojej, nie zmuszaj nas do przyznania czegoś, o czym żadnego wyobrażenia nie mamy, bo aniśmy o tym słyszeli, ani widzieli; więc naprzód sumienie nasze obciążylibyśmy, a po wtóre wszystkim monarchiniom i księżniczkom Alkarii i Estramadury do najwyższego stopnia ubliżyć byśmy mogli. Pokaż nam chociaż najdrobniejszy wizerunek swojej damy, choć tylko<sup>36</sup> nawet, co ziarno grochu, i tego nam dosyć; po nitce łatwo dojść kłębka. Wtedy ze spokojnym sumieniem będziemy mogli przyznać, czego żadasz, a ty zadowolonym zostaniesz. Zdaje mi się nawet, iż tak tu wszyscy ku tobie skłonni się czujemy, że gdyby nawet na portrecie jednym okiem zezowała, a z drugiego czerwień z siarką jej płynęły, to, żeby ci być przyjemnymi, jeszcze byśmy przyznali wszystko, co byś tylko żądał na jej pochwałę.

– Co? czerwień z siarką z oka jej ma płynąć – wrzaśnie rozwścieczony Don Kichot – a podłe ciury! Balsam i bursztyn! balsam i bursztyn z oczu jej płyną! Zezu ni garba nie zna, a prosta jest i smągła, jak wrzeczono Gwadarrameńskie; rozumiecie, pogany! Ja was tu zaraz nauczę, co to jest śmieć zuchwale lżyć piękność niezrównaną pani serca mojego!

I nie bawiac<sup>37</sup>, jak wyskoczy wściekle na dowcipnisia z lancą w dół spuszczoną; byłoby mu ciepło, żeby nie szczęśliwa jego gwiazda, co sprawiła, że Rosynant w najtęższym rozpędzie utknął i na samym środku drogi jak długi się wywalił, a runął tak gwałtownie, że rycerz nasz razem z nim kawał aż na pole się potoczył. Gramolił się jak mógł, żeby się zerwać co prędzej, ale gdzież tam, ani podobna było, tak mu ciągle przeszkadzały to ostrogi, to dzida, to tarcza, szyszak i cały starodawny naddziadów rynsztunek przeklęty. Nie mogąc dać rady z sobą, językiem jednak docierał jak mógł i wrzeszczał co siły: „Nie uciekajcie, podli tchórze! czekajcie podły rodzie! stójcie, jeśli macie odwagę! Ja nie winien temu, że tu na ziemi leżę, to koń temu winien”. Jeden ze służby przy mułach, słyszając takie zniewagi, na panów swoich miotane, nie mógł już dłużej wytrzymać, bo nie był z tych, co to dużo lubią słuchać; poskoczy więc do leżącego na ziemi kawalera, schwycił mu dzidę, połamał na kawałki, a wybrawszy najpotężniejszy, jak nim weźmie młócić kawalera z sił całych, gdzie padło,

<sup>36</sup> *tylki* – tyciutki, malutki. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *nie bawiac* – tu: nie zwlekając. [przypis edytorski]

tam padło, jak Bóg dał; i zbroja i rynsztunek nic nie pomogły, zbił go na miazgę, jak ziarno pod młyńskim kamieniem. Panowie krzyczeli, żeby mu już dał pokój i nie bił tak, ale gdzie tam, ani go wstrzymać, tak się młokos zapalił do tej zabawki, że jej nie przestał aż całkiem sercu swemu ulżyć. Połamawszy w drobniuchne drzazgi jeden kawał dzidy, walił drugim, aż póki wszystkich zupełnie nie połamał, a biedny nasz rycerz ani na chwilę gęby nie zamknął pod tym rześistym gradem cepowych ciosów i ciągle wyzywał niebo i ziemię i klął rozbójników, co go tak nikczemnie napadli. Nareszcie zmęczył się już sam pacholek; kupcy pojechali w dalszą drogę, mając o czym na długi czas gadać sobie dla zabawki.

Don Kichot, widząc się sam<sup>38</sup>, znów wstać próbował, ale trudna rada, niełatwo mu to było, kiedy zdrow był zupełnie na ciele, a cóż dopiero teraz, kiedy go jakby z koła zdjął. Mimo to wszystko, cieszyła go i ta przygoda niefortunna, bo takie przygody błędnym tylko rycerzom przytrafiać się mogą, a cała wina spadała nie na niego, lecz na konia. Pocieszając się, a zmłóconemu cielsku folgując, leżał tak ciągle na pobojuwisku.

---

<sup>38</sup> *widząc się sam* – widząc, że jest sam. [przypis edytorski]

## Rozdział V

Dalszy ciąg tej samej niefortunnej przygody.

Nie mogąc się ani ruszyć od bólu, a szukając ulgi, uciekł się biedny Don Kichot do zwykłego sobie środka, to jest do wygrzebania w pamięci jakiego wypadku, podobnego swemu, z książek, które czytał niegdyś. Bujny polot odurzenia przywiódł mu zaraz na myśl nieszczęśliwy przypadek Balduina i margrabi Mantuańskiego, kiedy Karol zostawił pierwszego z nich poranionego pod górą; historia znana wszystkim od najmniejszego do najstarszego, a tyle w niej prawdy, co w cudach Mahometa. Bądź co bądź, kawalerowi naszemu przygoda ta wydała się zupełnie odpowiadającą własnemu położeniu. Zaczął się przeto konwulsyjnie po ziemi niby z bólu tarzać i stłumionym głosem skargi takie rozwodzić, jakie niegdyś ów ranny rycerz miał wyśpiewywać:

O! gdzieżeś gwiazdo moich oczu, losów moich pani!  
Czyż nie widzisz, co cierpię? jak ginę w otchłani?  
Nie, ty nie wiesz, co cierpię – bo serce z kamienia  
Miałabyś i pierś wyzutą z sumienia itd.

Kiedy tak żalonym tonem cały ów romans wyśpiewuje i kiedy doszedł właśnie do miejsca:

O wielowładny Mantuy margrabio,  
Potężny panie i wuju mój,

– zjawia się jakby umyślnie chłopiec z pobliskiej wioski, wiozący zboże do młyna. Obaczywszy człowieka tarzającego się w bólach po ziemi i tak żałośnie lamentującego, zbliża się i pyta, co on za jeden i co mu jest, że tak straszliwie wyrzeka? Don Kichot bierze go zaraz oczywiście za margrabię Mantuańskiego, swojego wuja, na pomoc mu przybywającego; tnie więc dalej pieśń swoją, nieszczęścia własne i miłostki narzeczonej z synem cesarza opiewającą.

Chłop, słysząc te brednie, jak głupi stoi chwilę, ale dla samej ciekawości schyla się nareszcie i podnosi mu przyłbicę rozbitą zupełnie, a zobaczywszy twarz najokropniej kurzem i ziemią omorusaną, obciera mu ją rękawem. Tak dopiero odkrobawszy, poznaje go i woła:

– A mój Boże! toć to wy, panie Quichada (z czego wnieść można, że musiał się tak nazywać nasz awanturnik, kiedy jeszcze miał wszystkie klepki w głowie), a któż to was tak sponiewierał?

Ale chłop swoje, a ten swoje, ani w ząb nie chce od romansu swego odstąpić i ciągle mu go recytuje. Pocziwy chłopina widząc, że tu z nim nie ma rady i do ładu nie dojdzie, miłosiernie ściąga z niego pancerz i naramienniki, chcąc się przekonać, czy nie ma jakich ran. Obmacał go, opatrzył naokoło, ale ani śladu krwi, ni rany żadnej nie znalazł. Podniósł go potem z wielką biedą z ziemi i zadźwigał na osła swego, uważając, że mu dogodniej na nim będzie, jak na grzbiecie Rosynanta. Rynsztunek cały jak najpilniej zebrał, ani ułamka spisy najmniejszego nawet nie zostawiając, wszystko w kupę związał i na Rosynanta wpakował, potem wziął go za uzdeczkę, osła za cugle i z całym tym taborem do wsi maszerował, rozmyślając i dziwiąc się, a w głowę zachodząc nad szaleństwem Don Kichota.

Don Kichotowi także niemądrze było na sercu, bo zbity na leśne jabłko, ledwie się biedaczysko utrzymać mógł na osle, tak go kości dolegały, a od czasu do czasu głębokie do nieba szał westchnienia, tak przejmujące, że pocziwy chłopina znów go się pytał miłosiernie, co mu jest takiego? Ale rycerzowi naszemu szatan wyraźnie chwycił się mózgu i budził mu w pamięci wszystkie, jakie tylko kiedy bądź czytał historie, coś podobnego z jego terażniejszą przygodą mające. Dał pokój już Balduinowi, ale za to uczeplił się historii Maura Abindarraeza, jak go burmistrz Antequerry, Rodryg

de Narvaez, wzięwszy do niewoli, do miasta swego odwoził. A kiedy go się chłop pytał, jak się teraz czuje i gdzie go boli, odpowiadał mu słowo w słowo wyrazami pojmanego Abindarraeza, w romansie Diana, kiedy ten odpowiada na zapytania Rodryga de Narvaez. Długie te i nudne brednie tak zamały głowę chłopu, że kłął na czym ziemia stoi, zmuszonym będąc słuchać tego wszystkiego. Nareszcie zaświeciło mu jakoś w głowie i pomyślał sobie, czy aby pan sąsiad nie zwariował na piękne. Pośpieszał tedy, co mógł, do domu, żeby się pozbyć z głowy tych piekielnych bredni, które mu w uszy kładzie ciągle Don Kichot. Ale nie zdążył tak prędko do wsi i Don Kichot miał czas długim perorom swoim takie jeszcze dać zakończenie.

– Wiedz, szlachetny Rodrygu de Narvaez, że wspomniana przeze mnie wyżej piękna Ksarifa teraz na cudną Dulcyneę z Toboso zamienioną została i że dla niej to ja największe cuda rycerskiej dzielności jakie świat widział, widzi i widzieć będzie, spełniam, spełniałem i spełniać będę.

– A boś, miły paneńku – mówi mu na to zafrasowany sąsiad – przypatrztaż się mi, grzesznikowi, jak należy. Przecież widzita, że ja tam nie jestem żaden Rodrigo de Narvaez, ani margrabia Mantuański, ale jestem ja, ja sam, jak Bóg przykazał Peter Alonzo, wasz sąsiad, a wy przecież nie kto inny, ani Balduin tam jakiś, ani poganin Abindarraez, jeno nasz poczciwy szlachcic, jegomość Quichada.

– Wiem ja, kim jestem – zawołał Don Kichot – ale wiem także, kim być mogę, to jest nie tylko takim, jak dotąd wspomniałem, ale większym i dostojniejszym jeszcze od dwunastu parów Francji i dziewięciu bohaterów świata, bo to wszystko, co oni razem lub każdy z osobna zrobili, ani umywało się do wielkich czynów moich.

Tak we dwóch rozmawiając, dojechali pod wieczór do wsi; przezorny gospodarz zatrzymał się pod wsią, żeby się dobrze ściemniało, nie chcąc znanego wszystkim mieszkańcom szlachcica na pośmiewisko w takim stanie i na takim wierzchowcu wystawiać. Gdy noc zapadła, wjechał do wsi i odwiózł go do domu, gdzie wszystko w jak najokropniejszym było zamieszaniu od chwili zniknięcia pana. Proboszcz i cyrulik z tej wsi, najzażyłsi jego przyjaciele, byli tam właśnie, wielce zafrasowani, a służąca pytała się księdza: „No i cóż, dobrodziejku Petro Perez (tak się nazywał proboszcz), jakże wy myślicie, co się stało z moim panem? Sześć dni już ani go oko, ani jego, ani konia, i musiał zabrać z sobą stare zbroisko i tarczę i spisę, bo się to wszystko gdzieś podziało. A! nieszczęśliwa głowa moja! ja wam powiadam, jako Bóg na niebie, jak zbawienia przy śmierci pragnę, tak to nic innego, tylko te z piekła rodem książczyska wariackie, do których go raz wraz szatan kusił, musiały mu w głowie popsuć. A! żebyście wy nigdy światła niebieskiego nie oglądały, bodajęście z piekła nigdy były nie wyszły psie książczyska, coście najpiękniejszy w całej Manchy rozum tak mizernie skręciły! O! pamiętam, pamiętam dobrze, jak on nieraz sam do siebie gadał, że musi w świat jechać, cudów rycerskich dokazywać i Bóg go tam już wie nie co! O! bieda, bieda!”

Siostrzenica także biadała tak samo i przeklinała i rozumowała. „Czy wiecie, panie Mikołaju – mówiła do cyrulika – że wujaszek często po dwa dni i dwie noce kamieniem siedział nad tymi przekłętymi księgami, a czytał ciągle i czytał. A potem zrywał się jak opętany, rzucał książkę o ziemię, chwycił miecz w rękę i rąbał nim zapamiętałe po wszystkich ścianach i kątach. A jak się zmęczył, że już ani rusz ręką władnąc nie mógł, ustawał i opowiadał, że zabił czterech olbrzymów takich wielkich, jak nasza dzwonnica; obcierał się z potu, co się lał dziurgiem<sup>39</sup> z niego, i pokazywał go mówiąc, że to krew z ran, które mu zadali. Potem wypijał ogromny kufel wody świeżej, co zaraz ozdrowiało i uspokajało, ale powiadał, że to napój cudowny, który mu podarował jakiś Esquife, wielki czarnoksiężnik i przyjaciel jego od serca. Ja to winnam temu wszystkiemu, żem wam zaraz nie powiedziała o tych bzikach wujaszka, ale bałam się, żeby ludzie nie ogłosili go za wariata. A wy może byście byli jeszcze znaleźli jaki środek uleczenia go. Bylibyście przynajmniej te wszystkie potępione książki w ogień wrzucili, jak heretyków wrzucają”.

---

<sup>39</sup> dziurgiem – dziś popr.: ciurkiem. [przypis edytorski]

– O tak, tak – wtrącił żywo proboszcz – w ogień, w ogień z tymi kacerstwami; przysięgam, że jutro, nim słońce zajdzie, dam ja na nich przykład ludziom, żeby znów kogo nie zgubiły, jak mego najukochańszego przyjaciela.

Kiedy taka rozmowa się toczy, wieśniak z Don Kichotem podjechali właśnie pod dom, a że mówiono bardzo głośno, dosłyszeli wszystkiego, i chłop dopiero na dobre się domyślił, co się z Don Kichota głową dzieje. Don Kichot, podjechawszy do drzwi, zaczął krzyczeć z całych sił: „Panowie! otwierajcie! hrabia Balduin, margrabia Mantuy, Rodryg de Narvaez burmistrz Antequerry z jeńcem swoim Maurem Abindarraezem przybywają tu”. Wszyscy wypadli do drzwi na to wołanie, a kiedy jedni przyjaciela, siostrzenica wuja, gospodyni pana swego w nim poznali, rzucili się do niego, chcąc go z radości całować, a on siedział nieruchomy na ośle, wcale ochoty do zsiadania z niego nie okazując. Ale gdy ujrzał ich tak biegnących z rozwartymi ramionami ku sobie, wyciągnął do nich poważnie rękę i zimno przemówił: „Dajcie mi pokój, wracam mocno poraniony, ale to koń temu winien. Zanieście mnie do łóżka i zawołajcie mi, jeśli można, znachorkę Arganię, żeby mi rany opatrzyła”.

– Otóż masz! – wrzaśnie gospodyni. – A co? nie mówiłam ja, że to na to przyjdzie, o! serce mnie ostrzegęło! Chodź, chodź, najdroższy panie, i daj tam do licha pokój z tą znachorą; my ciebie sami wyleczymy i bez tej wiedzy. A! żebyście wy przepadły, a żeby was milion potępień trzęsło, wy, szatańskie książki, coście mi pana tak wykierowały!

Poniesiono go na łóżko, a kiedy obszukiwać zaczęli gdzie by był ranny i żadnej rany znaleźć nie mogli, on im powiedział:

– Ja tylko rozbity jestem tak strasznie, bo koń mnie przywalił, gdym się potykał z dziesięciu najogromniejszymi pod słońcem olbrzymami.

– Oho! masz już olbrzymów – mruknął proboszcz. – No, no, nie będzie już ani jednego do jutra wieczór, jakem ksiądz!

Wiele pytań zadawali jeszcze Don Kichotowi, ale na wszystkie odpowiadał tylko, żeby mu jeść dali i wyspać się pozwolili, bo tego teraz najbardziej potrzebuje. Dali mu więc spokój, a ksiądz tymczasem wypytał się chłopą, gdzie i jak go znalazł. Chłop opowiadał wszystko co do joty, ani szczegółku nie opuszczając i jak mu prawił długo najdziwaczniejsze brednie, kiedy go znalazł na ziemi tarzającego się i kiedy go już wiozł do domu.

Ksiądz jeszcze bardziej utwierdził się w ważnym postanowieniu swoim i w celu dopełnienia go zaprosił na jutro cyrulika do mieszkania Don Kichota.

## Rozdział VI

O surowym sędzie, jaki ksiądz z cyrulikiem na bibliotekę zacnego szlachcica Don Kichota złożyli.

Bohater nasz spoczywał głębokim snem zdjęty, kiedy ksiądz i cyrulik weszli do niego i zażądali od młodej siostrzenicy, żeby im dała klucz od pokoju, gdzie się znajdowały przeklęte książki. Z całego serca im go dała. Weszli tam wszyscy, nawet i gospodyni, i znaleźli ze sto z górą ogromnych foliantów<sup>40</sup> i mnóstwo mniejszych tomów, a wszystkie ślicznie oprawne i doskonale zachowane. Gospodyni, jak tylko je ujrzała, wypadła natychmiast gwałtownie z izby i powróciła zaraz z miską wody święconej w ręku.

– Macie, dobrodzieju, macie – bełkotała zdyszana – pokropcie całą izbę tą wodą, żeby który z tych czartowskich czarnoksiężników, co tam siedzą zakłęci w tych książkach, nie oczarował nas za to, że ich ze świata zgładzić chcemy.

Proboszcz się rozśmiał z tej prostoduszności i kazał cyrulikowi podawać sobie książki jedną po drugiej, żeby się przekonać, o czym każda traktuje i czy nie znajdzie się takich, co nie zasługują na srogą karę kacerską<sup>41</sup>.

– Nie, nie – zawołała siostrzenica – ani jednej nie darować, wszystkie spalić, bo one wszystkie zgubiły mi wuja. Wziąć po prostu i od razu wszystkie oknem wyrzucić na kupę i podpalić, albo też wynieść je na tylne podwórko i tam je zgładzić, żeby dymu w domu nie narobić.

Służąca była zupełnie tego samego zdania, a obydwie zażarcie nastawały na bezmiłosierną zagładę tych biednych niewiniątek; ale proboszcz nie odstąpił od swojego, że musi przynajmniej z tytułów je poznać.

Najpierwsza, co mu podał cyrulik, miała tytuł: *Amadis z Galilei*.

– O, to dopiero coś dziwnego – rzekł proboszcz – słyszałem przecież, że to jest pierwsze dzieło rycerskie, które w Hiszpanii drukowano i że ono służyło za wzór wszystkim innym. Zdaniem przeto moim, książka ta najpierw skazana być winna na spalenie, jako pierwszy herszt tak zgubnej sekty.

– A ja upraszam o łaskę dla niej – odezwał się cyrulik – bo słyszałem nieraz od mądrych ludzi, że to jest najpiękniejsze w tym rodzaju dzieło, jakie posiadamy, a jako najdoskonalsze i jedyne w sztuce swojej zasługuje na przebaczenie.

– Prawdę mówisz – odrzekł proboszcz – przebacza się jej więc tymczasowo. Pokaż, co tam masz dalej.

– *Dziwne przygody Esplaudiana* – odpowiedział majster Mikołaj – to rodzeniuteńkie dziecko *Amadisa z Galii*.

– Co wolno ojcu, to zasie dziecku – na to proboszcz – gosposiu, otwórz okno i smygnij no ją tam na podwórze; będzie na fundament do stosu.

Gospodyni ledwo ze skóry nie wyskoczyła z radości, spełniając to polecenie; i poczciwy Esplaudian poleciał na podwórze czekać cierpliwie srogiemu losu, jaki go miał spotkać.

– Idźmy dalej – odezwał się proboszcz.

– To, to jest *Amadis z Grecji* – rzekł cyrulik – a mnie się zdaje, że te wszystkie Amadisy to z jednego pałku.

– Marsz z nimi wszystkimi na podwórze – zaintonował proboszcz – palić wszystko, palić – a tę królową Pintiquieniestrę i pasterza Danirela z jego czułościami i sprośną gadaniną, to bym nawet z rodzonym ojcem razem spalił, gdyby mi się zjawił pod postacią błędnego rycerza.

– O! i ja także – zawtórował cyrulik.

---

<sup>40</sup> foliant – a. foliał wielka, najczęściej stara księga, wielkości połowy arkusza (wg dziś stosowanych norm jest to format A1, a więc arkusz o rozmiarach 594 na 841 mm). [przypis edytorski]

<sup>41</sup> kacerski – heretycki; kara kacerska tj. kara przeznaczona dla heretyków, tu: spalenie na stosie. [przypis edytorski]

– O! i ja z całej duszy – odezwała się siostrzenica.  
– Palić, palić, wszystko na kupę – mruzczała gosposia.  
I jednym zamachem wyrzuciła przez okno cały stos książek przed nią leżący.  
– A co to tam za ogromne foliancisko? – zapytał ksiądz.  
– To *Don Olivantes de Laura* – odpowiedział majster Mikołaj.  
– A to tego samego autora, co *Ogród Flory* – mówił proboszcz – oba lepsi, dalej z nią za okno, to same kłamstwa i wariacje.

– A to tu, to *Florismart z Hiszpanii* – odzywa się znów cyrulik.  
– Aha! i mospan Florismart jest tu? – na to ksiądz – i jego zaraz mi z drugimi za okno, choć takiego rodzaju i takie dziwne miał przygody w życiu; biedota i ordynarność stylu nie zasługują na lepszy los.

– Tu idzie kawaler Platir – znów cyrulik.  
– To stare szpargalisko – ksiądz wyrokuję – nic a nic w sobie dobrego nie ma, żeby mu darować; za okno z nim, gosposiu, zaraz mi za okno, a nie zapomnij także i o Kawalerze Krzyża, święte to nazwanie powinno by mu zapewnić ocalenie, ale to takie brzydactwo, takie bezceństwo, że nie można mu tego darować.

Cyrulik wziął znów inną książkę i oznajmił: to jest *Zwierciadło rycerstwa*.

– Mam honor znać je – odparł proboszcz. – Znajdziemy tam wielmożnego Rinalda de Montalban z dwunastu przyjaciółmi, a wszyscy gorsi rozbójnicy od Katrusa i dwunastu parów Francji i wiernego ich historyka arcybiskupa Turpina. Jak mi się zdaje, to dosyć tych panów będzie skazać na wieczne wygnanie, bo historia ich zaczerpnięta z pomysłu Boyardego, od którego i piękny Argost wziął myśl także. Ale i Ariost<sup>42</sup>, jak go złapię, że innym gada językiem, jak przystoi, to i jemu się dostanie, chociaż go szanuję kiedy pięknie pisze i zawsze respekt mam dla niego wysoki.

– A ja go mam po włosku – na to cyrulik – ale nie rozumiem po włosku.

– To i lepiej ci z tym, niewiele na tym stracisz, i pan tłumacz byłby dobrze zrobił, żeby sobie był dał pokój z przyswajaniem go nam, bo to jeszcze i stracił wiele zalet w tym przenicowaniu; wierszem pisanej książki nigdy nikt nie przetłumaczy, jak należy, to tam trudno, żeby mu łeb pękł, to zawsze charakteru głównego i najpierwszych piękności nie potrafi zachować. Jemu i tym wszystkim, co mówią o francuskich sprawach, myślę, że można darować i wsadzić je tylko w miejsce pewne, a później, jak będziemy mieli trochę więcej wolnego czasu, to zobaczymy, co z nimi zrobić. Ale wyjmuję od tej łaski niejakiego Bernarda de Carpio, co się tu po kraju włóczy, i drugiego nazwiskiem Roucesvalles, O! ci, jak mi tylko w rękę wpadną, zaraz je oddaję w moc siły zbrojnej gospochy.

Cyrulik zgadzał się na wszystko, ślepą wiarą spuszczał się na plebana, którego uważał za człowieka nader mądrego i prawdę tak miłującego, iż za żadne skarby świata w niczym by od niej nie odstąpił. Otworzywszy znów dwie książki, znalazł w nich: *Palmeoina z Oliwy*, a w drugiej *Palmeoina z Anglii*.

– Pierwszego – rzecze ksiądz – spalić z kretesem, a popiół na cztery wiatry obrócić, ale *Palmeoina z Anglii* zachowajmy, bo to dzieło bardzo znamienite, trzeba kazać na nie zrobić pudełko bogate, jak Aleksander Wielki kazał zrobić na dzieła Homera. Z dwóch względów, mój braciszku, ważna to niezmiernie książka: raz, że jest sama z siebie wyborna, a po wtóre, że, jak powiadają, napisać ją miał pewien król portugalski. Wszystkie przygody w zamku Beauregard wydarzone ślicznie opisuje, a jaka tam sztuka w stylu, w czystości mowy, jaka prostota, przyzwoitość i prawda wszędzie. A więc tedy, mości Mikołaju, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, dzieło niniejsze razem z *Amadisem z Galii* wyłączymy od egzekucji ogniowej. Reszta wszystko bez różnicy i dalszego badania hurtem na stos, niech ginie bestyjstwo i śladu pamięci po sobie nawet nie zostawi.

---

<sup>42</sup> Ariost – właśc. Ludovico Giovanni Ariosto (1474–1533) poeta, satyryk i komediopisarz wł., autor eposu rycerskiego *Orland szalony*, dzieła, które przez wieleset lat wywierało szeroki wpływ na literaturę europejską. [przypis edytorski]

– A nic, nic, miły dobrodzieju, pozwólcie jeno – wtrąci cyrulik – bo oto mam w ręku sławnego *Belianisa*.

– A wiem, wiem – odezwie się ksiądz – temu by tylko trzeba dać porządną dozę rumbardum, żeby mu żółć ściągnąć, co we wszystkich tomach tak dogryza, trzeba by także odciąć *Zamek Sławy* z niego i wiele jeszcze innych plugastw, a wtedy można go będzie do czasu uwzględnić, i jeżeli się poprawi, to obaczmy, może zasłuży sobie na ulaskawienie. A tymczasem, możesz go, braciszku, zachować u siebie, tylko strzeż, żeby go nikt nie czytał.

– Bądźcie spokojni, dobrodzieju, to już moja rzecz – rzekł cyrulik i nie zadając sobie już więcej trudu z przeglądaniem tytułów, kazał sumarycznie gospodyni zabrać wszystkie wielkie wolumina i na podwórze wyrzucić.

Gospodyni tego dwa razy nie trzeba było gadać; za nową koszulę z całej duszy spaliłaby wszystkie książki na całym świecie; zabrała się też z wielkim zapalem i zagarnawszy od razu siedem czy osiem potężnych foliantów, machnęła je za okno. Ale nie mogła dobrze wszystkich w ręku utrzymać, jeden więc runął pod nogi cyrulikowi; ciekawość go jakoś wzięła, spojrzął na tytuł i obaczył, że to była historia sławnego *Tiranta Białego*.

– Co?! – zawoła pleban – masz tam *Tiranta Białego*? A dajże mi go tu, majstrze Mikołaju, a wiesz ty, mój miły, że to skarb nieoszacowany, to antydot na wszelkie strapienia. Tam to dzielny rycerz Kirie Elejson z Montalban i brat jego Tomasz Montalban z kawalerem Fonsekiem występują jako ludzie szlachetni; nieustraszony Detsyant potyka się z olbrzymim brytanem, panna Rozkosz Życia figielki płata, wdowa Spokojnicka zawodzi miłosne intrygi, a cesarzowa kocha się zapamiętale w swoim masztalerzu. A to wyborne, powiadam ci, braciszku, to najpiękniejsza książka na świecie i ze stylu i z konceptu; tu rycerze jedzą i śpią pokotem, umierają w łóżkach uczciwie i testamenty robią przed śmiercią i tysiąc innych rzeczy robią porządnie, jak należy, o czym w innych książkach ani słowa nie znajdziesz. Ale mimo to, nie zaszkodziłoby wcale wsadzić pana autora jednak do ciupy na całe życie za rozmaite głupstwa, które z umysłu tam powsadzał. Weź no ją do siebie i przeczytaj, mój braciszku, a obaczysz, czy nie prawdę mówię.

– I owszem, przeczytam caluteńką – rzekł cyrulik. – ale cóż teraz zrobimy z tym tu całym drobiazgiem, a jeszcze zostaje?

– E! przecież to nie mogą już być dzieła rycerskie – mądrze powie ksiądz – to pewno jacyś poetkowie. Otworzył teraz pierwszą lepszą pod ręką małego formatu książeczkę i znalazł w niej *Diane de Montemayora*<sup>43</sup>. – E! to tam biedactwo może ująć wszystko ognia – mówił myśląc, że wszystkie te małe książki były tego rodzaju. – To maleństwo nie może tyle złego narobić, co te giganty rycerskie. To przynajmniej trzyma się jako tako zdrowego rozumu i nikomu go nie wykoszławi.

– O! mój dobrodzieju – wtrąci się siostrzenica – lepiej każcie i to wszystko spalić, bo to znów bieda z tego będzie, jeśli się wuj z tej swojej rycerskiej wariacji wylize, a zajrzy, broń Boże, do nich, to gotowa go wziąć ochota zrobić się pasterzem i biegać po łąkach i lasach, przygrywając na fujarzy. A to by może gorzej jeszcze było, niż żeby się rozchorował na poetę, bo to powiadają, że ze wszystkich wariacji ta najbardziej uparta i najcięższa do wyleczenia.

– Masz asińdzka słuszność, ani słowa – odpowie ksiądz – lepiej i ten szkopuł wujaszkwowi spod nóg usunąć. Zaczniemy więc od *Diany Montemayora*. Nie sądzę jednak, żeby ją trzeba na spalenie wyrokować, dość będzie odciąć z niej tylko wszystko, co prawi o mądrej Felicji i o tej zaczarowanej wodzie, wyłuskać z niej wszystkie wiersze, a przy prozie zostanie jej zaszczyt niezawodnego pierwszeństwa między utworami wszelkimi w tym rodzaju.

– Teraz idzie – odezwał się cyrulik – *Diana*, zwana drugą, przez Salmentyna napisana i jeszcze jedna *Diana* przez Gil Pola.

---

<sup>43</sup> *Jorge de Montemayor* (ok. 1520–1561) – powieściopisarz i poeta portugalski (jego oryginalne nazwisko brzmiało Jorge de Montemor), piszący niemal wyłącznie po hiszpańsku, znany przede wszystkim jako autor romansu pasterskiego *Diana* (1559). [przypis edytorski]

– Salmentynową pakuj na stos – wyrokuje pleban – to paskudztwo, jak i inne, ale *Dianę* Gil Pola schowajmy i szanujmy, jakby ją sam Apollo napisał. Ale ruszaj dalej i spiesz się, trzeba kończyć, bo już późno.

– A to *Dziesięć Ksiąg Fortuny Miłości* – rzecze cyrulik – skreślone przez Antoniego Ofrazę, poetę sardyńskiego.

– Jak mi Bóg miły – zawoła ksiądz – odkąd o Apolinie i muzach mówi się na świecie i odkąd poeci istnieją, nie było nigdy przyjemniejszej i zabawniejszej książki, a kto jej nie czytał, może być pewien, że nic dobrego nie czytał. Dajno mi ją, braciszku, niech zginę, jeśli bym ją oddał za sztukę najpiękniejszej sajety florenckiej na kapotę.

– A tu znów idą – rzecze cyrulik – *Pasterz Iberyjski, Nimfy z Enares i Medykament Zazdrości*.

– Oddaj to wszystko gospodyni do licha – rzecze ksiądz – bo jak zacniemy rozbierać, to nigdy nie skończymy.

– A z *Pasterzem z Fildy* co zrobić? – zapyta cyrulik.

– E, co on za pasterz – odpowie pleban – to zręczny dworus, frant nad franty; schować go, bo to skarb wielki. A to wielkie dzieło, co to tam? A to skarbiec różnych poezji. Wszędzie tego jak śmieci, żeby ich mniej było, toby je więcej ceniono. Warto by z tej księgi wyrzucić masę błahych utworów, a te, co coś warte, zyskałyby na tym. No, zawsze zostawmy je, autor mój przyjaciel i pisał wiele innych rzeczy wcale dobrych, można więc i tej książce przebaczyć.

– Co to za zbiór piosnek Lopeza Maldonata? – zapyta cyrulik, otwierając jakąś książkę.

– A i to także mój przyjaciel – rzecze pleban – a wiersze jego cudownie się wydają, kiedy je recytuje, bo ma głos prześliczny. Troszkę za rozwlekły w sielankach, no, ale co dobrego, to choć długie, nie wadzi. Trzeba go na bok odłożyć do rezerwy. A tam obok, co to leży?

– To *Galatea* Miguela Cervantesa – odpowiedział cyrulik.

– To jeden z moich najdawniejszych przyjaciół; biedaczysko nieszczęśliwe, nie świeci mu poezja. Dużo ma pomysłu, zawsze dużo obiecuje, ale nic nie kończy dobrze. Trzeba czekać na drugą część, którą zapowiedział, może mu się uda i pierwszą uczynić godną łaski. Tymczasem, odłóż braciszku na bok, a pokaż no co to tam te trzy tomy razem związane?

– To jest: *Arankana* don Alonza z Hercylii, *Austriada* Jana Rufo, przysięgłego z Kordoby i *Montferrat* Cristobala Vivesa, poety z Walencji.

– To są najlepsze wiersze heroiczne ze wszystkich dotąd znanych w Hiszpanii – rzekł pleban – i mogą się śmiało równać z najznamienszymi utworami włoskimi. Schowaj starannie wszystkie te trzy tomy, jako szacowne pomniki znamienitości naszych poetów.

Zmęczony nareszcie pleban przeglądaniem tyłu książek, kończąc rzecz krótko, kazał wszystkim resztę na stos wpakować. Ale kiedy mu cyrulik pokazał jeszcze *Łzy Angeliki*, z prawdziwym uczuciem odezwał się:

– Ach! byłbym się serdecznie zmartwił, żeby taka książka z mojego rozkazu miała być spalona, a przecież to jej autor jest jednym z najznakomitszych poetów nie tylko hiszpańskich, ale na całym świecie, a przy tym tak wybornie przetłumaczył kilka bajek Owidiusza.

## Rozdział VII

### Druga wyprawa Don Kichota.

Kiedy tak rozprawiają, nagle dochodzi ich krzyk Don Kichota, na całe gardło wrzeszczącego: „Przybywajcie tu, przybywajcie, dzielni rycerze, pokażcie, co potrafi wasze ramię, bo inaczej dworacy odniosą tryumf turnieju”. Wszyscy porzucili książki i pobiegli na ten krzyk. Reszta biblioteki dostała się w samowolne ręce gospodyni i siostrzenicy, które bez żadnych formalności proceduralnych zaraz zarządziły jej egzekucję. Tak więc: *Kareola*, *Lew w Hiszpanii*, *Wielkie czyny cesarza*, dzieło Ludwika d’Avila, które znajdować się tam musiały, poniosły karę stosu, której może by uniknęły, gdyby proboszcz sprawy ich był rozpoznawał. Sędziowie ksiąg, wszedłszy do pokoju Don Kichota, zastali go zrywającego się z łóżka; wrzeszczał ciągle i ogarnięty dziwnymi widzeniami, walił z całej siły mieczem po wszystkich ścianach, to żgając, to siekąc, a oczy miał całkiem otwarte, jak człowiek na piękne<sup>44</sup> rozbudzony. Wszyscy rzucili się na niego i gwałtem rozbroiwszy, w łóżko położyli. Po chwili wypoczynku, kiedy niby to przyszedł trochę do siebie, zwrócił się ku proboszczowi i rzekł mu: „O! tak, najwielebniejszy arcybiskupie Turpinie, wielka to sromota dla dwunastu parów, że tak nikczemnie dali odnieść chwałę turnieju dworakom, kiedy my, rycerze błędni, przez trzy dni z kolei tryumfy odnosiliśmy”.

– Cierpliwości, cierpliwości, mój miły bracie – rzekł proboszcz – fortuna kołem idzie, kto dziś pod wozem, jutro może być na wozie. Ale dajmy pokój temu wszystkiemu, teraz myślimy tylko o zdrowiu twoim, musisz być straszliwie zmęczony, a może i ranny.

– Ranny bo nie jestem – odparł Don Kichot – ale co zbity, to zbity należycie; przeklęty ten bękart Roland okładał mnie nielitościwie pniem dębu wielkiego z zawiści, że staram się przesadzić go w męstwie. Ale chyba nie byłbym Rynaldem Montalban, żebym mu tego wszystkiego, mimo jego czarów, drogo nie zapłacił, jak tylko z łoża się zdzwignę. Na teraz – dodał – dajcie mi co na śniadanie, tego mnie najbardziej trzeba, a o zemście już sam pomyślę.

Przynieśli mu jeść i posiliwszy się, zasnął znów, a oni wyszli, dziwując się wielce tak niesłychanej wariacji. W nocy gospodyni spaliła wszystkie księgi, wyrzucone na podwórko, i te nawet, które w domu były. Znalazło się tam pewno wiele takich, które by na wieki w archiwach publicznych zachować się godziło, ale poszły na pastwę płomieni losiem nieszczęśliwym i sędziów niedbalstwem, i sprawdziło się na nich przysłowie: ślusarz zawinił, a kowala powiesili. Proboszcz i cyrulik uradzili walnie, że najskuteczniejszym lekarstwem na chorobę ich przyjaciela będzie zamurować drzwi biblioteki na zawsze, żeby już do niej nie trafił, jak się podniesie. Sądziło się, że zabijając przyczynę, zniszczą i skutek jej zgubny; choremu zaś mieli powiedzieć, że czarnoksiężnik jakiś porwał gdzieś bibliotekę razem z książkami. We dwa dni później Don Kichot wstał z łóżka i zaraz prosto chciał iść do książek swoich, ale nie mogąc znaleźć izby, gdzie były złożone, kręcił się na wszystkie strony i w głowę zachodził, co by się z nią stało. Ze sto razy wracał do miejsca, gdzie dawniej drzwi były, macał rękoma, śledził oczyma, ani słowa nie mówiąc i pojąć nie mogąc tego dziwnego cudu. Zmęczony się nareszcie szukaniem, zapytał gospodyni, gdzie jest izba z książkami.

– Co za izba, panie? – odpowiedziała służąca – próżno pan szukasz. Nie ma już ani izby, ani książek w całym domu, a toć szatan wszystko gdzieś porwał!

– To nie szatan – wtrąciła siostrzenica – ale czarnoksiężnik jakiś przybył tu na obłoku drugiej nocy zaraz po wuja odjeździe, zsiadł ze smoka i wszedł do biblioteki; nie wiem, co tam robił, krótko bawił i przez dach czmychnął, cały dom dymem napełniwszy. Kiedyśmy się zebrali na odwagę, żeby zobaczyć, co on tam zrobił, nie znaleźliśmy ani izby, ani książek, ani śladu nawet gdzie były.

---

<sup>44</sup> *na piękne* – dziś: na dobre; całkowicie, zupełnie. [przypis edytorski]

Pamiętam tylko, że uciekając krzyknął głośno, iż płaci Don Kichotowi zemstą, która mu się od niego należy. Powiedział jeszcze, że się nazywa Mugnaton.

– Chyba Freston, nie Mugnaton – zawołał Don Kichot – bo to największy czarnoksiężnik i najzawzięty mój nieprzyjaciel, pała do mnie nienawiścią, bo sztuka jego mu powiada, że kiedyś spotkam się w boju pojedynczym z młodym rycerzem, którego kocha i proteguje, i wie, że mimo całej jego mądrości, pokonam tego gagatka. Broi więc, gdzie może, ale niech wie, że próżne jego zabiegi, że nic odwrócić nie zdoła tego, co niebo już samo rozstrzygnęło.

– Któż by wątpił o tym? – rzecze siostrzenica. – Ależ, mój drogi wujaszku, po co tobie się mieszać w te szatańskie sprawy i te walki okrutne? nie lepiej by ci siedzieć spokojnie w domu, cieszyć się tym, co masz, bawić polowaniem, a nie truć się i dręczyć po świecie? Mój wujaszku, nigdzie nie znajdziesz bielszego chleba, jak z naszej pszenicy, a kto za wysoko sięga, nieraz ciężko padnie.

– O miła siostrzenico! serdeńko moje – odpowie Don Kichot – sama nie wiesz, co prawisz, ja nie padnę, włos mi z głowy nie spadnie, bo na proch zgniotę i zmiążdżę tego, kto by się ważył palec nań podnieść.

Biedne kobiety nie sprzeczały się już z nim więcej, bo widziały, że w okrutną złość wpada. Dwa tygodnie całe siedział w domu nasz rycerz, wypoczywając po trudach, i najmniejszego nie dawał po sobie znaku, aby o nowych znów szaleństwach miał myśleć. Z proboszczem i cyrulikiem ciągle upierał się, że błędni rycerze są rzeczą najpotrzebniejszą na świecie, i że on zakon ich wskrzesił. Proboszcz czasami go zbijał, czasami też udawał, że się do zdania jego przychyła, bo inaczej niepodobna by z nim dojść ładu. Don Kichot tymczasem namawiał sobie po kryjomu sąsiada chłopka, bardzo uczciwego człowieka, ale biednego i któremu także jakoś klepki w głowie brakowało. Po długich gadaniach i wielkich obietnicach, doszedł nareszcie do tego, iż go skusił i namówił na giermka do siebie. Mówił mu między innymi, żeby się niczego nie bał, że jak pójdzie z nim na wyprawę, wielki los zrobić może<sup>45</sup>, a przecież nic nie straci, zamiast nędznej strzechy i gnojowiska, z którego go wyciąga, da mu kiedyś przy boskiej pomocy, namiestnikostwo wyspy jakiej rozległej. Sancho Pansa (takie było imię chłopka) dał się ułudzić pięknym obietnicom, porzucił żonę i dzieci i przystał na giermka do swego sąsiada. Don Kichot, zapewniwszy już sobie niezbędnego luzaka, zaczął myśleć jakby tu zebrać pieniądze. Jeden folwark sprzedał, drugi zastawił, a wszystko za psie pieniądze, i tym sposobem okrągłą sumkę miał w kieszeni. Od któregoś z przyjaciół pożyczył starą przyłbicę, i skleiwszy sobie hełm jak mógł najlepiej, zalecił giermkowi, aby na ten i na ten dzień i godzinę był gotów do pochodu; przede wszystkim zaś nakazał mu zaopatrzyć się w porządne sakwy. Sancho przyrzekł wszystko solennie, oświadczył nawet, że ma ochotę wziąć z sobą osła swego, wychwalając jego siłę dobrze zakonserwowaną, bo nigdy jeszcze wiele nie chodził. Zakłopotał się trochę Don Kichot na wspomnienie osła i nie wiedział, czy pozwolić giermkowi wziąć to zwierzę, czy nie, bo przechodząc w pamięci dzieje wszystkich rycerzy, które kiedykolwiek czytał, nie wpadł ani na jednego, co by miał giermka na takim wierzchowcu. Zgodził się mimo to na propozycję, myśląc sobie, że da luzakowi lepszego wierzchowca, jak tylko złupi jakiego rycerza niegrzecznego i nieuczciwego. Zaopatrzył się także w koszule i inne rzeczy, stosownie do rady karczmarza. Wszystko to działo się tajemnie. Sancho, nie pożegnawszy ani żony, ani dzieci, a Don Kichot ani pisnąwszy nic siostrzenicy i gospodyni, wyjechali nocą ze wsi i ruszyli tak spiesznie, iż nazajutrz o świcie byli już pewni, że żadna pogoń ich nie doścignie. Sancho Pansa jechał na osła, jak patriarcha, ze zwieszonymi sakwami i wielką fłaszą u siodła, a myślał ciągle, rychło zostanie rządcą, jak mu pan obiecał. Don Kichot obrał tę samą drogę co pierwszym razem, to jest przez wieś Montiel, przez której pola przejeżdżał teraz wygodniej, niż wtedy, bo było bardzo rano i promienie słoneczne, padając z ukosa, nie dopiekały mu tak ostro. Jechali dotąd, słowa do siebie nie przemówiwszy, ale Sancho Pansa, którego język bardzo świerzbiał, otworzył pierwszy usta i rzekł do swego pana:

---

<sup>45</sup> wielki los zrobić może – sens: może uśmiechnąć się do niego fortuna, również w sensie finansowym. [przypis edytorski]

– Najdostojniejszy rycerzu błędny, pamiętajcież, proszę was, o tej wyspie, coście mnie ją obiecali, bo żeby tam była wielka, jak nie wiem co, to ja nią będę śliczniuchno rządził.

– Słuchaj no, przyjacielu Sancho – odpowie Don Kichot – trzeba ci wiedzieć, że zwyczajem jest od dawnych wieków u rycerzy błędnych wynagradzać giermków swoich rozdawnictwem wysp i państw, które podbijają. Ja chcę chwalebny ten zwyczaj nie tylko zachować, ale go nawet dalej posunąć. Dawniej rycerze wynagradzali swych giermków na stare lata, kiedy trudy z siły ich zerwały w służbie dniem i nocą; dawali im wtedy prowincję jaką z tytułem hrabiego albo margrabiego, i nic więcej. A ja, bardzo być może, byle nas Bóg obydwóch przy życiu zachował, za sześć dni najdalej zdobędę państwo tak rozległe, iż posiadać będzie wiele innych królestw pod swą władzą i wtedy ciebie na tronie jednego z nich osadzę. I nie myśl, żeby w tym było coś tak bardzo dziwnego; dla rycerzy błędnych to rzecz nie tak rzadka, zdobywają oni sobie wielkie szczęście środkami nieznanymi i z taką łatwością, że pewno udamuję cię szczodrzej, niż ci obiecuję.

– A to w takim razie – rzecze Sancho – jak ja zostanę królem przez te wasze cuda, to moja Jachna<sup>46</sup>, poczciwe kobiecisko, wyjdzie na królową co najmniej, a dzieci nasze na książątka.

– A oczywiście – rzecze Don Kichot – a któż o tym wątpi?

– Jać to krzynekę wątpię – odpowie Sancho – i widzi mi się, że gdyby nawet deszczem z nieba leciały korony, to jeszcze by żadna na głowę mojej kobiety nie przypadła; Bogiem a prawdą, wielmożny panie, to ona na królową jak wół do karety; na hrabinę to jeszcze pożał się Boże, a i tego by zanadto.

– Bogu to zostaw – rzecze Don Kichot – on ci da, co będzie najlepsze dla ciebie; tylko nie trać serca i nie postponuj się tak, żebyś miał na byle czym przestawać.

– No, już bądźcie spokojni, wielmożny panie – na to Sancho – już ja tam całkiem spuszczaam się na was, boście pan dobry i wiecie najlepiej, co mi macie dać, a co nie.

---

<sup>46</sup> *Jachna* – w dalszej części opowieści żona Sancho Pansy nosi imię Teresa. [przypis edytorski]

## Rozdział VIII

O powodzeniu, jakiego doznał rycerz Don Kichot w straszliwej i niesłychanej przygodzie z wiatrakami i o tym, co się później stało.

Kiedy tak rozmawiają, Don Kichot spostrzegł z daleka ze trzydzieści lub czterdzieści wiatraków, i jak je tylko spostrzegł, zawołał: „Fortuna sprzyja nam bardziej, niżbyśmy sami pragnęli. Przyjacielu Sancho, czy widzisz tę gromadę niezmiernych olbrzymów? Ja na nich uderzę i wszystkich zgładzę z tego świata – taki mój zamiar. Piękny będzie początek, z ich łupu wzbogacimy się, co się nazywa. Taka wojna uczciwa, bo na chwałę boską; ród ten olbrzymi trzeba z ziemi wypłenić, tak Bóg każe”.

– Co za olbrzymy? gdzie? – pyta Sancho Pansa.

– A tam, czyż ich nie widzisz? – rzecze Don Kichot – z takimi okropnymi rękoma, że u niektórych i na pół mili sięgają.

– Ależ przyjrzyjcie się dobrze, wielmożny panie – odpowie Sancho – toć to nie olbrzymy, to są wiatraki, a te ręce, to śmigi, którymi wiatr obraca.

– Ha, jak to widać zaraz – rzecze Don Kichot – że nie masz doświadczenia w rycerskiej sztuce. To olbrzymy, mówię ci, a jeżeli cię strach bierze, to ruszaj sobie gdzie w kąć pacierz mówić. Ja rzucę się na nich sam, chociaż ich tylu. – I mówiąc to, spiął ostrogami Rosynanta. Sancho kłął się na duszę i ciało, że to wiatraki, a nie olbrzymy, ale dla naszego rycerza były to takie olbrzymy, że nie tylko nie słyszał krzyków swojego giermka, ale im bardziej się do nich zbliżał, tym więcej wierzył swemu urojeniu. „Nie uciekajcie, tchórze! – wrzeszczał na całe gardło – nie uciekajcie, podły i nikczemny rodzie, jeden tylko rycerz na was idzie”. Że właśnie wiatr się zerwał, wiatraki zaczęły się obracać, a Don Kichot jeszcze głośniejsze wrzeszczał: „Próżne to rzeczy, próżne, żebyście tam tylu rękami machali, co sam Bryjareusz, to nic nie pomoże, zaraz ja się tu z wami sprawię”. I nie tracąc czasu, poleca się natychmiast z całej duszy pani serca swego, pięknej Dulcynei, błagając ją o pomoc w tak wielkim niebezpieczeństwie. Zasłania się tarczą, wyszczerza dzidę i co tylko sił w Rosynancie, pędzi na wiatrak najbliższy, wpada na śmigę, która mu dzidę łamie w kawałki, a samego razem z koniem wyrzuca daleko na pole, w nader biednym stanie. Sancho przybiega kłusem na osłe i widzi, że pan jego ani się ruszyć nie może. O, bo ciężki był to upadek!

– A co do milionset – woła Sancho – czym nie mówił, że to wiatraki! dosyć było mieć oczy! chyba, że w głowie świeciło co innego.

– Cicho bądź, Sancho – rzecze Don Kichot – w wojennym rzemiośle los rządzi wszystkim, nic nie ma stałego. Wiesz, co ja myślę! to niezawodna prawda, to ten czarnoksiężnik Fresto; co mi porwał książki wszystkie razem z biblioteką, poprzemieniał teraz tych olbrzymów w wiatraki, żeby mi odjąć chwałę zwycięstwa, taki na mnie zawzięty i wściekły. Ale obaczymy, obaczymy, sztuka jego przed mieczem moim musi ustąpić.

– Daj to Boże! wielmożny panie – rzecze Sancho, a podniósłszy go, wsadził jak mógł na Rosynanta, który miał jedną nogę zwichniętą. Gawędząc dalej o tej przygodzie, skierowali drogę ku wąwozowi Lapise, gdzie Don Kichot powiadał, że musi ich spotkać jaka przygoda, bo tam pełno ludzi przejeżdża. Strasznie mu żal było spisy, którą stracił, i wynurzając się z tym do giermka, mówił mu: – Czytałem kiedyś, pamiętam, że rycerz pewien hiszpański, imieniem Diego Peres de Vargas złamawszy dzidę w boju, wyrwał grubą gałąź dębową i tylu nią Maurów pozabijał, że mu na zawsze przydomek Tłuczyłba nadano, a potomkowie jego odtąd nazywali się Vargas-Maczuga. Mówię ci to, Sancho, bo zamiarem moim jest z pierwszego dębu, co napotkam, ułamać sobie gałąź taką jak tamta i takich nią cudów waleczności dokazywać, że za szczęśliwego poczytywać się będziesz, iżeś je własnymi oglądał oczami i był świadkiem czynów tak wielkich, że nikt im wierzyć nie zechce.

– Co daj Boże, amen! – rzekł Sancho – wierzę temu, bo mi tak mówicie, ale poprawcie się no trochę, wielmożny panie, na siodle, bo już całkiem na bakier siedzicie; musiał was tam diablo ten wiatrak poturbować.

– Prawdę mówisz, ani słowa – odpowiedział Don Kichot – a że ja się nie skarżę, to dlatego, że rycerzom błędnym nie wolno ani sarknąć z bólu, choćby im kiszki z brzucha wylażyły.

– A kiedy tak, to ja nic przeciw temu nie mam – rzecze Sancho – ale Bóg widzi, że rad bym był z serca, gdyby wielmożny pan uzalił się trochę przede mną, kiedy go boli. Bo co ja, to bym się tego nie trzymał, i aby mnie co drasło<sup>47</sup>, wrzeszczałbym zaraz jak oparzony, i zawsze dawałbym sobie wolę, jeżeli tylko to przykre prawo nie rozciąga się na panów i na giermków.

Uśmiechnął się Don Kichot na tę prostoduszność luzaka i pozwolił mu skarżyć się i lamentować, ile zechce, czy będzie miał o co, czy nie, bo nic sprzeciwiającego się temu w księgach rycerskich nie wyczytał.

– Wielmożny panie – odezwał się tedy Sancho – ale to podobno czas by już zjeść co, a pan jakoś o tym nic nie myśli.

– Nie będę jadł teraz – odpowiedział Don Kichot – ty możesz sobie jeść, kiedy ci się chce.

Otrzymawszy takie pozwolenie, Sancho rozsiadł się jak najwygodniej na swoim osle i wyciągnawszy z sakiew prowiant, jaki miał, jechał za panem przegryzając, a flaszki coraz nachylał z taką rozkoszną miną, że każdego Niemca zazdrość by wzięła. Popijając tak co chwila, zapomniał już o rodzinie i obietnicach pana; przypadło mu jakoś do smaku nowe to rzemiosło i marzył tylko ciągle o wielkich przygodach, choćby jak najniebezpieczniejszych.

Koniec końców, noc tę spędzili pod gołym niebem, a raczej pod drzewami, gdzie Don Kichot ułamał sobie suchą gałąź, zastąpić mogącą w ostatnim razie utraconą spise, z której żeleźce na tę gałąź zasadził. Dzielny rycerz noc całą ani oka nie zmrużył, rozmyślając ciągle o pani serca swego, Dulcynei, bo chciał zachować ściśle to, co czytał w książkach, że rycerze błędni spędzają często noce bezsenne wśród puszczy, lasów, bawiąc się myślą o damach swoich. Sancho Pansa wcale inaczej sobie postąpił. Mając brzuch dobrze naładowany, a nie wodą ani wiatrem, jak chrapnął, wyciągnawszy się na ziemi, tak ani drgnął do samego rana; ani promienie słońca, padające mu prosto na twarz, ani hałaśliwy świergot tysiąca ptasząt, witających radośnie dzień nowy, rozbudzić go nie były w stanie; potężny głos pana dopiero tego dokonał. Zerwawszy się, czujny giermek zaledwie przetaił oczy, zaraz się umizgnął do buteleczki, a widząc, że bardzo zelżała od wczorajszego wieczora, zmartwił się serdecznie, bo przeczuwał, że w drodze niełatwo jej będzie wyleczyć się z tej chudizny. Don Kichot ani pomyślał o śniadaniu, jemu wystarczały smaczne i pożywne myśli o kochance. Dosiadłszy wierzchowców, ruszyli w drogę ku wąwozowi Lapise, u którego stanęli około godziny trzeciej po południu.

– Tutaj to, miły bracie mój, Sancho – zawoła Don Kichot – tutaj możemy się spodziewać przygód po same uszy! Ale, słuchaj, zapowiadam ci z góry, żebyś mi się ani ważył brać do oręża, choćbyś mnie widział w największym niebezpieczeństwie, chyba, że mnie napadną ciury i chamy takie jak ty, wtedy możesz mi iść na pomoc, ale przeciw rycerzom wara; tego ci zabraniają najsurowiej prawa rycerskie, dopóki pasowanym nie będziesz.

– O! co o to, możesz pan być spokojnym – odpowiedział Sancho – rozkazy pańskie spełnione będą co do joty, tym bardziej, że z natury już nie lubię zawadiactwa. Ale jeżeli będzie szło o własną skórę, jeżeli mnie napadną, to nie będę zważał na te tam wasze prawa, bo każdy musi się bronić, kiedy na niego dybią, sam Pan Bóg tak przykazał.

– Na to zgoda – odpowie Don Kichot – ale jak ja będę się potykał z rycerzami, to ty możesz sobie pacierz mówić, a męstwo swoje przyrodzone pamiętaj zawsze powściągać.

– No, niechaj was o to głowa nie boli, wielmożny panie, przysięgam wam, że tak pilnować będę tego przykazania, jak niedzieli, którą święcić trzeba.

---

<sup>47</sup> drasło – dziś popr. drasnęto. [przypis edytorski]

Kiedy tak rozmawiają, podjeżdża do nich dwóch mnichów benedyktynów na dromaderach, to jest na mułach ogromnych, z parasolami i okularami podróżnymi na nosach. Za nimi szła karoca, otoczona przez pięciu jeźdźców, a w tyle dwóch mulników pieszo. W karocy, jak się potem pokazało, siedziała dama z Bizkai<sup>48</sup>, jadąca do Sewilli, skąd mąż jej wybierał się na znaczny urząd do Indii. Mnichy jechali tą samą drogą, ale nie należeli do jej towarzystwa. Jak tylko ich spostrzegł Don Kichot, zaraz odezwał się do giermka:

– Głowę daję, że będziemy mieli śliczną awanturę! Widzisz te dwa widma czarne? Nie ma wątpliwości, że to są czarnoksiężnicy, co porwali jakąś księżniczkę i uwożą ją gwałtem w karocy. Muszę skarcić ten gwałt, choćby przyszło głową nałożyć!

– Oj będzie to coś gorsza historia niż z wiatrakami, widzi mi się – rzekł Sancho, potrząsając głową. – Przypatrzcież im się lepiej, wielmożny panie, toć to są benedyktyni, a karoca musi należeć do tych podróżnych. Nie róbże pan głupstwa i nie daj się kusić szatanowi na żadne wybryki.

– Już ci raz powiedziałem, bratku, że tyle się znasz na rycerskich awanturach, co koza na pieprzu; powiadam ci, że widzę, co się święci, i obaczysz zaraz, że miałem słusność.

Mówiąc to, wyjeżdża na środek drogi i zagradza przejazd mnichom, a gdy ci się zbliżyli tak, że głos jego słyszeć mogli, woła do nich imponująco:

– Wy potępieńcy, z szatanem trzymający, zaraz mi wypuście na wolność dostojne księżniczki, które w karocy tej wiezicie, bo jak nie, to was czeka śmierć niezawodna za karę niecných sztuk waszych.

Księża zatrzymali się, i niemniej zadziwieni cudacką twarzą Don Kichota, jak jego przemową:

– Mości rycerzu – odpowiedzieli mu – my nie jesteśmy ani potępieńcami, ani z szatanami nie trzymamy, jesteśmy zakonnicy z klasztoru św. Benedykta i jedziemy sobie w swoją drogę, a czy tam są w karocy jakie księżniczki porwane, czy nie, o tym nic nie wiemy.

– To nie dla mnie te piękne słówka – zawołał Don Kichot – znam ja was dobrze, nikczemne nędzniki!

I nie czekając odpowiedzi, wypuszcza konia, wpada na jednego z zakonników z takim impetem, że gdyby biedny księżyna nie był się zawczasu rzucił na ziemię, to byłby go pewnie o nią powalił, a może ciężko zranił, a może nawet i zabił. Drugi, widząc, co się dzieje z jego towarzyszem, zakasał nogi aż na kark mułowi i drapnął w pole, co siły. Sancho Pansa jak tylko zobaczył, że zakonnik leży na ziemi, zeskoczył co tchu z osła i rzuciwszy się na niego, zaczął go już na piękne obdzierać, kiedy dwaj ludzie z orszaku, jadącego za mnichami, przypadli i zapytali go, dlaczego zdejmuje odzież z ich pana?

– A dlatego – odpowiedział Sancho – bo ona do mnie z prawa należy, jako łup wojenny zwycięstwa odniesionego przez mego pana.

Draby, nie wiele myśląc i biorąc za drwiny owo gadanie o łupach, a przy tym widząc, że Don Kichot daleko, rzucili się na Sancha, przewrócili go na ziemię i zbili tak niemiłosiernie, że leżał biedak na wpół martwy, ani jednego włosa w brodzie nie zbawiwszy.

Mnich tymczasem, nie poniósłszy żadnego szwanku, a strachu wiele zażywszy, zerwał się co żywo z ziemi, wskoczył na muła i cały drżący podążył za towarzyszem, który nań czekał z daleka, patrząc, jaki też koniec awantura weźmie. Pojechali razem, żegnając się bez ustanku, jakby ich złe goniło. Don Kichot stał przy drzwiczkach karocy, rozmawiając z damą biskajską, do której zaczął w te słowa:

– Piękna pani, możesz teraz czynić, co ci się podoba, jesteś teraz wolną, to ramię skarciło zuchwałość twoich gnębicieli. Ażebyś pani się nie trudziła o nazwisko swego oswobodziciela, powiem więc pani, że się nazywam Don Kichot z Manchy, jestem rycerzem błędnym i niewolnikiem pięknej

---

<sup>48</sup> Bizkaia – a. Vizcaya, baskijska prowincja ze stolicą w Bilbao, obecnie część autonomicznego Kraju Basków na terenie Hiszpanii. [przypis edytorski]

a nieporównanej Dulcynei z Toboso. Za przysługę, którą wyświadczyłem pani, żądam tylko, abyś wróciła do Toboso, przedstawiła się tej damie i opowiedziała jej, jakem ja ci wolność wrócił.

Jeden z rycerzy biskajskich, towarzyszący karocy, przysłuchiwał się pilnie mowie Don Kichota, a widząc, że nie chce puścić karocy i upiera się koniecznie, aby wróciła do Toboso, przystąpił do niego, pociągnął go za dzidę i zepsutą hiszpańszczyzną przemówił:

– Idźże sobie, rycerzu, precz, bo jak mnie stworzył Bóg, tak ty będziesz miał śmierć, jeżeli karocy nie puścisz, jakem Biskajczyk<sup>49</sup>, tak to prawda.

Don Kichot zrozumiał to bardzo dobrze i odpowiedział mu z zadziwiającą powagą:

– Gdybyś był rycerzem, tak jak nim nie jesteś, nikczemniku, dawno bym już skarcił twoją zuchwałość.

– Ja nie rycerz – oburknął się Biskajczyk – kłamiesz jak poganin, rzuć mi tylko tę pałkę na ziemię, a weź się do oręża, to ja ci zaraz pokażę, coś wart razem ze swoją szkapą. Ja Biskajczyk na lądzie, szlachcic na morzu, szlachcic do stu diabłów, a ty łżesz swoim językiem.

– Zaraz my to zobaczymy – odpowie Don Kichot.

I rzuciwszy dzidę, dobywa miecza i zasłania się tarczą, i naciera na Biskajczyka z niezachwianym zamiarem zabicia go. Biskajczyk, widząc, na co się zanosi, chętnie byłby zsiadł z muła, któremu ufać nie mógł, jako najętemu; ale nie starczyło mu czasu i zaledwie mógł miecza dobyć. Posłużyło mu to, że stał blisko karocy, bo porwał z niej poduszkę i za tarczę jej użył. Zażarci przeciwnicy rzucili się na siebie, jakby byli śmiertelnymi wrogami. Wszyscy obecni starali się pogodzić ich, ale ani myśleć o tym, zaciekły Biskajczyk kłął łamanym językiem, że jak mu nie dadzą bić się, to zabije i panią swoją, i wszystkich, co mu przeszkadzać będą. Pani widząc, że nie ma żadnej rady, kazała woźnicy odjechać na bok, i z daleka przypatrywała się walczącym, Biskajczyk zadał od razu cios tak okrutny przeciwnikowi w ramię, że byłby go do samego pasa rozplatał, gdyby się tamten tarczą nie zasłonił. Don Kichotowi zdało się, że ogromna góra spadła mu na barki.

– Pani duszy mojej – zawołał – Dulcyneo! kwiecie piękności, ratuj swego rycerza, który walcząc za ciebie, w tak straszne popadł nieszczęście.

Po tej oracji, potrząsnął mieczem, zakrył się tarczą i znów skoczył na Biskajczyka, chcąc rzecz od razu zakończyć. Biskajczyk, odgadłszy z miny zamiar przeciwnika, zasłonił się poduszką i śmiało czekał, tym bardziej, że muł, strasznie zmęczony i takich harców niezwyčajny, ani krokiem z miejsca ruszyć się nie chciał. Wszyscy widzowie z niezmiernym strachem wyglądali, jaki będzie koniec tej groźnej walki, a dama w karocy z kobietami swymi modliła się gorąco do wszystkich świętych hiszpańskich, błagając Boga o ocalenie swego obrońcy i własnej osoby.

Autor historii niniejszej ze smutkiem wyznać musi, że w tym miejscu wiadomości jego daleko nie sięgają i że już nic nie wie o czynach późniejszych Don Kichota. Inny autor, przekonany będąc że historia tak ciekawa kończyć się tu nie może i że pamiętniki miejscowe musiały ślad jej zachować, usilnie starał się wyszukać je, w czym widać, iż mu się poszczęściło, jak to w drugiej części zabawnego dzieła tego zobaczymy.

---

<sup>49</sup> *Biskajczyk* – dziś: Bask. [przypis edytorski]

## Księga druga

### Rozdział I

Jak się zakończyła walka potężnego Biskajczyka<sup>50</sup> z dzielnym Don Kichotem.

Zostawiliśmy w pierwszej części tej historii mężnego Biskajczyka i mężnego Don Kichota z mieczami na siebie wzniesionymi, godzących wzajem tak zażarcie, że gdyby miecze ich spadały były bez żadnego oporu na ich osoby, to każdego niewątpliwie ujrzelibyśmy rozplatanego na dwoje, aż po samo siodło. Ale jak to widzieliśmy, dziejopis w tym miejscu nie wie, co się stało, i autor nigdzie znaleźć nie mógł dokładnych w tym względzie objaśnień. Martwi go to bardzo, tym więcej, że po długich poszukiwaniach stracił już był nadzieję dojścia prawdy. Zawsze jednak zdawało mu się rzeczą niepodobną i niesłuszną, ażeby rycerz tak dzielny nie znalazł mędrca jakiegoś, co by niesłychane czyny jego dla potomności zachował, a to tym więcej, że każdy z poprzedników jego, to jest rycerzów błędnych, miał zawsze jednego lub dwóch dziejopisów, którzy awantury jego spisywali i najdrobniejsze myśli notowali. Nie mogąc przeto pojąć, żeby rycerz tej znamienitości miał być pozbawiony tego, co Platyr i inni jemu podobni pod dostatkiem mieli, myślałem sobie zawsze, że zadziwiająca ta historia nie może tak być urwana, i że czas, który wszystkiemu zaradza, musi wydobyć na jaw zatraczone jej ślady. Z drugiej znów strony zdawało mi się, że historia naszego rycerza nie może być bardzo stara, gdyż w bibliotece jego znaleziono książki niedawne, jako to: *Medykament zazdrości*, *Nimf* i *Pasterza z Henares*. Że nareszcie, gdyby nawet historia ta spisana nie została, to mieszkańcy wsi, z której Don Kichot pochodził, i sąsiedzi, musieli jej jeszcze nie zapomnieć. Przejęty tymi myślami, postanowiłem szukać usilnie śladów życia i cudu słynnego naszego Hiszpana, wielkiego luminarza Manchy, pierwszego, co w tych gnuśnych czasach poświęcił życie na wznowienie błędnego rycerstwa, na naprawienie krzywd i nieszczęść, niesienie pomocy wdowom, obronę honoru panien, które, jak to niegdyś bywało, mogły przy nim podróżować bezpiecznie w górach i dolinach, nie lękając się żadnej ujmy dziewictwu swojemu, a w osiemdziesiątym roku życia, i jeżeli im gwałtowny jaki nie zdarzył się wypadek, nieść z sobą do grobu niepokalaną czystość własnych matek. Ale wszelka usilność moja poszłaby wniwecz, potomność straciłaby skarb wielki, gdyby szczególne szczęście nie było mi go w ręce podało w sposób następujący:

Idąc raz ulicą Merciers w Toledo, ujrzałem chłopca, sprzedającego stare szpargały korzennikowi, a że mam zwyczaj najdrobniejsze nawet świstki z ciekawości zbierać po ulicach, wzięłem od chłopca jeden z tych szpargałów, chcąc go przeczytać i przekonałem się, że nic nie rozumiem, bo był pisany po arabsku. Obejrzałem się na prawo i na lewo, czy nie ujrzę gdzie jakiego zzydźiałego Maura, co by mi to pismo wytłumaczył i żadaną pomoc znalazłem niezadługo w miejscu, gdzie trudniejsze nawet języki łatwo tłumaczono. Przypadkiem znalazł się taki jegomość, a kiedym mu dał szpargał w rękę, zaczął się śmiać serdecznie, kilka wierszy zaledwie przeczytawszy. Zapytałem go, z czego się tak śmieje. „Z ważnej uwagi, rzekł, zrobionej na marginesie” i śmiejąc się ciągle, przeczytał mi te wyrazy: „Ta Dulcynea z Toboso, o której tak często jest mowa w niniejszej historii, miała, jak słyhać, najszczęśliwszą rękę ze wszystkich kobiet w Manchy do solenia wieprzaków”. Usłyszawszy nazwisko Dulcynei, pomyślałem sobie zaraz, że może to jest historia Don Kichota; prosiłem przeto Maura, żeby mi przeczytał tytuł tej książki; na tytule tym napisane było po arabsku: *Historia Don Kichota z Manchy, opowiedziana przez Cyd-Hameda-Benengeli, dziejopisarza arabskiego*. Usłyszawszy tytuł, takem się ucieszył, że wyrwałem natychmiast książkę z rąk kupca, stargowałem ją od chłopaka i za pół reala kupiłem rzecz, za którą bym dał dwadzieścia razy tyle,

---

<sup>50</sup> Biskajczyk – dziś: Bask. [przypis edytorski]

gdyby chłopiec umiał ze mnie korzystać. Odszedłem zaraz na bok z Maurem i prosiłem go, żeby mi przetłumaczył na hiszpański wszystko, co się tam znajduje, najmniejszego szczegółu nie opuszczając, ani dodając i ofiarowałem mu za to nagrodę, jakiej sam zażąda. Poprzestał na dwóch miarach winogrodu i dwóch korcach pszenicy; obiecał mi przetłumaczyć wszystko jak najwierniej i prędko. Chcąc rzecz ułatwić i korzystać z tak szczęśliwej znajomości, wziąłem Maura do siebie, gdzie w sześć tygodni przekład był już gotowy, tak, jak go wam tu co do słowa daję. Na pierwszej stronie książki był wizerunek walki Don Kichota z Biskajczykiem, godzących na siebie w tej samej postawie, w jakiej zostawiliśmy ich poprzednio; obydwaj z mieczami wzniesionymi do góry, jeden zasłonięty tarczą, a drugi poduszką. Muł Biskajczyka tak był naturalnie oddany, że o milę poznać było można, że to muł najęty. Pod nogami Biskajczyka stał napis: Don Sancho de Aspetia, a pod Rosynantem: Don Kichot. Rosynant ślicznie był odmalowany, długi, sztywny, a taki ostrokościsty i zbiedzony, że aż strach; grzbiet sterczał mu do góry, a uszy miał spuszczone; z pierwszego rzutu oka można było poznać, że nigdy koń lepiej nie zasłużył sobie na nazwisko. Tuż obok stał Sancho Pansa, trzymając za uzdę osła, pod którym był napis: Sancho Zansas. Wzrostu był niskiego, brzuch miał potężny, a nogi kabłąkowate; dlatego to zapewne historia daje mu bez różnicy przydomek Pansa i Zansas. Ciekawa to była figura i wiele by jeszcze o niej gadać, ale to do historii niepotrzebne. Powiem tylko, że przeciw prawdziwości tej historii nic zarzucić się nie da, chyba to jedno, że autorem jej jest Arab, a Arabowie strasznie łągać lubią. Ale że są naszymi nieprzyjaciółmi, nie można wątpić, że tu autor więcej ujął niż dodał; i widać to zaraz, jak niechętny jest w pochwałach dla naszego rycerza, i jak je często przemilcza. Historyk tak czynić nie powinien, powinien być wierny i dokładny, wolny od wszelkiej namiętności i interesu; ani obawa, ani przywiązanie, ani przyjaźń, nie powinny go sprowadzać z drogi prawdy, która jest matką historii, a historia lamusem czynów ludzkich i najzawziętym wrogiem zapomnienia. W niej to mamy wierne obrazy przeszłości, przykłady dla terażniejszości i przestrogi na przyszłość. Przekonany jestem, że i w tej znajdzie się bardzo wiele użytecznych i ciekawych rzeczy, a jeżeli jej czego nie dostaje, to niezawodnie wina autora, a nie przedmiotu. Część druga w tłumaczeniu tak się zaczyna:

Ze strasznej postawy tych dwóch dumnych i zawziętych wojowników, ostrymi mieczami na siebie godzących, sądziłbyś, że oni chyba niebu i ziemi zagrażają; wszyscy też widzowie zdumieni, wisieli między podziwem a strachem. Zażarty Biskajczyk pierwszy zadał raz; a był to raz wściekły i potężny; że gdyby mu miecz się nie skreślił w rękę, tym jednym razem zakończoną by została cała walka i wszystkie awantury naszego rycerza. Lecz los, zachowując go na większe rzeczy, sprawił, iż miecz płazem spadł mu na lewe ramię, i zerwawszy z tej strony połowę zbroi i połowę ucha, nic mu więcej złego nie zrobił. Próżno by tu silić się na opisanie wściekłości, jaka ogarnęła rycerza z Manchy, kiedy się ujrzał tak sponiewierany. Wyprężył się na strzemionach, wychylił całym ciałem i ściskając miecz ze wszystkich sił, wyciął raz tak okrutny w samą głowę przeciwnika, że mimo poduszki, krew nosem, ustami i uszami lać się zaczęła Biskajczykowi, i byłby zleciał z muła, gdyby się go za kark nie uchwycił. Muł, przerażony taką przygodą, czując, że jeździec lejce z rąk wypuścił, poskoczył żwawo na pole, a dawszy kilka susów, zwałił wojownika na ziemię prawie bez życia. Don Kichot patrzył na to zimno i ani się ruszył. Ale obaczywszy przeciwnika na ziemi, zeskoczył z konia i przypadł do niego, i kładąc mu miecz na gardle, żądał, żeby mu się poddał, bo inaczej głowę mu utnie. Biskajczyk tak był zamroczony, że nie widział swego niebezpieczeństwa i słowa wymówić nie mógł. Rozjuszony Don Kichot pewno by mu był nie darował, gdyby pani karocy nie przyszła prosić go o życie swego giermka. Zmiękł natychmiast dumny rycerz i poważnie powiedział:

– Piękna pani, daruję ci to życie, ale pod warunkiem, iż rycerz ten zobowiąże się pod słowem pójść do Toboso i przedstawić się tam nieporównanej Dulcynei, która losem jego według upodobania rozporządzi.

Dama na wpół nieżywa ze strachu, nie rozumiejąc nic, czego żąda, ani się nawet pytając, co to za jedna ta Dulcynea, przyrzekła w imieniu giermka swego wszystko, czego domagał się Don Kichot.

– A więc niechaj żyje! – zawołał nasz rycerz – na słowo twoje, pani, od śmierci go uwalniam; piękności twojej niech zawdzięcza łaskę, której zuchwałość jego niegodnym go czyni.

## Rozdział II

### Rozmowa Don Kichota z Sancho Pansą.

Ciężko poturbowany przez hajduków mnisznych, podniósł się Sancho z ziemi i przyglądał pilnie walce pana, gorące do Boga zasyłając modły o zwycięstwo dla niego, żeby sam na tym zyskać mógł zarząd wyspy jakiej, jak to uroczyście miał sobie przyobiecane. Widząc więc bój skończony, a Don Kichota zabierającego się siaść na konia, pobiegł mu przytrzymać strzemienia; i nim ten wsiąść zdążył, padł przed nim na kolana, a całując rękę, tak przemówił:

– Najwielmożniejszy panie i władco mój! oddajcież mi w zarząd wyspę, którą w tym strasznym boju wygraliście, bo żeby tam była nie wiem jak wielka, czuję, że rządzić nią będę tak doskonale, jak kto bądź na świecie.

Na to mu Don Kichot odpowiedział:

– Miły bratku Sancho, bredzisz sam nie wiesz co, w takich awanturach wyspy się nie wygrywają, to są proste bójki, dorywcze na drodze spotkania, z których guza na łbie i kawał oderwanego ucha w zysku wynieść można. Ale bądź tylko cierpliwy, przyjdą inne przygody, które mi dadzą sposobność dotrzymać ci obietnicy i dać ci jeszcze co więcej niż wyspę.

Sancho nie wiedział już jak dziękować, ucałował rękę i kraj zbroi Don Kichota, podsadził go na konia, sam wsiadł na osła i pojechał za panem, który, nie pożegnawszy się nawet z damami, kłusem pobiegł ku pobliskiemu lasowi. Sancho zdążył za nim, co tylko osioł mógł wyskoczyć, ale Rosynant pędził tak tęgim cwałem, że zostawszy kawał w tyle, nie miał już innego sposobu, jak krzyżeć na pana, aby się zatrzymał. Don Kichot osadził rumaka i czekał, aż maruder giermek dobiegł do niego.

– Zdaje mi się, wielmożny panie – rzekł przybiegłszy – że nieźle byłoby, gdybyśmy się schronili do jakiego kościoła, bo tych biednych ludzi w tak okropnym tam zostawiłeś stanie, że gdyby św. Hermandada<sup>51</sup> dowiedziała się o tej sprawce, to by nas pewno capnęli. A jakby nas raz wpakowali do ciupy, to widzi Bóg, dużo by wody upłynęło, nim by nas stamtąd wypuścili.

– Milcz, głupi – rzekł Don Kichot – pleciesz opałki kosałki; gdzieżeś to widział albo czytał, żeby błędnego rycerza przed sądy kiedy ciągnano za kawalerskie rozprawy?

– Ja się tam nie znam na żadnych rozprawach – odpowiedział Sancho – jak żyję ich nie próbowałem, ale wiem dobrze, że św. Hermandada ciężko każe tych, co się biją po drogach, a tego bym także próbować nie chciał.

– Nie bój się niczego, moje dziecko, ja cię choćby z rąk filistyńskich wyrwę całego. Ale powiedz prawdę, co? widziałeś kiedy pod słońcem dzielniejszego nade mnie, rycerza? Czytałeś kiedy, żeby kto silniej nacierał, wytrwałej razy wytrzymawał, szybciej je zadawał i gwałtowniej przeciwnika o ziemię powalał?

– Co prawda, to prawda – rzekł Sancho – nic takiego w życiu nie czytałem, bo nie umiem ani czytać, ani pisać, i przysiąc mogę sumiennie, że nigdy za życia nie widziałem pana odważniejszego od was, oby tylko Bóg dał, żeby ta szalona odwaga o co złego nas nie przyprawiła! Ale trzeba by, proszę pana, opatrzeć wam ucho, dużo krwi z niego uchodzi; szczęście, że mam w sakwach trochę szarpi<sup>52</sup> i białej maści.

– Obeszłoby się bez tego wszystkiego – rzekł Don Kichot – żebym tylko nie zapomniał zrobić sobie balsamu Fierabrasa; jedna kropelka tego kordiału zastępuje wszystkie starania i leki.

– Cóż to za balsam taki? – zapytał Sancho.

---

<sup>51</sup> św. *Hermandada* – tu: policja; nazwa Święta *Hermandada* odnosi się właściwie do związku miast hiszp., założonego przez Ferdynanda II i Izabelę Kastylijską; związek utrzymywał siły porządkowe, policję strzegącą porządku na podległym mu terenie. [przypis edytorski]

<sup>52</sup> *szarpie* (daw.) – materiał opatrunkowy zrobiony z płótna dartego (szarpanego) na pasy. [przypis edytorski]

– Jest to balsam, na który receptę umiem na pamięć, a mając go, ani śmierci, ani ran bać się nie trzeba; jak go zrobię i dam ci go, to pamiętaj, że jak mnie kiedy w boju rozplatają całkiem na dwoje, co się nam rycerzom często zdarza, to zbierz tylko prędko rozcięte części nim krew zastygnie, złóż je razem szczelnie i potem daj mi ze dwa łyki tego kordiału<sup>53</sup>, a obaczysz, że natychmiast będę zdrow i żwawy jak rybka.

– O, kiedy to taki kordiał – rzekł Sancho – to ja już dam za wygraną tym rządóm, coście mi obiecali, a w nagrodę służby mojej nie żądam nic więcej, tylko żebyście mi dali receptę na ten balsam. Jestem pewien, że wszędzie i zawsze każdy mi da z chęcią trzy reale za uncję, a to mi aż nadto wystarczy na porządne i spokojne życie. Ale proszę pana, czy dużo trzeba pieniędzy, aby zrobić ten kordiał?

– Za trzy reale będzie tego ze sześć kwart.

– A na miłość boską! – zawołał Sancho – i czegoż tu czekać, miły panie? Nauczciez mnie go robić zaraz; przygotuję go z parę garncy.

– Nie tak śpiesznie, nie tak śpiesznie, bratku Sancho, odkryję ja ci większe jeszcze sekreta i większe dam nagrody, a na teraz opatrz no mi ucho, jakoś mnie boli kaducznie.

Sancho wyciągnął maść i szarpie z worka. Don Kichot teraz dopiero zobaczywszy, że hełm miał całkiem rozbity, ledwo do reszty nie zwariował z rozpaczy. Porwał za miecz i wznosząc oczy do nieba, zawołał z uniesieniem:

– Przysięgam na wszystkie na niebie świętości, na cztery Ewangelie, że dopóki nie pomszczę tej krzywdy na przeciwniku, co mi ją wyrządził, dopóty prowadzić będę żywot taki, jak go prowadził margrabia Mantuański, kiedy poprzysiągł, odemścić śmierć synowca swego, Balduina, to jest nie jeść chleba ani kawałka, nie bawić się z żoną i wiele innych podobnych zadawać sobie utrapień (których nie pamiętam, ale przysięgą je moją obejmuję).

– Jaśnie wielmożny panie – rzekł Sancho, przerażony tak straszliwą przysięgą – nie gniewajcie się tak okrutnie i zważcie, że jeżeli rycerz przez was pokonany dopełni rozkazów waszych, jeżeli przedstawi się pani Dulcynei w Toboso, to ma być wolny zupełnie, chyba, że nową winę względem was popełni.

– Prawdę mówisz, ani słowa; odwołuję więc przysięgę co do punktu zemsty nad winnym, ale potwierdzam ją i raz jeszcze powtarzam, i uroczystie ślubuję prowadzić życie takie, dopóki na jakim rycerzu nie zdobędę hełmu tak dobrego i pięknego, jak mój był. I nie myśl, Sancho, że na wiatr mówię; mam piękne przed sobą wzory do naśladowania, takim sposobem co do joty został zdobyty hełm Mambryna, który tak drogo kosztował Sakrypanta.

– E! panie – rzekł Sancho – bierz kaci takie tam szalone przysięgi; Pan Bóg nie kazał przysięgać, a to i zdrowiu i duszy szkodzi. Niechże, proszę pana, kawał czasu nie zjawi się człowiek z takim hełmem, to cóż wtedy zrobimy? Maszże pan wtedy dotrzymać przysięgi w tak ciężkich warunkach, spać zawsze ubrany, nocy nigdy między ludźmi nie spędzić i tysiące innych cierpieć utrapień, które mieści w sobie przysięga tego starego wariata, margrabiego z Mantui? Pamiętajże pan, że w tych stronach trudno o zbrojnego człeka, że tu tylko jeżdżą sami furmani i mulnicy, co hełmu nie noszą i znają tylko przyłbice z kapuścianych liści.

– Pleciesz, pleciesz, bratku – rzekł Don Kichot – i dwie godziny nie ujdzie, a spotkamy więcej zbrojnych, niż ich było pod fortecą Albraque, kiedy piękną Angelikę zdobywano.

– Niechże i tak będzie, kiedy wasza wola – rzekł Sancho – i daj Boże szczęścia tylko, żeby wygrać jak najprędzej tę wyspę, co mnie już tyle kosztuje, choćby potem i skonać zaraz z radości.

– Powiedziałem ci już Sancho, nie turbuj się nic, bądź spokojny. Jak nie będzie wysp, to mamy królestwo Dinamarku i Sebradisy, które ci lepiej jeszcze przypadną, bo nie potrzeba do nich po morzu się dostawać. Ale na to wszystko przyjdzie czas. Na teraz sięgnij no do sakwy, czy nie masz tam co

---

<sup>53</sup> *kordiał* (daw.) – lek wzmacniający (szczególnie serce; łac. *cor cordis*: serce, *cordialis*: serdeczny); szlachetny trunek. [przypis edytorski]

zjeść, bo potem ruszymy szukać zamku jakiego, gdzie byśmy się na tę noc schronili i kordiał mój przysposobili; jak mi Bóg miły, ucho piecze mnie piekielne.

– Mam tu – odpowiedział Sancho – główkę czosnku, trochę sera i parę kromek starego chleba, ale to specjały nie dla tak dzielnego rycerza, jak wasza łaskawość.

– Gadasz sam nie wiesz co! – na to mu Don Kichot. – Trzeba ci wiedzieć, Sancho, że w tym właśnie chwała rycerzy błędnych, iż często po kilka miesięcy nic nie jedzą, a kiedy jedzą, to bez ceremonii, co im pod rękę podpadnie; żebyś czytał tyle historii rycerskich, co ja, to byś o tym wiedział. Daję ci słowo, że mimo mozolnych i długich poszukiwań, nie czytałem nigdy, żeby ci rycerze jedli umyślnie, zawsze jedzą tylko przypadkiem, lub kiedy się znajdują na wspaniałych bankietach, dawanych im przez królów i książąt. Zresztą, żyją tylko samymi myślami. Że zaś przypuścić nie można, aby się obywali zupełnie bez pożywienia, jako i bez innych potrzeb, boć przecie są ludźmi, jak i my, to nie ma wątpliwości, że pędząc życie w puszczech i lasach i bez kucharzy, musieli spożywać potrawy proste, takie, jakimi mnie teraz częstujesz. Tak więc, miły bratku, nie smuć się tym, z czego ja się cieszę; nowych nie zaprowadzaj obyczajów i nie psuj starych podań rycerskich.

– Raccie mi wybaczyć, panie – rzekł Sancho – bo jak powiedziałem, czytać i pisać nie umiem, reguł przeto rycerskich poznać nie mogę; teraz już będę wiedział i na przyszłość będę miał zawsze w sakwach trochę prostej strawy dla was, jako rycerza, a dla siebie, że nie mam zaszczytu być nim, pomyślę o czymś lepszym i pożywniejszym.

– Nie mówię ja – rzekł Don Kichot – żeby powinnością rycerza miało być samą tylko grubą strawą się żywić, ale tylko, że na niej zwykle poprzestają, dodając nieco ziół polnych, na których dobrze się znają, a których i ja świadom jestem.

– Ważna to bardzo rzecz znać się na roślinach – rzekł Sancho – i widzi mi się coś, że ta znajomość przyda nam się z czasem. A teraz zjedzmy, co Pan Bóg dał.

Jakoż wydobywszy żywność z sakw, smacznie spożywali ją razem. Prędko skończyli skromną biesiadę, wsiedli znów na koń i ruszyli szukać noclegu; ale słońce i nadzieja zawiodły ich nieco, bo dobrze już zmierzchno, kiedy nic nie znalazłszy, ujrzeli się w pobliżu pastuszych szałasów i tam noc spędzić postanowili. O ile Sanchowi markotno było, że się nie dostał na noc pod dach wygodny, o tyle Don Kichot cieszył się, że koczuje pod gołym niebem, bo zdawało mu się zawsze wtedy, iż zagarnia w posiadłość swoją okiem niedoścignione obszary i nowe zasług dowody kładzie w rzemiośle błędnego rycerza.

## Rozdział III

### Przygoda Don Kichota z pasterzami.

Pasterze tych szałasów z otwartymi rękoma przyjęli naszego rycerza, a Sancho, sprawivszy się co żywo z najdogodniejszym pomieszczeniem Rosynanta i osła, pobiegł zaraz w stronę, skąd go doleciał zapach koziny, którą pasterze piekli sobie na kolację. Poczciwy giermek rad by ją był natychmiast, prosto z rożna do brzucha swego przeprowadził, ale rad nie rad, musiał wstrzymać swe zapędy, dopóki pasterze nie rozestali na ziemi, zamiast obrusów, kilka skór kozich i baranich. Urządziwszy to wiejskie nakrycie, szczerym sercem zaprosili swych gości na to, co Bóg dał. Sześciu pasterzy szałas ten zamieszkujących zasiadło na ziemi wokoło skór, zaprosiwszy ceremonialnie Don Kichota, żeby siadł na przewróconym dla niego umyślnie korycie. Don Kichot zasiadł, a Sancho stał za nim, trzymając w ręku czarę, nie kryształową wprawdzie, lecz rogową, w której miał mu pić podawać. Widząc go tak stojącego, przemówił doń rycerz:

– Żebyś się przekonał, Sancho, ile to dobrego mieszczą w sobie zasady błędnego rycerstwa i jak dalece ludzie wyznający je powinni być czczeni i wielbieni na świecie, pozwalam ci zasiąść koło siebie razem z tą pocziwą gromadką; będziesz za pan brat z panem i władcą swoim, któremu służysz; będziesz jadł z tej samej misy i pił z nim z jednej szklanki; bo o rycerzach błędnych powiedzieć można to samo, co o miłości, że dla nich wszystko jest równe.

– Dziękuję waszej łaskawości – rzekł Sancho – ale byłem miał co, to wolę jeść sam i stojący, niż siedzieć obok najpotężniejszego władcy. A nawet prawdę powiedziawszy, daleko mi lepiej smakuje kromka razowca z cebulą, zjedzona w kącie, bez przymusu i ceremonii, niż najpyszniejsze indory, kiedy je jeść trzeba w wymuszonej kompanii, gdzie muszę łykać powoli, popijać po odrobinie, obcierać gębę co minuta i nie śmiem ani kaszlnąć, ani kichnąć, kiedy mi przyjdzie ochota. Tak więc, łaskawy panie, te zaszczyty i łaski, którymi mnie obdarzać raczysz jako rycerskiego luzaka, zamieńmy lepiej na inne, co by mi więcej korzyści i wygody przyniosły; a za tamte serdecznie ci dziękuję i kwituję z nich od dzisiaj aż do końca świata.

– Dobrze to wszystko – rzekł Don Kichot – ale trzeba przecież, żebyś tu usiadł, bo kto się korzy, ten będzie wywyższon.

I pociągnął go tak silnie za rękę, że musiał nieborak usiąść koło niego. Pasterze, nie rozumiejąc nic tej rozmowy rycerskiej, zajadali w najlepsze i spoglądali na gości, że łykali kawały duże jak pięście. Po mięsie zastawiono orzechy i ser twardy jak kamień; rogowa czara nie próżnowała, krążyła ciągle z rąk do rąk to pełna, to próżna, tak często, że z dwóch worków wina jeden już był całkiem próżny. Don Kichot, podjadłszy sobie potężnie i widząc, że naładował brzuch, jak przystoi na nowoczesnego rycerza, wziął garść orzechów i czule na nie spoglądając, rzekł:

– O, wieku! szczęśliwy wieku, któremu ojcowie nasi nadali miano złotego, nie dlatego, żeby złota, tak cennego w tym naszym wieku żelaznym, było więcej wtedy, ale dlatego, że wtedy nie znano dwóch złowrogich wyrazów: **moje** i **twoje**, które teraz świat cały rozdarły. Wtedy w tych czasach świętych, wszystko było między ludźmi wspólne. Każdemu dość było rękę przed siebie wyciągnąć, aby potrzebne do życia zbierać owoce. Źdroje czyste i rzeki rwące dostarczały w bujnej obfitości przezroczych wód do napoju. W szczelinach skał i drzew wydrążeliskach pracowite pszczołki państwa swe zakładały, bez żadnej opłaty każdemu gotowe dając słodczy zasoby. Wszystko wtedy tchnęło pokojem, przyjaźnią i zgodą. Ostry lemiesz ciężkiego pługu nie śmiał jeszcze drzeć świętych wnętrzości matki naszej ziemi, bo ona sama z siebie hojne na całym ogromnym swym łonie wydawała plony, aż nadto dla dzieci jej ówczesnych wystarczające. Wtedy to niewinne i wesołe pastereczki biegały po wzgórzach i dolinach, tyle tylko ciała kryjąc odzieniem, ile skromność kryć zawsze ludziom nakazywała; powaby ich były nie takie, jak niewiast dzisiejszych, złoto, jedwabie i tyryjskie purpury nie były im potrzebne; sztuki w stroju nie znały, proste kwiecica i zieleni

wieńce stroiły je lepiej niż najwymyślniejsze zbytku dzisiejszego wybryki stroją dzisiejsze panie. Miłość wyrażała się prosto i szczerze, nie szukając w wytwornych słówkach podniety dla siebie. We wszystkich czynnościach ludzi panowała otwartość dusz prostych i zacnych, daleka od oszustwa i niezdolna całkiem do obłudy. Sprawiedliwość, z oczami ciągle zawiązanymi, nie znała względu, ni zysku. W późniejszych to dopiero wiekach potworne te gadziny wyrosły i najohydniejszym jadem serca ludzkie przejąwszy, wyrugowały z nich wrodzoną szlachetność i zacność, które za wspólną zgodą ogółu wszystkim wtedy rządziły. Niewinność towarzyszyła wszędy dziewczętom, jak to już mówiłem, bez obrony i przewodników bujały one swobodnie, bać się nie potrzebując przestępnych, zbrodniczych na siebie zamiarów. Bezpieczne od innych i od własnych chuci, same wszędzie cześć i poszanowanie znachodziły. A dziś, w tych wiekach przebrzydłego zepsucia, któraż z nich może być bezpieczną, choćbyś ją nawet w kreteńskim osadził labiryncie? Zdrożna miłość przez najdrobniejsze zakrada się szczeliny, w powietrzu tchnie sprośność i piękne zasady wniwecz obraca. Ten nawał rosnącej z wiekami zdrożności, powołał do życia instytucję błędnych rycerzy, za cel sobie kładącą obronę dziewcząt, osłonę wdów, opiekę sierot i podporę nieszczęsnych. Tej to instytucji, tego zakonu, ja jestem członkiem; mili bracia pasterze! serdeczne składam wam dzięki za gościnne przyjęcie, jakiego od was razem z giemkiem mym doznałem; bo chociaż z samego prawa natury obowiązkiem jest każdego błędnych rycerzy zasilac, to jednak, bacząc na to, iż nie wiedzieliście kto jestem i z dobrego jedynie serca takie zgotowaliście dla mnie przyjęcie, słuszna wam się ode mnie należy podzięka i zapewnienie, że nigdy, do grobowej deski, wdzięczność i wspomnienie dla was serca mego nie opuszczają.

Orzechy to tak stanowczo przywiodły na pamięć wiek złoty rycerzowi naszemu i tę piękną natchnęły mu przemowę, bez której doskonale mógł się obejść, jako i pasterze, co słuchając jej pilnie, nic a nic nie rozumieli, a choć gęby pootwierali, ni słowa nie rzekli. Sancho także ani pisał, ale nie próżnował; pakował przez ten czas, co się zmieściło orzechów i sera, ustając gębą ruszać ledwie wtedy, gdy do drugiego worka z winem zaglądał. Po skończonej biesiadzie jeden z pasterzy tak się odezwał do Don Kichota:

– By ci dowieść, dostojny rycerzu, jak gorąco pragniemy przyjąć cię godnie i rozweselić między nami, przyprowadzimy ci, abyś go posłuchał, jednego z naszych towarzyszków, który ci zapewne wiele przyjemności sprawi. Jest to pastuszek bardzo rozkochany i wysoce uczony; umie czytać i pisać jak sam bakalarz, a przy tym śpiewa i wygrywa na skrzypcach, że rozkosz go słuchać.

Ledwie tych słów dokończył pasterz, dał się słyszeć odgłos skrzypiec, niezadługo ukazał się dziarski chłopak, wygrywający na nich, a około dwadzieścia dwa lata wieku mający. Pasterze go pytali, czy jadł już wieczerzę, a kiedy odpowiedział, że jadł:

– To teraz, mój Antosiu – rzekł pasterz, który mówił z Don Kichotem – musisz nam co zaśpiewać, żeby rycerzowi temu a gościowi naszemu pokazać, iż w lasach i górach są przecież ludzie, co się na muzyce znają. Jużeśmy mu powiedzieli, jaki to z ciebie łebski chłopak, i trzeba mu dowieść, że my kłamać nie umiemy. Siadaj więc, mój miły, i zaśpiewaj nam piosenkę, którą stryj twój, ksiądz, o miłostkach twoich ułożył i która w całej okolicy tak się podobała.

– Zaśpiewam chętnie, kiedy tak chcecie – odrzekł Antoni i nie dając się prosić, usiadł na pniaku dębowym, a nastroiwszy skrzypki, wdzięcznie zawiódł piosenkę:

Ja wiem Olallo, że kochasz mnie,  
Chociaż mi tego nie powiedziałaś  
Nawet, Olallo, twymi oczami  
Tymi ustami miłości twej!

O! ty mnie kochasz – boś zrozumiała  
Dreszcz mego ciała i serca bicie!  
A każda miłość będzie przyjęta,

Która wyrazić swój ogień zdoła.

I chociaż nieraz przez srogość twą  
Tyś mi, Olallo, wierzyć kazała,  
Że pierś twa biała, jak gład nieczuła,  
Że twoja dusza twardsza niż brąz!

Przecież przez chmury twojego gniewu,  
I oziębłości twej szarej mgły,  
Zieloną szatę strojnej nadziei  
W dali świecąca widziałem gdzieś.

Jeżeli miłość zalotnie mówi,  
To twe, Olallo, niewinne słowa  
Tak poją serce moje nadzieją,  
Jak poi rosa uwiędły kwiat.

A jeśli tkliwe męskie starania  
Mogą rozculić duszę niewieścią,  
To moje ciągle dla cię usługi  
Dają mi prawo do uczuć twych.

Wiesz żem nie zważał na dzień powszedni,  
I gdym szedł, luba, zobaczyć cię,  
Brałem na siebie szaty niedzielne,  
W co najdroższego stroilem się.

Bo zwykle miłość i strój ozdobny,  
Łącząc się, idą pospołu w drogę,  
Więc też pragnąłem, by w twoich oczach  
Miłym i pięknym pokazać się.

Dla ciebie, miła, rzuciłem taniec,  
Tylko pieśń tkliwą przy lutni drżącej  
Śpiewałem tobie wśród nocnej ciszy,  
I wśród rannego kogutów piania.

Że już nie liczę pochwał i cześci,  
Które twym wdziękom i hołdzie składam,  
Choć przez nie wszystkie twe towarzyski  
Gniewne wymówki czyniły mi.

Raz mi Teresa Bezzacol rzekła,  
Gdym przy niej oczy wychwalał twe:  
„Ten sobie myśli, że czci anioła,  
A w brzydkiej małpie zakochał się,

Która cackami i sztuką zręczną,  
I swego serca chytrością znaną,

Zwikłała głupca w sieci pajęcze,  
I wlecze dalej z sobą w świat”.

Zadałem kłamstwo oszczerczym słowom,  
Jej krewny wtedy wyzwawszy mię,  
Spotkał się ze mną – a co się stało,  
O tym, Olallo, ty dobrze wiesz.

Miłość w mym sercu nie jest szaleństwem.  
Nie pragnę ciebie kochanką mieć,  
Bo me uczucia prawe i czyste,  
Uczciwszy sobie obrały cel.

Kościół ma świętych węzłów ogniwa,  
Jak atlas gładkie, jak atlas białe,  
Pod słodkie jarzmo poddaj swą głowę,  
Ujrzysz jak chętnie ja oddam swą.

Jeżeli nie chcesz – przysięgam tobie  
Na najświętszego ze wszystkich świętych,  
Że albo nigdy z gór tych nie wyjdę,  
Lub kapucynem zostanę tu.

Gdy pastuszek skończył, Don Kichot prosił go, żeby mu jeszcze co zaśpiewał, ale Sancho, któremu się bardziej spać chciało, niżeli słuchać piosenek, sprzeciwił się temu, zwracając uwagę pana, iż czas pomyśleć o jakim na noc przytulisku i że tym biedakom, cały dzień krwawo pracującym, nie bardzo musi być na rękę w nocy bawić się piosenkami.

– Rozumiem cię, mój Sancho – odpowiedział Don Kichot – i widzę, żeś sobie łyknął tak dobrze, iż głowa ci cięży, ale nie do muzyki.

– Bogu Najwyższemu chwała – rzekł Sancho – ja łykał i pan łykał, i wszyscyśmy łykali, a nikt się nie wzdragał.

– Dobrze, dobrze – na to mu Don Kichot – możesz iść spać, kiedy ci się podoba; ludziom takim jak ja, czuwać, a nie spać przystoi. Ale wprzód opatrz no mi ucho, bo dalipan, że mi kaducznie doskwiera.

Sancho zaczął się krzątać około maści, ale jeden z pasterzy, spostrzegłszy ranę, rzekł do Don Kichota, żeby się o nic nie turbował, że mu ją zaraz uzdrowi. Nazbierał niebawem liści rozmarynowych, posiekał je, posolił i przywiązał plastrem do ucha, zapewniając, że już żadnego nie będzie potrzebował lekarstwa, jakoż całkiem się to sprawdziło.

## Rozdział IV

### Opowiadanie pasterza.

Kiedy tak się bawią, przybywa znów chłopak, który chodził po żywność do miasta, i przybywszy, zaraz pyta:

– Wiecie bracia, co się stało?

– A skądże mamy wiedzieć – odpowie któryś.

– A no patrzajcież, moi mili, to ten Chryzostom taki dobry, taki poczciwy pasturek, umarł dziś rano, jak powiadają, z miłości do tej opętanej Marceli, córki Wilhelma bogacza, co to się włóczy po polach jak pasterka ubrany.

– Z miłości do Marceli? – rzecze jeden z pasterzy – drwisz sobie, czy o drogę pytasz?

– A tak jest tak nie inaczej – odpowiedział chłopak – a co dziwniejsza to, że Chryzostom kazał się pochować wśród pola, jak poganin jaki, tam pod skałą, gdzie bije źródło, bo tam, jak sam mówił, pierwszy raz ją ujrzał. Polecił nadto przy śmierci wiele innych rzeczy, jeszcze dziwniejszych, ale ich nie wykonają, bo organista powiada, że strasznie pogańskie i zły przykład by dały, ale Ambroży, kolega i przyjaciel nieboszczyka, co to także po pastersku się nosi, chce koniecznie, żeby wykonano, co Chryzostom polecił. Cała wieś o niczym innym nie gada i zdaje się, że Ambroży razem z innymi pasterzami, przyjaciółmi zmarłego, postawią na swoim i pochowają go jutro z wielką ceremonią w miejscu żądanym. Będzie to śliczne widowisko, muszę i ja tam pójść.

– Wszyscy pójdziemy – zawołali pasterze – i losem ciągnąć będziemy, kto przy kozach zostanie.

– Masz słuszność, Piotrze – odezwał się któryś – trzeba tam pójść, ale losem nie ma co ciągnąć, ja za was wszystkich zostanę. Nie sądzcie, żebym się tym chciał wam przysłużyć, albo nie miał ciekawości – nie, tylko, że chodzić nie mogę, bo mi ten cierń, co mi wczoraj włożył w nogę, okrutnie dolega.

– Dla nas to zawsze twoja łaska – odrzekł Piotr – i Bóg zapłać za nią, dopóki sami nie potrafimy.

Słyszając tę rozmowę, Don Kichot prosił Piotra, żeby mu powiedział, jak się nazywał nieboszczyk, i kto jest ta pasterka. Piotr mu na to odpowiedział, że nic nie wie, prócz tego, iż nieboszczyk był to młody szlachcic bardzo bogaty, którego ojciec mieszka tu w pobliskim zamku między górami, a on przez lat kilka chodził na nauki w Salamance i wrócił bardzo uczony, jak wszyscy powiadali; nade wszystko, ciągnął Piotr dalej, mówili ludzie, że się zna na gwiazdach i wie wszystko, co się tam dzieje na niebie między słońcem i księżycem. I zawsze też nam na pewniaka przepowiadał, kiedy słońce albo księżyc zasłonią się od nas.

– A!... przepowiadał wam zaćmienia słońca i księżyca – poprawił Don Kichot – bo to, widzisz, nazywa się zaćmienie, kiedy się te gwiazdy tak zasłaniają.

Piotr mało zwracał uwagi na te subtelności językowe i mówił dalej:

– Zgadywał także, czy będziemy mieli dobry, czy zły rok. Krewniacy jego i przyjaciele, którzy wierzyli wszystkiemu, co mówił, słuchali zawsze rad jego i w krótkim czasie przyszli do wielkich majątków; on im raz radził, żeby siali jęczmień, a nie pszenicę, drugi raz znów, żeby siali groch, a nie jęczmień. Przepowiedział raz, że w jednym roku będzie wielka obfitość oliwy, a potem przyjdą trzy roki z kolei, że się jej ani kapka nie zbierze, i wszystko to się sprawdziło święciuchno.

– Taka nauka nazywa się astrologią – poważnie odezwał się Don Kichot.

– Nie wiem ja, jak się ona nazywa – odrzekł Piotr – ale to wiem, że on się znał na wszystkim i wszyściusienko na świecie umiał. W trzy miesiące po powrocie z Salamanki przystał do nas na piękne, przebrał się po pastersku, zawiesił sobie przez plecy torbę i pasał trzódkę swoją, i przyjaciel jego, Ambroży, co także uczony był w Salamance, przyszedł także do niego, zrzucił sutanę i przywdział się po naszemu. Ale, zapomniałem wam jeszcze powiedzieć, że ten Chryzostom składał śliczne pieśni, nawet pisał kolędy, co się śpiewają w wigilię Narodzenia Najświętszego Dzieciątka Jezus, i dorabiał

także wiersze dla chłopców na zabawki Bożego Ciała, a to wszystko było zawsze takie piękne, że ludzie powiadali, jako nigdy nic śliczniejszego nie słyszeli. Nikt nie wiedział, jaka była przyczyna, że ci dwaj studenci przebrali się tak po pastersku i życie sobie na nice przemienili, wszyscy się im mocno dziwowali. Ojciec Chryzostoma umarł wtedy i zostawił mu wielki majątek, moc bydła i trzód wszelkich i wiele ruchomości i pieniędzy. Bóg mu to dał, bo zasłużył; złota była to dusza, wszystkich dobrych ludzi kochał serdecznie, a twarz to miał taką, jak aniołek. Później dopiero dowiedziano się, że to przebranie się za pasterza stąd miało przyczynę, iż rozmiłował się na zabój w pięknej pasterce Marcelli i za nią tak gonił po górach i polach. Muszę wam też opowiedzieć, co to za jedna ta Marcella, bo i to się wam zda wiedzieć. Jako żywo, pewnoście jeszcze, ba i nie pewno, tylko tak jest niezawodnie, że nigdy w życiu nie słyszeli nic podobnego i choćbyście tysiąc lat żyli, nigdy nie usłyszycie. Wspomniałem wam, miły panie, że był we wsi naszej rolnik, imieniem Wilhelm, jeszcze bogatszy od ojca Chryzostomowego, któremu Pan Bóg, oprócz bogactwa, dał śliczną córkę, której matka umarła, wydając ją na świat. Poczciwa to była kobieta jej matka, nie znałem nigdy zaniejszej niewiasty w całej okolicy. Zda mi się, że ją jeszcze mam przed oczami, poczciwe kobiecisko, z twarzą rumianą, a oczami iskrzącymi jak dwa słońca, a jaka zawołana gospodyni i jak biednych kochała; założyłbym się, że musi teraz być w raju. Wilhelm umarł z tęsknoty po śmierci żony i młodziutkiej Marcelce, jedynaczce, zostawił cały majątek, oddając opiekę stryjowi jej, który był proboszczem we wsi naszej.

Dziewczę rosło co dnia piękniejsze i coraz więcej przypominało nam matkę cudną twarzyczką swoją; gadano już wtedy, że jeszcze śliczniejsza będzie od nieboszczki, a skoro doszła lat piętnastu, każdy, kto ją zobaczył, podziwiał chwałę Bożą w cudownej jej piękności, i każdy się w niej rozkochał, albo raczej z miłości dla niej wariował. Stryj strzegł jej pilnie i chował surowo, ale sława jej piękności rozbiegła się po świecie; i tak z tej przyczyny, jako i dla wielkiego majątku, mnóstwo młokosów najpierwszych rodzin nie tylko ze wsi naszej, ale z dalekiej okolicy, ubiegało się o jej rękę, nie dając i chwili pokoju jej stryjowi. Poczciwy pleban rad by ją był wydał za mąż jak tylko dorosła, ale nigdy nie chciał tego czynić bez jej zezwolenia, i nie sądźcie, że zwlekając z wydaniem za mąż, miał na widoku jakie korzyści majątkowe, wszyscy wiedzą, że przeciwnie, poczciwe człowieczysko własnego nieraz nie dojrzał gospodarstwa, tyle miał kłopotu z rządem jej mienia. Z wielką też pochwałą mówi się zawsze o nim na naszych wieczorynkach. Bo trzeba wam wiedzieć, dostojny rycerzu, że na takich wieczorynkach to u nas mówi się o wszystkim, i nieraz dobrze się ludzi kąsa, każdy powie co myśli. Można być pewnym, że musi to być prawdziwie dobry i przykładny człowiek, kiedy go wszyscy parafianie jednym głosem chwalą i uwielbiają.

– Słusznie mówisz – rzekł Don Kichot – ale ciągnij dalej opowieść, proszę cię, dobry Piotrze, bo historia bardzo piękna i opowiadasz ją bardzo pięknie.

– Pan Bóg z wami, mówi się zwyczajnie jak było i kwita. Owóż tedy, żeby wam dalej rzecz wyłożyć, co stryj jej zaleci owego lub zachwali którego z młokosów, starających się o jej rękę, prosząc ją, żeby sobie sama męża wedle upodobania wybrała, to ona mu zawsze jedno odpowiada, że jeszcze o tym nie myśli, że młoda i ma jeszcze dosyć czasu. Takimi to mądrymi sposobami zasłaniała się zawsze od pieczołowitości stryja, a on czekał aż będzie starsza, żeby sobie sama męża wybrała, gdyż mawiał to zawsze i dobrze mawiał, rodzice nie powinni nigdy postanawiać dzieci przeciw ich woli.

Aż tu razu jednego, kiedy się nikt ani spodział, dumnej Marcelli zachciało się zostać pasterką, i mimo odradzań stryja i wszystkich, co ją od tego odwieść chcieli, dziewczyna bieży z innymi w pole i sama gromady pilnuje. Do pioruna! wtedy to dopiero bieda była; bo jak tylko się ukazała i piękność jej zajaśniała na polach, sypnęło się zaraz gachów bez liku, to ze szlachty, to z bogaczów wiejskich, a wszyscy na pasterzy się poprzebierali i dalejże w sielskie zalecanki do niej! Jednym z takich, jak już powiedziałem, był i biedny Chryzostom; ludzie mówili, że nie kochał, ale ubóstwiał ją. Marcella, obrawszy sobie to swobodne życie, na krok jednak od surowej skromności nie odstąpiła; przeciwnie, tak umie dbać o godność swoją, że żaden z zalecających się jej nie może się pochwalić, żeby go kiedy najlżejszą nadzieją pocieszyła, a chociaż nie unika ani towarzystwa, ani rozmowy z pasterzami,

i przestaje z nimi bardzo po przyjacielsku, jeżeli jednak który z nich odważy się odkryć jej miłość swoją, mimo, że w najświętszym celu, to tak go zaraz odsadzi, że już ani pomyśli drugi raz się do niej przysunąć. Tak tedy ta dziewczyna więcej nam tu biedy robi, niż morowe powietrze, bo wszystkie serca jak na lep lgną do jej piękności i słodczy, a potem srodze zranione w rozpacz wpadają. Cała ich zemsta, że później wykrzykują na nią głośno, że okrutna i niewdzięczna, i wymyślają jej różne przewzania, na które okrutnica słusznie zasługuje. Żebyście tu dłużej zostali, dostojny rycerzu, tobyście usłyszeli nieraz, jak po górach i dolinach roznoszą się żalosne jęki tych biednych kochanków, przez nią odrzuconych. Niedaleko stąd stoi ze trzydzieści buków, a nie ma ani jednego, żeby na całej korze nie nosił wyrytego imienia Marcelli, a na niektórych nad tym imieniem świeci korona, jakby na znak, że jej się należy korona piękności. Tu wzdycha jeden pasterz, a tam znów drugi płacze żałośnie; tu słycać piosnki miłosne, a tam znów rozpaczne wykrzyki. Niejeden całą noc spędza bezsennie pod jakim dębem lub skałą, i zatopiony w myślach, czeka wschodu słońca; inni znów, wzdychając bezprzestannie, najskwarniejsze dni lata przeleżą na rozżarzonym piasku, śląc ciągle do nieba bolesne wołania i straszne lamenty. A dumna Marcella, jakby to ją nic nie obchodziło, drwi z tego wszystkiego i jednych i drugich zarówno wzgardą odpycha. My, co ją znamy tylko, czekamy, do czego doprowadzi ta zatwardziałość niebezpiecznej dziewczki i kto będzie ten szczęśliwy, co ją obłaskawić dla siebie potrafi. Wszystko, com wam powiedział, jest najrzetelniejszą prawdą i nie ma żadnej wątpliwości, że śmierć Chryzostoma z jej przyczyny pochodzi. Radzę wam, dostojny rycerzu, iść jutro na jego pogrzeb, nie ma jak pół mili stąd, a będzie tam co widzieć.

– Pójdę, pójdę niezawodnie – odrzekł Don Kichot – a tobie dziękuję uprzejmie za tę historię, która mi wiele sprawiła rozkoszy.

– O... jeszcze by to wiele gadać – odpowiedział pasterz – nie mówiłem ja wam i połowy różnych przygód, które się kochankom Marcelli wydarzyły, ale jutro znajdzie się kto z naszych, co wam reszty dopowie. Na teraz, miły panie, trzeba wam pomyśleć o wygodnym łożu, gdzie pod dachem, bo nocne powietrze niedobre dla waszej rany, chociaż pod tym plastrzem nie ma się bać czego.

Sancho, który już z milion razy całym piekłem diabłów przeklął pasterza i jego gadulstwo, nastawał gwałtem na pana, żeby poszedł spać do szałasu Piotra. Zgodził się nareszcie na to, ale noc przepędził bezsennie, myśląc ciągle o nieubłaganej Dulcynei swojej, żeby w niczym nie ustąpić kochankom Marcelli. Co zaś do Sancha, ten się rozciągnął wygodnie na słomie pomiędzy Rosynantem a osłem, i chrapnął smacznie, nie jak kochanek wzgardzony, ale jak człowiek z brzuchem potężnie wyładowanym i grzbietem należycie oporzadzonym.

## Rozdział V

Dalszy ciąg historii o Marcelli.

Zaledwie jutrzienka wyjrzała spoza widnokręgu, jak to mówią poeci, a już pięciu, czy sześciu pasterzy wstało z posłania i poszło pytać się Don Kichota, czy ma jeszcze zamiar pójść na pogrzeb Chryzostoma i powiedzieć mu, że gotowi mu są towarzyszyć. Don Kichotowi w to tylko graj, wstał więc i rozkazał Sanchowi okulbaczyć wierzchowca. Posłuszny Sancho zwinął się prędko i, nie bawiąc, cała gromada ruszyła w drogę. Nie uszli i ćwierć mili, gdy ujrzeli przybywających z boku sześciu lub siedmiu pasterzy, w czarnych kaftanach, z cyprysowymi i wawrzynowymi wieńcami na głowach i wielkimi wiechami w ręku. Za nimi jechało dwóch szlachty na koniach, w pięknym ubraniu, a dalej szło trzech hajduków pieszo. Zszedłszy się, powitali się grzecznie i, zapytawszy wzajem o cel podróży, przekonali się, że wszyscy dążą na pogrzeb nieszczęśliwego młodziana; razem więc dalej ruszyli. Jeden z jezdnych kawalerów tak mówił do swojego towarzysza:

– Mości Vivaldo, nie będziemy zapewne żałowali czasu ceremonii tej poświęconego, bo to będzie coś ciekawego, sądząc z opowiadań tych poczciwych ludzi o zmarłym kochanku i strasznej kochance.

– O i ja pewien jestem, że żałować nie będziemy – rzekł Vivaldo – i cztery dni gotów bym poświęcić, byleby się znajdować na tym pogrzebie.

Don Kichot pytał się ich, co by im powiadano o Chryzostomie i Marcelli; jeden z nich odpowiedział, że spotkali pasterzy, a widząc ich w żałobnym stroju, chcieli się o przyczynie dowiedzieć i wtedy im opowiedziano historię o pięknej a okrutnej Marcelli, o wielu jej kochankach i śmierci Chryzostoma, na którego pogrzeb zdążali. Słowem, powtórzyli Don Kichotowi wszystko, co mu Piotr powiedział, a gdy skończyli opowiadanie, Vivaldo zapytał naszego rycerza, dlaczego tak strasznie uzbrojony jeździ po kraju tak spokojnym.

– Stan mój i powołanie – odparł Don Kichot – nie pozwalają mi inaczej się na świat pokazywać. Stroje i wygody, to dla dworaków, a praca, znoje i broń, to dla rycerzy błędnych, do których liczby mam zaszczyt należeć.

Dość tego było dla tych kawalerów, żeby rycerza naszego za wariata wzięli; ale, żeby się jeszcze lepiej upewnić i zobaczyć, co to za rodzaj wariacji, Vivaldo żądał od niego, żeby mu wytłumaczył, co to są rycerze błędni.

– Jak widzę, moi panowie – rzekł Don Kichot – nie czytaliście kronik angielskich, w których jest mowa o wielkich czynach króla Artura, co o nim podanie niesie, że żyje dotąd w Wielkiej Brytanii zaklęty w kruka, ale kiedyś wróci do dawnej postaci i na tronie zasiądzie; od tego to czasu nikt nie widział, żeby który Anglik zabił kiedy kruka. Za tego to zacnego króla utworzonym został zakon rycerski Okrągłego Stołu i rozgłosiły się po świecie miłostki Don Lancelota z królową Genewrą.

Dam usługami tkliwemi  
Nikt nie był tak zaszczycony,  
Jak Lancelot, gdy w te strony  
Z Bretońskiej powracał ziemi.

Od owego to czasu zakon ten rycerski coraz się bardziej rozszerzał i po wszystkich częściach świata zasłynął. Dzielny Amadis wstawił go swymi czynami, a synowie jego i wnuki aż do piątego pokolenia waleczność po nim odziedziczyli. Głośny też był w świecie nieustraszony Feliks Mars z Hikarnii i inny znów rycerz, którego nigdy dość nachwalić nie można, znany ów Tyrant Biały. Za naszych już prawie czasów zajaśniał niezwykły Belianis z Grecji, i tylu innych, których imiona historia na wieki zachowa. Taki to jest, mój panie, zakon błędnych rycerzy, do którego, powiedziałem

ci, należą i którego prawa ściśle wykonywam, a starodawne wzory cnót rycerskich pilnie naśladowuję. Dlatego to, jak niegdyś oni, ja teraz jeżdżę po górach i puszczech, goniąc za przygodami, żebym osobę moją i prawicę mógł wstawić niebezpieczeństwami, na które w sprawie nieszczęśliwych i słabych z gotowością zawsze się narażam.

Usłyszawszy taką mowę, podróżni pewni już byli, że Don Kichot ma źle w głowie i bardzo się dziwowali tej niezwykłej chorobie. Vivaldo że był bardzo wesoły i chciał się w drodze zabawić, wyrozumiawszy rzecz dobrze, w ten sposób Don Kichota zagadnął, żeby go rozochocić:

– Zdaje mi się, mości błędny rycerzu, że obrałeś sobie jedno z najtwardszych powołań na świecie; wątpię nawet, żeby zakon kartuzów większej wymagał surowości.

– W surowości może nam wyrównywać – odpowiedział nasz rycerz – ale nigdy w użyteczności i sławie, bo dla nich dosyć modlić się spokojnie i cicho do Boga, dla dobra innych ludzi, a my rycerze i wojownicy urzeczywistniamy to, o co oni się tylko modlą, zapewniając ludziom pomyślność i sprawiedliwość dzielnością ramienia naszego i ostrzem oręża. Ale za to narażeni jesteśmy na wszystkie niewygody i utrapienia; latem ciągle na piekącym słońcu, a zimą na trzaskających mrozach. Mamy więc prawo nazywać się zesłańcami bożymi na tej ziemi i wykonawcami sprawiedliwości. Wojna i trudy żołnierskie ciągną za sobą tysiące innych mokołów, dlatego też, kto ten stan sobie obierze, wielkie ma zasługi, jeżeli cały się poświęca dla dobra bliźniego. Z tym wszystkim niechże mnie Bóg broni, abym miał twierdzić, że stan rycerza błędnego jest równie święty i bezpieczny, jak stan duchowny; ale to rzecz niezawodna i z doświadczenia dobrze mi znana, że przecierpieć w nim wszelakich udręczeń, głodu, pragnienia, bólu i niewczasu trzeba daleko więcej, słowem, że to stan daleko nędzniejszy, niż o tym przekonać się można z nieszczęść rozmaitych rycerzy, które historia opisuje. Byli wprawdzie między nimi i tacy, co dzielnością oręża korony sobie zdobyli, ale wierzajcie mi, dobrze oni to krwią i trudami przyplacili; a gdyby nie mieli przy sobie mędrców i czarnoksiężników do pomocy, to bądźcie pewni, że niewiele by wskórali.

– Cudownie, podzielam wasze zdanie o rycerzach błędnych – rzekł Vivaldo – ale z wielu innych, jedna szczególnie rzecz mnie uderza, a tą jest, że podejmując czyn jaki wielki z wyraźnym życia narażeniem, nie uciekają się do pomocy i opieki boskiej, jak każdy chrześcijanin w podobnym razie czynić powinien, ale polecają się zdrożnie kochankom swoim i wzywają ich pomocy, jak gdyby innego Boga nie mieli. Moim zdaniem, wielkie to pogaństwo.

– A, mój panie, kiedy to już nie może być inaczej – odpowie Don Kichot – i rycerz błędny, co by sobie inaczej postąpił, na śmiech by się tylko naraził, jest to zwyczaj odwieczny i uświęcony; rycerz błędny, walcząc nawet wobec damy swojej, powinien zwracać miłośnie wzrok ku niej, jak gdyby błagając, żeby mu była przychylną i w niebezpieczeństwie pomocą. Chociaż nikt nie widzi i nie słyszy, powinien on zawsze kilku przynajmniej słowami, z głębi serca idącymi, polecić się jej łasce; historia daje nam nieskończoną ilość podobnych przykładów. Ale za tym wcale nie idzie, aby rycerz błędny nie mógł się i Bogu polecić, na wszystko jest czas; w chwili boju nawet może to uczynić.

– Ja mam jeszcze jeden zarzut – wtrącił Vivaldo – czytałem nieraz, że rycerze błędni, rozmawiając z sobą, zapalają się tak, iż od słowa do słowa przychodzi między nimi do zwady i nagle zwracają konie na pole, jak wściekli rzucają się na siebie, dwoma słówkami zaledwie mając czas polecić się damom. W takich gonitwach i bojach jednemu zwykle dostaje się cięcie albo pchnięcie śmiertelne, a drugi zwała się z konia, jeżeli grzywy się nie przytrzyma. Otóż tedy nie pojmuję, jak w tak żwawej przygodzie umierający znaleźć czas może na polecenie się Bogu. Nie lepiejże by było od razu obrócić się do Boga, zamiast do damy swojej, dopełniłby przynajmniej chrześcijańskiego obowiązku, a zawiniłby tylko przeciw kochance, to znów nie tak wielka bieda, bo niezawodnie niejeden rycerz błędny nie ma nawet kochanki, wszyscy przecież jak najęci zakochani być nie mogą.

– To być w żaden sposób nie może – rzekł Don Kichot – nie ma rycerza bez kochanki, jak nie ma nieba bez gwiazd. To główny warunek jego istoty, bez tego żyć by nie mógł; historia nigdy nie wspomina o niczym podobnym, więc panu powiem i oświadczam to solennie, że gdyby

przypadkiem znalazł się rycerz bez miłości w sercu, to niezawodnie nie jest on rycerzem prawym, ale bękartem, co się wdarł do zakonu naszego piecem, nie drzwiami, jak złodziej jaki lub rozbójnik.

– O ile sobie przypominam jednakże – rzekł Vivaldo – to Don Galaor, brat dzielnego Amadisa, nie miał nigdy kochanki stałej, której imienia mógłby wzywać w bojach, a mimo to był bardzo waleczny i szanowany.

– Jedna jaskółka nie robi wiosny – odpowiedział Don Kichot – a przy tym, wiem ja z dobrego źródła, że Don Galaor kochał się zapamiętale, ale w tajemnicy, a jeżeli zalecał się do wszystkich, co mu się podobały, to już tak z naturalnego pociągu, którego nie był panem, ale zawsze bez ubliżenia tej, o której wiadomo jest niezawodnie, iż była jedyną panią jego woli i której zawsze się polecał przed bojem, ale tajemnie, bo był bardzo skryty.

– Na to już ani słowa – rzekł Vivaldo – ale kiedy konieczną jest rzeczą dla każdego rycerza, aby miał kochankę, to rzecz bardzo naturalna, że waszmość, który jesteś tak przykładnym rycerzem, musisz być z obowiązku zakochany, jeżeli przeto uporna skrytość Galaora nie jest twoim udziałem, to błagam cię imieniem całego towarzystwa, opisz nam, kto jest i jak wygląda twoja kochanka. Zaszczytne to rzecz dla niej, że świat cały wiedzieć będzie, iż rycerz tak znamienity za bóstwo ją obrał sobie.

– Nie wiem ja – rzekł Don Kichot – czy ta najdroższa tyranka moja uzna za złe lub dobre, aby świat wiedział, że jestem jej niewolnikiem, ale to wiem dobrze (by uprzejmemu żądaniu waszemu zadość uczynić), że się nazywa Dulcynea, że ojczyzną jej jest Toboso i że, co najmniej, jest księżniczką, bo jest władczynią myśli i serca mego. Z piękności to cud prawdziwy, w którym co do słowa sprawdzają się wszystkie sny i uniesienia poetów, kochanki swe sławiących. Jej włosy – to najczystsze złoto, jej lica – to drobny obraz Pól Elizejskich, jej brwi – to tęcze niebiańskie, a oczy jej prawdziwe słońca, na jagodach<sup>54</sup> wykwitają róże, usta z koralu, zęby z pereł, szyja z alabastru, piersi z marmuru, a ręce ze słoniowej kości, białość śniegu przed jej białością niknie, jak księżyc przed słońcem. Słowem, to, co oczy widzą, łatwo sądzić daje, że to, czego nie widzą, jest bez ceny i porównania.

– Teraz nam już tylko idzie – rzecze Vivaldo – o poznanie jej rodu i genealogii.

– Nie pochodzi ona – odparł Don Kichot – od starożytnych Kurcuszów, Kajusów lub Scypionów rzymskich, nie pochodzi także od Kolonnów, ani Ursynów nowożytnych, nie pochodzi od Mondaków, ani Rekuezenów katalońskich, ani od Rebollasów lub Willanowasów walenckich, nie liczy w antenatach Palafoksów, Nuzasów, Rokabertysów, Kovellasów, Lunasów, Alagonów, Usveów, Focesów, ani Gurreasów aragońskich, ani też Cerdasów, Mauryknesów, Mendozów lub Guzmanów kastylijskich, w rodzie jej nie ma Alenkastrów, Pallasów, ani Menesów portugalskich. Ród jej idzie wprost z Toboso w Manchy, nie jest to ród starożytny, ale stać się może źródłem i szczepem rodzin najznakomitszych w przyszłych wiekach. A na to niechaj mi nikt nie waży się dawać wątpliwej odpowiedzi, jeżeli nie chce narazić się na groźbę, którą Zerbin wypisał pod trofeami zbroi Rolanda:

Kto tknąć jej będzie dość zuchwały,  
Pozna Rolanda gniew zapamiętały.

– Chociaż rodzina moja – rzekł podróżny – pochodzi z Kaszopinów Loredańskich, nie śmiałybym jednak równać jej nigdy z rodziną z Toboso w Manchy, ale, prawdę powiedziawszy, nazwisko to i tytuł nigdy jeszcze uszu moich nie doszły.

– A to rzecz niesłychana – rzekł Don Kichot – dziwi mnie to mocno.

Wszyscy obecni przysłuchiwali się pilnie tej rozmowie i sami pasterze łatwo to poznali, że rycerzowi naszemu wyraźnie klepki w głowie nie dostaje. Jeden tylko Sancho Pansa wierzył ślepo wszystkiemu, co pan jego mówił, bo znał go od dzieciństwa i wiedział, co to za człowiek niepospolity.

<sup>54</sup> jagody (daw.) – policzki. [przypis edytorski]

Co do Dulcynei jednakże miał niejaką wątpliwość, bo będąc z okolic Toboso, znał tam wszystkich doskonale i nigdy o żadnej podobnej księżniczce w całej Manchy nie słyszał.

Jadąc tak ciągle i rozmawiając, spostrzegli niezadługo w wąwozie między dwiema górami, przez który droga im wypadła, kilkunastu pasterzy, w czarne skóry przybranych, z wieńcami cyprysowymi i lipowymi na głowach. Sześciu ich niosło trumnę, pokrytą kwiatami i zielenią. Jeden z pasterzy, spostrzegłszy to, rzekł:

– A to niosą ciało Chryzostoma, które tu pod tą górą ma być pochowane.

Wszyscy więc kroku przyspieszyli i przybyli na miejsce w chwili właśnie, kiedy pasterze trumnę z bark na ziemię zestawiali, a czterech ludzi brało się już do wykopania grobu pod skałą. Powitali się wzajemnie, grzecznych słów kilka zamieniwszy. Don Kichot z resztą towarzystwa zaczął się przyglądać trumnie. Leżał w niej młodzian około lat trzydziestu, w ubraniu pasterskim, cały kwiatami pokryty. Na śmiertelnej jego twarzy znać było piękność i szlachetność niepospolitą. Obok niego leżało w trumnie mnóstwo papierów i zeszytów zapisanych. Wszyscy obecni tam, tak widzowie, jako i pracujący, ponure zachowywali milczenie; po chwili dopiero jeden z tych, co trumnę przynieśli, odezwał się do drugiego:

– Obacz tylko dobrze, Ambroży, czy to tu Chryzostom chciał być pochowany.

– Tu, tu – odpowiedział Ambroży – w tym to miejscu nieszczęśliwy mój przyjaciel opowiadał mi stokrotnie smutną historię serca swojego. Tu to po raz pierwszy ujrzał tę nieubłaganą nieprzyjaciółkę rodu męskiego, tu po raz pierwszy wyznał jej szlachetną i gwałtowną miłość swoją, tu niemiłosierna Marcella do ostatniej rozpacz doprowadziła go nieprzepartą wzdrgadą i kres smutnemu życiu położyła; tu nareszcie żądał, żeby go pochowano na wieczną tyłu cierpień pamiątkę.

Ambroży, zwracając się do Don Kichota i innych, tak przemówił:

– Śmiertelne szczątki te, panowie, na które ze współczuciem patrzycie, niedawno jeszcze mieściły w sobie duszę uposażoną z nieba najhojniejszymi darami. Widzicie tu ciało Chryzostoma, człowieka umysłu wielkiego, zacności niezrównanej, uczuć pięknych i wzniosłych. O przyjaciela takiego niełatwo. Wspaniały i hojny bez próżności, mądry i poważny bez dumy, skromny bez przesady, uprzejmy i miły bez unizienia, był to, jednym słowem, młodzian pierwszy we wszystkim, co szlachetne i dobre. Nie miał też sobie równego w nieszczęściu: kochał szalenie, a był nienawidzony, ubóstwiał, a był wzgardzony, poświęcił się bez granic hołdom tyranki, której nic zmiękczyć nie zdołało, płakał, jęczał przed głuchym i nieczułym marmurem, a żale jego nikły w powietrzu, westchnienia wiatr roznosił i igrał z jego boleścią; rozmiłował się nawet w tej twardej niewdzięczności, a w nagrodę padł pod ciosem śmierci w najpiękniejszej porze życia, który mu zadało okrucieństwo pasterki, wierszami jego na wieczne czasy unieśmiertelnionej. Papiery, które tu widzicie, najlepsze mogłyby dać świadectwo prawdy słów moich, ale mi polecił na łożu śmierci rzucić je w płomień, kiedy ciało ziemi powierzać będę.

– Byłbyś jeszcze okrutniejszym, niż on sam był dla siebie – rzekł Vivaldo – gdybyś to uczynił; nie godzi się wykonywać ściśle poleceń z rozumem niezgodnych, ileż to przecudnych rzeczy na zawsze by zginęło, gdyby wykonywano skrupulatnie ostatnią wolę takich nieboszczyków! Obowiązkiem przeto jest twoim, mości Ambroży, ostatnią tę oddać przyjacielowi posługę i ocalić od niepamięci dzieła jego, które w gniewie i rozżaleniu zniszczyć ci polecił. Zachowaj te papiery, świadczące o cnocie twego przyjaciela i niewdzięczności Marcelli, chociażby dlatego, żeby służyły za przestrożę innym i tak rzewnym przykładem uchroniły ich od podobnej zguby. My tu obecni znamy dzieje miłości i rozpacz Chryzostoma i przyczynę jego śmierci; znamy przyjaźń, jaka was łączyła, i polecenia, jakie ci dał na łożu śmierci; z tego wszystkiego sądzić możemy, jak wielkim było okrucieństwo Marcelli i miłość pasterza, jawnie przekonywamy się, jaki koniec czeka tych, co ślepo ufają próżnym nadziejom zawodnej miłości. Wczorajszego wieczora dowiedzieliśmy się o śmierci Chryzostoma i że tu ma być pochowany; nie ciekawość, lecz serdeczne współczucie kazało nam wstrzymać się w podróży, żeby mu ostatnią oddać posługę i dać dowód, iż ludzie uczciwi zawsze boleć umieją nad nieszczęściem bliźnich. Upraszam was przeto, szlachetny Ambroży, nie zostawcie

dobrych chęci naszych bez nagrody, przychylcie się do prośby, którą w całym gronie do was zanosimy, i nie palcie papierów po nim pozostałych.

Rzekłszy to, a nie czekając odpowiedzi pasterza, Vivaldo zbliżył się do trumny i wziął w rękę kilka zwitków.

– Niechże i tak będzie – rzekł Ambroży – zostawiam wam, coście wzięli, ale względem reszty, darujcie mi, dopełnić muszę woli przyjaciela; to była własność jego, mógł nią rozporządzać, jak mu się podobało.

Vivaldo, niecierpliwym dowiedzieć się, co zawiera zwitek, który pochwycił, otworzył go natychmiast i przeczytał tytuł głośno. Napis tam był: *Rozpacz kochanka*.

– To ostatni utwór Chryzostoma – rzekł Ambroży. – Żeby się wszyscy tu obecni przekonać mogli, do czego doprowadziło go nieszczęście, proszę was, przeczytajcie głośno te wiersze, nim grabarze grób wykopią.

– Z całego serca – odrzekł Vivaldo. Otoczyli go kołem, a on im czytał, co następuje:

## Rozdział VI

Wiersze rozpaczliwe pasterza Chryzostoma i inne niespodziewane zdarzenia.

### Rozpacz kochanka

Okrutna! chcesz, bym głosił wyrazem goryczy,  
Cierpienia, których źródło w twojej niewdzięczności;  
Chcąc wylać tę truciznę, chyba mi użyczy  
Na chwilę furia piekieł całej swej wściekłości.

Dobrze... rozpacz i boleść, sił ostatek zbiera  
Do czczej pociechy żalów, a więc je ogłoszę.  
Jad długo ukrywany ciągle pierś rozdziera,  
Jedna śmierć... a tysiąca zgonów męki znoszę!

Słuchaj więc głosu, który błagał cię daremnie,  
Co, budząc gniew i zgrozę na przestworzu kona;  
Pragnę, chcąc cię nasycić, znieważyc wzajemnie,  
Razem z żalem wyrzucić krew i serce z łona!

Wy! posłańcy nieszczęścia, złowróżbne puszczyki,  
Których jęk wzbudza drżenie przed niechybnym ciosem,  
Drapieżne sępy, głoście mój żal swymi krzyki,  
Sowy, kruki, połączcie swój głos z moim głosem!

Wyjdź z twych kryjówek rodzie potworów zażarty,  
Zmieszaj z moimi łzami ryk straszny, złowrogi:  
Lwy, tygrysy, hieny, niedźwiedzie, lamparty,  
Pomóżcie mi wyrazić ból rozpaczy srogiej!

Niechaj was na chwil kilka mym żalem zwyciężę,  
Bądźcie dla mnie czułymi, dodajcie mi siły,  
Użycie mi syczenia padalce i węże,  
Jadu, co jedną kroplą wtrąca do mogiły.

Nie odmawiaj mi, burzo, wściekłych wichrów wycia,  
Nie odmawiajcie, morza, huku fal spienionych,  
Chmury! błyskawic, grzmotów i piorunów bicia —  
Piekło! w wnętrznościach ziemi twych wstrząśnień szalonych!

Niech jęk całej natury z moim połączony,  
Utworzy głos rozpaczy, zdolny wstrząsnąć głazem,  
Niech on cierpień mej duszy wzgardą udręczonej,  
I czarnej niewdzięczności stanie się obrazem.

Rozdzierające skargi z mych piersi zbolałych  
Przenikną i poruszą najtwardsze opoki,  
A ostatnie wyrazy ust złodowaciałych  
Wieczne echo ożywi wśród jaskiń pomroki.

Nigdy się nie odbiły o Tagu wybrzeża,  
Wznosząc lament pod niebo, żałobniejsze tony;  
Nigdy nie był straszniejszym ryk dzikiego zwierza,  
Co padł, ostrym żelazem myśliwca zraniony.

Tam, gdzie Nil szumne wały<sup>55</sup> roztacza wspaniale,  
W najodleglejsze miejsca, przepaście, pieczary,  
I w głąb najdzikszych lasów, doleczą me żale,  
Ogłaszając niewdzięczność niepodobną wiary.

Dzikie ludy, choć żyją wśród grubej ciemnoty,  
Zrozumią<sup>56</sup> jednak boleść, co me wiersze splata,  
Los mój nadto jest srogi, zbyt wielkie zgryzoty,  
Aby nie miały, dobiec aż na kraniec świata.

Obojętne spojrzenie sercu cios zadaje,  
Jedno czcze podejrzenie krwawą czyni bliznę,  
A ta najstalszy umysł rozpaczy poddaje,  
Zmieniając się w zazdrości śmiertelną truciznę.

Nieobecność jej – grobem twojej spokojności,  
Obawa wzgardy serce niepewne udrećza,  
Na próżno los twój sławią, że godzien zazdrości,  
W walce duszy nadziei nie błysnie ci tęcza!

Każde z tych nieszczęść samo zabija... a przecie  
Moc nieznaną mą duszę z ciałem spaja dzielnie,  
Drećzony podejrzeniem, muszę żyć na świecie,  
Z dała od niej, wzgardzony, zazdrosny śmiertelnie.

Nigdy promyk nadziei wśród cierpień tysiąca  
Jak najłżejszą pociechą nie wsparł biednej duszy  
Nawet mój umysł sam już tę ulgę odtrąca,  
Przystaje na istnienie wśród łez i katuszy!

Jakimż losem by spoić nadzieję z obawą,  
Gdy ich przedmiot i twardy, i zimny jak skała?  
Ach! gdy w nas podejrzenie zazdrość zbudzi krwawą,  
Nie lepiej by śmierć pasmo udrećceń przerwała?

Wreszcie, któż by nadzieją łudził się daremną,

---

<sup>55</sup> *wał* (daw.) – fala. [przypis edytorski]

<sup>56</sup> *zrozumią* – dziś popr.: rozumieją. [przypis edytorski]

Będąc celem szyderstwa, nieczułości, wzdardy,  
Mając w fałszu stałości nagrodę nikczemną,  
Nie mogąc łzami wzruszyć duszy jak stal twardej?

O! najtkliwszej miłości ciemieżco nieczuły,  
Ty, co się zwiesz zazdrością, uzbrój moje ramię,  
Przetnę męki, co nędzne życie mi zatrwały,  
Niech uwierzy niewdzięczna, że cierpień nie kłamię!

Więc umrę! choć nieszczęścia nie skończą się w grobie,  
Kto żył wśród mąk, czyż piekło może mieć na względzie?  
Przeznaczenie! ulegam bez szemrania tobie,  
Tam, jak tu, los jednaki mym udziałem będzie!

Ale uwieńczmy miłość, zakończając życie,  
Przypiszmy zgon, potrzebie sercu pożądanej...  
Powiedzmy, że ten staje na rozkoszy szczycie,  
Kto śmiercią zerwać może ciężące kajdany.

Nie obwiniajmy losu o dolę straszliwą.  
Nie obwiniajmy Irys o okrutne męki,  
Powiedzmy, że jej wzdarda zbyt jest sprawiedliwą,  
Nieśmy cześć jej zaletom, wychwalajmy wdzięki.

Tak wspaniale przyjąwszy niewdzięczność okrutną  
I ostatnim mą boleść tłumiąc wysileniem,  
Miłości wypłaciłem daninę ci smutną,  
Wnet żelazo rozłączy mnie z cierpień brzemieniem.

O ty! coś moje życie oddała boleści,  
O ty! coś mnie przywiodła do tej konieczności,  
Niech się twój wzrok widokiem mojej krwi napięści,  
Pójdź! niech wydam ostatni jęk w twojej obecności!

O! jakżebym z twej dłoni cios odebrał chętnie,  
Ale uderz bez drżenia, prędzej umrę może,  
Uderz! potem na zgon mój patrzaj obojętnie,  
Bo dziś twojej litości najwięcej się trwożę!

Naigrawaj się z nieszczęść, wyszydź męczarnie,  
Niech się na łzy kłamane twe oko nie sili,  
Bo może żal prawdziwy srogość twą ogarnie,  
Gdy jej brak do tryumfu jednej tylko chwili...

Przybądźcie, bo czas właśnie, wyjdźcie z pieczar głębi,  
Tantalu, wiecznym żarem pragnienia dręczony,  
Syzyfie nieszczęśliwy, ty, którego gnębi  
Ból męczarni, dla ciebie tylko wymyślonej.

Prometeuszu, co swym ciałem, cierpiąc srodze,  
Karmisz sępa, nie mogąc nasycić go przecie,  
Iksionie, zamęczony na rozstajnej drodze,  
Czarne prządki dni życia, które przeciąć chcecie.

Spieszcie pełne wściekłości obrzydłe potwory,  
Bądźcie świadkiem konania i zaraz po zgonie  
Czyńcie mego pogrzebu żalosne honory,  
Jeśli tych nie niweczą samobójcze dłonie.

Niechaj przybędzie z wami Cerber niezblągany,  
Przyzywam całe piekło do krwawej radości,  
Błyskawice, pioruny, grzmoty, huragany,  
Niech wiodą męczennika okrutnej miłości!

Te wiersze wydały się dosyć dobre słuchającym, gdy tymczasem Vivaldo uważał, że podejrzenia i zazdrość, na które się Chryzostom użalał, nie zgadzały się z tym, co powszechnie mówiono o cnocie Marcelli; aby go wywieść z wątpliwości, Ambroży, który znał najskrytsze myśli swego przyjaciela, rzekł:

– Trzeba panu wiedzieć, że kiedy nieszczęśliwy Chryzostom komponował te wiersze, był daleko od Marcelli i że oddalił się umyślnie, aby doświadczyć, czy nieobecność uczyni na nim zwyczajne wrażenie, a ponieważ wszystko udęcza kochanka oddalonego od przedmiotu swojej miłości, ponieważ nie ma podejrzeń, którymi by nie prześladował sam siebie, Chryzostom tworzył sobie tysiące powodów zazdrości, które trapiły go nie mniej, jak gdyby były rzeczywiste; a zatem, cokolwiek napisał, będąc w takim stanie, jego skargi i wyrzuty nie mogą kazić cnoty Marcelli, która taka jest święta, że pominawszy surowość i dumę, dochodzącą aż do pychy, nawet zazdrość nie umiałaby jej najmniejszego uczynić zarzutu.

Słuszna uwaga Ambrożego zadowoliła Vivalda i kiedy wziął drugi papier, ażeby go odczytać, został wstrzymany przez zjawisko, bo tak nazywać można zadziwiający przedmiot, który niespodziewanie przedstawił się ich oczom. Marcella we własnej osobie ukazała się na wierchołku skały, u stóp której kopano grób, ale taką promieniejącą pięknnością, że zdawała się przewyższać oddawane jej wdziękom pochwały. Ci, którzy jej nigdy nie widzieli, spoglądali na nią z uwielbieniem, nawet i ci, co byli oswojeni z jej widokiem, nie mniej zostali zdziwieni jak pierwsi. Lecz Ambroży, zaledwie ją spostrzegł, odezwał się z pewnym rodzajem oburzenia:

– Czego tu szukasz, najniebezpieczniejszy tych gór potworze okrucieństwa? straszny bazyliisku, którego samo spojrzenie zatrzuwa? przychodiszże zobaczyć, czy rany nieszczęśliwego, którego twoje okrucieństwo wtrąca do grobu, otworzą się w twej obecności? albo urągać jego nieszczęściom i chełpić się z przerażających skutków swojej niewdzięczności? Mów, niech wiemy przynajmniej, co cię tu sprowadza lub czego od nas żadasz, bo, jeżeli masz co do życzenia, ja tak dobrze wiedziałem, do jakiego stopnia Chryzostom był poświęcony tobie za życia że gotów jestem uczynić wszystko, co by był dla ciebie uczynił mój zmarły przyjaciel.

– Wcale nie to sprowadza mnie tu – odpowiedziała pasterka. – Przychodzę bronić się i wyjaśnić niesprawiedliwość tych, co oskarżają mnie o swoje cierpienia, i tych, którzy mnie obwiniają o śmierć Chryzostoma. Proszę więc wszystkich tu obecnych o chwilę uwagi; nie potrzebuję długich rozpraw do wykazania swojej niewinności.

Mówicie, że niebo złało na mnie tyle piękności, iż niepodobna widzieć mnie a nie kochać i chcecie, abym kochała was dlatego, że mnie otaczacie miłością! Pojmuję przez rozsądek, którym mnie Bóg obdarzył, że wszystko, co piękne, godne jest kochania, ale nie pojmuję wcale, jeżeli kochają to, co jest piękne, aby i ono obowiązane było kochać wzajemnie, tym mniej, jeżeli kochający jest

brzydkim i nienawiści godnym; nawet, jeżeli piękność z obu stron jest równa, nie idzie za tym, aby i skłonności jednakowe były, ponieważ najcudniejsze wdzięki nie nogą natchnąć prawdziwą miłością i częstokroć to co się podoba oczom, nie czyni najmniejszego wrażenia na sercu. W istocie, gdyby wcale nie było piękności, niezmuszającej serc do poddania się, cóż by widziano na świecie, jeżeli nie dziwny nieład tułających się życzeń, które by nieustannie błędziły od jednego do drugiego przedmiotu, nie mając się do czego przywiązać. Jeżeli to prawda, co mówią, że miłość jest wolna i bez przymusu, nie jestże niesprawiedliwością żądać, abym kochała, kiedy nie czuję żadnej skłonności? i pytam raz jeszcze, czy wyznanie, że jestem kochana, dostatecznym jest powodem do zobowiązania mnie, abym kochała nawzajem? Potem, jeżeli jestem cokolwiek piękna, czyliż nie z najczystszej łaski niebios otrzymałam ten dar, nie będąc bynajmniej dłużna go ludziom? jeżeli ta piękność pociąga złe skutki za sobą, czyliż winniejsza jestem od węża, którego natura obdarzyła jadem, albo od ognia, szkodzącego tym tylko, którzy zanadto zbliżają się do niego? Wreszcie jestem wolna i właśnie dlatego, aby żyć w swobodzie, obrałam te ustronia, gdzie cieszę się, dzieląc moje myśli i moją piękność z drzewami i strumykami; nawet uwiadomiłam wszystkich, którzy mnie kochają, o usposobieniu mojego serca, a jeżeli jeszcze żywią w sobie jakieś życzenia i płonne nadzieje, czyliż nie wypada przyznać, że ich zabija własny upór, nie zaś moje okrucieństwo? Czyż więc mniemają sprawiedliwe czynić mi wyrzuty, mówiąc, że uczucia Chryzostoma były czyste i że ja tylko nie zadałam sobie przymusu, aby im odpowiedzieć? Czyliż, skoro mi je wyjawiał, nie powiedziałam mu, tu, w tym samym miejscu, że zamiarem moim jest pozostać niezależną od nikogo, że postanowiłam oddać naturze wszystko, com od niej otrzymała? Jeżeli po szczerym wyznaniu puścił się jako żeglarz bez nadziei, wypadają dziwić się rozbiciu? jestże tu słuszność mnie obwiniać? Jeżeli kogo zwiodła, niech się uskarża na mnie, pozwalam; jeżeli znajdzie się ktoś, co rozpacza, żem go zdradziła, niech mnie obarczą wyrzutami i zniewagą, ale niech mnie nie zowią zwodzicielką, ani okrutnicą, kiedy najmniejszym przyrzeczeniem nie zadłużyłam się nikomu. Dotychczas, dzięki niebu, przeznaczenie nie chciało, ażebym pokochała, a jeżeli sądzą, że to jest skutkiem namysłu w wyborze, próżno oczekiwać go będą. Niechże to oznajmienie raz na zawsze służy tym wszystkim, którzy mają względem mnie jakiegokolwiek zamiary, a jeżeli zechcą naśladować Chryzostoma, niechże nie przypisują swego szaleństwa ani słusznej zazdrości, ani mojemu okrucieństwu. Wreszcie ten co mnie nazywa potworem, bazyliszkiem, niech ucieka ode mnie choćby na koniec świata, a ci, którzy mówią, żem niewdzięczna, niech mi przestaną służyć, oświadczam, że nie myślę zadawać sobie trudu, aby im to przypominać.

Niech więc nikt nie nabija sobie głowy zakłóceniem mojej ciszy i żądaniem, aby na ślepy traf rzuciła między ludzi spokojność, którą się cieszę, a której przekonana jestem, że bym nie znalazła. Nie potrzebuję nic, oprócz towarzystwa pasterek tych gajów z którymi rozmowa oraz starania o mojej trzodzie zajmują mnie dosyć przyjemnie, abym miała dręczyć się cudzymi nieszczęściami i ściągać je na siebie. Jednym słowem, moje zamiary nie przechodzą granic tych gór, a jeżeli myśl pobiegnie dalej, to tylko po to, aby uwielbiać piękność nieba, jako też przypominać sobie, że stamtąd przyszłam na świat i tam powinnam wrócić.

To powiedziawszy, pasterka, nie czekając żadnej odpowiedzi, pobiegła w góry najspadzistszą ścieżką i znikła z oczu słuchaczy, zostawiając ich pod wpływem najwyższego uwielbienia jej dowcipu<sup>57</sup>, rozsądku i piękności.

Kilku z jej kochanków, zapominając oświadczenia, jakie przed chwilą uczyniła, miało chęć pobiec za nią i kiedy się wybierali, Don Kichot, który odgadł ich zamiar, ujrawszy tak piękną sposobność wykonywania obowiązków błędnego rycerza, przyłożył dłoń do rękojeści miecza i, aby go wszyscy usłyszeli, począł wrzeszczeć na całe gardło:

– Niech nikt, ktokolwiek by on był, nie waży się zuchwale biec za piękną Marcellą pod karą strasznego mojego gniewu! Ona dowiodła jasno i stanowczo, że nie jest winna śmierci Chryzostoma

<sup>57</sup> *dowcip* (daw.) – inteligencja, rozum. [przypis edytorski]

i oznajmiła, jak daleka jest od okazania najmniejszej przychylności zamiarom nierozsądnych kochanków! Przestańcie więc prześladować ją, niech raczej będzie szanowana i czczona przez wszystkich cnotliwych ludzi, bo może ona jedna tylko na świecie żyje w tak czystych chęciach.

Czy to z powodu grózb Don Kichota, czy też ulegając Ambrożemu, który prosił pasterzy o dokończenie ostatniej przysługi swemu przyjacielowi, nikt nie odszedł, dopóki nie spalono rękopisów Chryzostoma i nie złożono w grobie jego zwłok, co nie obeszło się bez płaczu obecnych. Potem przywalono grób ogromnym kamieniem, ale to tylko tymczasowo, gdyż Ambroży oświadczył, że każe wyrzeźbić grobowiec z marmuru i wyryć na nim następujące wiersze:

Tu wiecznym snem uspione, pod zimnym kamieniem,  
Leżą zwłoki kochanka, co umarł z miłości.  
Niegodziwa pasterka w srogiej niewdzięczności,  
Spłaciła przywiązanie okrutnym cierpieniem.

W tym miejscu jego nieszczęść źródło mu wytrysło,  
Tu zaczął kochać, tutaj wdziękami ujęty,  
Wyznał swą miłość, tutaj został odepchnięty,  
I tu pożegnał słońce, co mu życiem błysło!

Przechodniu! mijaj te miejsca z daleka,  
To ci biednego doświadczenie radzi,  
Bo gdy ujrzysz pasterkę, ten sam los cię czeka,  
Strzeż się, przechodniu! uchodź, niech cię Bóg prowadzi!

Natychmiast grób pokryto gałęziami i kwiatami, a pasterze, przyjąwszy udział w boleści Ambrożego po stracie tak dobrego przyjaciela, pożegnali go i rozeszli się. Vivaldo i jego towarzysz także pożegnali Ambrożego. Don Kichot, który nigdy się nie zapominał, oświadczył mu swoje pożegnanie w szumnych frazesach, zupełnie tchnących jego rzemiosłem, a podziękowawszy gospodarzom za gościnność, rozstał się z nimi. Vivaldo prosił go usilnie, aby im towarzyszył do Sewilli, zapewniając, że nie ma na świecie miejsca płodniejszego w przygody, że tam wypadki wyrastają jak spod ziemi, na każdym zakręcie ulicy, ale on podziękował im za zaproszenie i powiedział, że nie może, nawet nie powinien jechać do Sewilli, nie wytępiwszy pierwej mnóstwa rozbójników, ukrywających się między tymi górami. Podróżni, dowiedziawszy się o tym pięknym postanowieniu, nie chcieli go odwozić od niego i udali się w dalszą drogę, a Don Kichot zamyślił doścignąć piękną Marcellę i ofiarować jej swoje rycerskie usługi. Ale rzeczy wzięły obrót wcale niestosowny do jego życzeń, jak to zobaczymy w trzeciej części niniejszej historii.

## Księga trzecia

### Rozdział I

O smutnej przygodzie, jaką miał Don Kichot z Yanguasami.

Uczony Cyd Hamed Benengeli opowiada, że Don Kichot z pasterzami i całym gronem pogrzebowi Chryzostoma asystującym wyruszył razem z giermkim ku lasowi, do którego wchodzącą widział Marcelłę. Naszukawszy jej się próżno przeszło dwie godziny stanęli na pięknej polance, świeżą trawą zarosłej i strumykiem ożywionej. Wabiło ich to piękne miejsce, a że południowe słońce mocno dopiekało, zsiadli z siodła i, puściwszy Rosynanta z osłem na paszę, rozwiązali sakwy i bez ceremonii jęli się pożywiać, czym Bóg dał. Sanchowi ani do głowy nie przyszło pętać Rosynanta, bo znał go jako stworzenie spokojne i skromne. Ale los, czy szatan, co nigdy nie śpi, zrządził na nieszczęście, iż na tej samej polance pałała się gromada kłaczy galicyjskich, należących do wędrownych Yanguasów, którzy w skwarne dnia godziny zatrzymują się zwykle w miejscach, gdzie znajdują wody i trawy pod dostatkiem. Rosynant, jak powiadam, było to sobie poczciwość stworzenie, ale jak każde stworzenie, i on też miał kości i ciało. Ledwie zwąchał się z towarzyszkami rodu swojego, aliści wbrew zwykłej i przyrodzonej sobie skromności, przysłała mu ochota pójść do nich zabawić się i, nie pytając o pozwolenie pana, pobiegł sobie truchcikiem rozmówić się z nimi. Zmęczone galicjanki, więcej widać jeść pragnąc niż igrać, nie nader uprzejmie przyjęły zalecanki gacha<sup>58</sup> i tak go sownie utraktowały nogami i zębami, iż w mgnieniu oka pozbawiły go uzdeczki i siodła, a samego potężnie poturbowały. Na domiar nieszczęścia, wędrowni mulnicy, spostrzegłszy konkury Rosynanta, wypadli na niego z ogromnymi pałkami i tak go po grzbiecie wysmarowali, że padł na ziemię prawie nieżywy i, leżąc, miał czas nieborak rozmyślać głęboko nad smutnymi następstwami zbytnej krewkości. Don Kichot i Sancho, spostrzegłszy, co się dzieje z Rosynantem, przybiegli mu co żywo na pomoc. Zdyszany Don Kichot, stanąwszy na miejscu, rzecze w uniesieniu do Sancha:

– Jak widzę, przyjacielu, ci podli ludzie to nie są rycerze, ale nikczemne ciury i chamy; możesz przeto pójść mi w pomoc na pomszczenie krzywdy rumakowi memu wyrządzonej.

– Diabła to będzie pomsta – na to mu Sancho – ich dwudziestu, a nas dwóch, a nawet nie wiem, czy nie półtora czasem.

– Ja za stu ważę – wrzasnął Don Kichot i, nie czekając, dobywa oręża i rzuca się wściekle na mulników.

Sancho, zagrzany przykładem pana, wyciąga także na jaw pałasinę i wciska się między nieprzyjaciół. Don Kichot za pierwszym zamachem rąbnął tak potężnie któregoś z brzegu, że rozplątał mu kolet<sup>59</sup> skórzany i odciął kawał ramienia; miał już rzucić się na drugiego, kiedy mulnicy, zawstyżeni, że dwóch ludzi śmie ich tak turbować, chwycili za oszczepy i, wzięwszy między siebie dzielnego rycerza razem z poczciwym giermkim, jęli młócić po nich pałkami jak najęci. Do serca przypadła im ta robota, niebawem też rzecz zakończyli; za drugim z kolei omłotem Sancho padł na ziemię jak długi. Na nic się nie zdały Don Kichota zręczność i męstwo i jemu się nie lepiej powiodło, biedny rycerzyna padł pod ciosami przy nogach Rosynanta, który dotąd jeszcze podnieść się nie mógł. Mulnicy, nie mając już co robić, a bojąc się nawet, czy nie za wiele zrobili, zabrali się prędko i ruszyli w dalszą drogę.

---

<sup>58</sup> *gach* (daw.) – kochanek. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *kolet* (z fr. *collet*: kołnierz) – rodzaj skórzanego wojskowego ubioru z kołnierzem, wkładanego pod zbroję. [przypis edytorski]

Z dwóch naszych awanturników Sancho Pansa po tej burzy pierwszy przyszedł do siebie i, zaczłgawszy się do pana, odezwał się słabym i płaczącym głosem:

– Dostojny Don Kichocie! Ach, najdostojniejszy Don Kichocie!

– Czego chcesz, przyjacielu Sancho? – odpowiedział rycerz tak samo płacząco.

– Co ja chcę? nic nie chcę, tylko błagam was! – rzekł Sancho – czybyście nie mogli mi dać chociaż ze dwa łyki onego cudnego kordiału Fierabrasowego, jeżeli go macie przypadkiem przy sobie? Może on taki skuteczny i na zgruchotanie kości, jak na inne rany.

– Ach! mój przyjacielu – odpowiedział Don Kichot – żebym to ja go miał, to cóżby nam więcej trzeba? Ale przysięgam ci na honor błędnego rycerza, że bylebym tylko rękami mógł ruszać, za dwa dni najdalej zrobić go muszę.

– Za dwa dni! – zawołał Sancho – a kiedyż myślicie będziemy mogli się podnieść?

– Oj! doprawdy, że nie wiem – odrzekł zbity rycerz – bo się na świecie nie czuję; ale dobrze mi tak, sam na to zasłużyłem, po co mi się brać do oręża przeciw ludziom, co nie są pasowani na rycerzy; Pan Bóg mnie skarał za to, że złamałem prawa rycerskie. I dlatego, przyjacielu Sancho, zapowiadam ci teraz raz na zawsze i dla wspólnego dobra naszego, że jeżeli kiedy zdarzy nam się doznać obrazy od takiej gawiedzi, to nie czekaj, żebym ja się brał do oręża, już ja tego nie zrobię; ale sam rzucając się z mieczem na nich, bo to rzecz twoja, i wymierz karę, jaka ci się podoba. Gdyby przypadkiem na pomoc przyszli im rycerze, o, bądź pewien! że cię bronić będę i obronię! znasz siłę tego ramienia; widziałeś nieraz jej dowody.

Sanchowi nie bardzo jakoś do smaku przypadła ta nauka pana.

– Dostojny rycerzu – odpowiedział – ja nie taki zadziorny<sup>60</sup>, jakim się zdaję: Bóg łaskaw, umiem jakoś krzywdy przebaczać, a przy tym mam żonę i dzieci. Bądźcie tedy łaskawi i polegajcie już na tym, że jako słońce na niebie, ja się nigdy pałasza nie innę<sup>61</sup> ani przeciw rycerzowi, ani przeciw chłopu; zarzekam się wam na wszystkie świętości i biorę Boga na świadki, że przebaczam im całkowicie wszystkie krzywdy przeszłe i wszystkie obrazy, jakie mi w przyszłości wyrządzić mogą; krótko zgoła powiedziawszy, daruję, zapominam i przebaczam wszyściusieńko a wszyściusieńko, co mi tylko złego robią, zrobili lub zrobią jacykolwiek ludzie, bogaci, czy ubodzy, wielkiego rodu, czy chudziaki, słowem, wszelkiego stanu i powołania.

– Żeby mi tylko tchu w piersiach nie brakowało – na to Don Kichot – i żeby mi ból mówić pozwalał, pokazałbym ja ci, jakiś ty głupi i jakie brednie pleciesz! Ach, niecny hultaju! a gdyby też fortuna, dotąd nam zawistna, obróciła się ku nam i wzięwszy nas za rękę, zrobiła panami jakich wysp, o których ci gadałem, to powiedz, ciemnego, cóż byś wtedy począł, jakbym ci dał władzę nad którą z tych wysp podbitych? umiałże byś ty dać sobie radę, nie będąc rycerzem i nie troszcząc się o ten honor? Każdy by ci grał na nosie, a ty byś nawet nie czuł w sobie ochoty pomszczenia krzywd i uraz, państwu twemu wyrządzonych. W nowym państwie rządu niełatwe; poddanych trzeba trzymać ostro; bo jak wezmą na kiel, to bieda z tobą. Myśliszże ty, że to nie trzeba na to rozumu i odwagi, żeby się bronić i nacierać, kiedy co chwila może być do tego okazja?

– Oj, dobrze by to było – odparł Sancho – żebym ja miał więcej rozumu, a mniej odwagi w tej przygodzie, co nas tu teraz spotkała; ale w tej chwili, miły paneńku, sumiennie wam powiadam, że plastra i leków mi trzeba, a nie nauki. Ale spróbujcie no, czybyście się nie dźwignęli z ziemi, bo trzeba by nam podnieść Rosynanta, chociaż po prawdzie niegodzien bestia tego; niegodzien, bo on to wszystkiego narobił, za niego to nas tak na pieprz zbili. A ja, dalipan, nigdy bym się po nim tego nie spodziewał; byłbym przysiągł za niego jak za siebie, że taki spokojny i skromny. I komu tu teraz wierzyć? Oj prawda to wielka, że beczkę soli trza zjeść wprzód, nim się kogo dobrze pozna. Tak to, panie, Bóg widzi, nie ma nic pewnego w tym życiu, ale kto by to był u diaska powiedział,

---

<sup>60</sup> *zadziorny* – dziś raczej: *zadziorny*. [przypis edytorski]

<sup>61</sup> *innę się* – forma utworzona od *imać się*: chwytając za coś. [przypis edytorski]

widząc was, jakeście to wtedy poturbowali tego nieszczęśliwego rycerza, że dziś nam przyjdzie takie pałkami dostać smarowidło?

– E! co tam, twoje plecy zwyczajne takiego smarowidła – rzekł Don Kichot – ale moje, co nigdy go nie znały, długo go pamiętać będą; i żeby nie myśl i nie to przekonanie, że wszelkie utrapienia muszą być nierozłączne z powołaniem błędnego rycerza, to bym tu już umarł z samej niecierpliwości i zgryzoty.

– Ale, proszę ja pana – odezwie się Sancho – jeżeli to te intraty tak przywiązane do rycerskiego powołania, to powiedzcież mi, czy one często się zdarzają, czy też po jakimś czasie ustają? bo jeżeli jeszcze ze dwa razy dostaną nam się takie obrywki, to widzi mi się, że na trzeci nas nie starczy; chyba, że sam Pan Bóg w tym będzie.

– Powinieneś już wiedzieć, Sancho – rzecze Don Kichot – że rycerze błędni idą ciągle zmiennym losem, każdy z nich, każdej chwili, zostać może wielkim królem lub cesarzem, jak to się często zdarzało. Zaraz bym ci powiedział o kilku takich, co męstwem doszli do tronu – tylko, że mi gadać ciężko od bólu. Ale i nieszczęścia chodzą po nich; tacy sami znowu nieraz wpadają w okropne przygody. Wielki Amadis z Galii, alboż nie był w niewoli u czarnoksiężnika Arkalause, najstraszniejszego z wrogów; alboż nie dostał od niego dwieście oblewanych bizunów na zamkowym podwórzu, sromotnie do ławy przywiązany? niewiadomy jeden a godzien wiary autor, alboż nie zaręcza, że rycerz Słońca, wpadłszy raz w zastawę, co mu się pod nogami w pewnym zamku usunęła, ujrzał się w podziemnym lochu ze skutymi rękoma i nogami, gdzie mu najprzód dano enemę ze śniegu, z której zaraz ledwo nie skonał. Gdyby czarnoksiężnik, przyjaciel jego, nie przyszedł mu w pomoc w tej niedoli, nie wiadomo, co by się z nim stało. Widzisz więc, Sancho, że porównywając się z innymi znamienitymi rycerzami, mojego utrapienia za największe uważać nie mogę. Ale trzeba, żebyś wiedział, że rany, zadane jakim bądź narzędziem przypadkowo pod rękę podpadłym, wcale nie ubliżają ranionemu i honoru jego w niczym nie naruszają. W regulaminie pojedynkowym stoi wyraźnie, że jeżeli szewc obije kogo kopytem, które trzyma w ręku, to chociaż ono jest z drzewa, tak samo jak kij, powiedzieć jednakże nie można, że go obił kijem. Mówię ci to, Sancho, żebyś nie myślał, że dlatego, iżemy pałkami obici zostali przez tych szubrawców, honor nasz ma być w czym bądź poszwankowany; bo dobrze zważywszy, oni nas nie bili kijami, tylko oszczepami, które zawsze jako broń przy sobie noszą; a ani jeden z nich, o ile uważałem, nie miał ani oręża, ani puginału.

– Ja tam tego nic nie uważałem – rzekł Sancho – i czasu nawet nie było, bo ledwie z pochwy wyciągnął to przekłete roznisko, a oni zaraz na mnie hurmem z pałkami, i tak mnie od razu przypieczętowali, że i oczy i nogi jak uciał, służbę wypowiedziały, i przewaliłem się jak długi w tym oto samym miejscu, gdzie, Bogu dziękować, jeszcze żywy leżę; i powiem wam szczerze, że to mnie wcale nie troszczy, czym bili i czy mi ubliżyli, tylko mnie boli tam gdzie mnie obili i tego długo nie zapomnę.

– Z tym wszystkim, mój Sancho – mówił Don Kichot – nie ma na świecie rzeczy, której by czas nie zatarł, ani bólu, z którego by śmierć nie wyleczyła.

– A Bóg zapłać za takie lekarstwo – odpowiedział Sancho – Żeby to chociaż na te nasze bóle teraz kilka plastrów wystarczyło, to by to jeszcze pół biedy! ale gdzież to, nam by trzeba co najmniej z całego szpitala maści zabrać i jeszcze wąpnię, żeby jej nam było dosyć.

– Dajże już tam pokój tej głupiej gadaninie, a lepiej zbierzmy jako siły, żeby się dźwignąć z tej niemocy. Obaczmy, jak się miewa Rosynant. Biedaczysko, i jemu się porządnie dostało.

– Dalipan, on coś nie żartem niedomaga! – rzecze Sancho. – Ba! a dlaczegoż by miał być wolny od tego? Alboż on także nie taki rycerz błędny, jak i drugi, ale mój osioł jaki mądry, uszedł caluteńki i ani jednej izerści nie straciwszy, kiedy my ani jednego zebra całego nie mamy.

– W największych nieszczęściach – wtrącił Don Kichot – los zawsze zostawia jakąś furtkę do wyjścia i teraz ten biedny osioł zastąpi mi szlachetnego Rosynanta i zaniesie do jakiego zamku, gdzie mnie opatrzą i z niemocy wyprowadzą. Nie ma w tym nic honorowi ubliżającego, że

takiego wierzchowca użyję; bo pamiętam czytałem, że stary Sylen, piastun Bachusa, siedział bardzo wygodnie na pięknym osle, kiedy odbywał wjazd do stubramnego grodu.

– Dobrze by to było – rzekł Sancho – gdyby wasza dostojność mógł się tak w siodle prosto trzymać, jak on, ale to wielka różnica, kiedy człowiek siedzi na koniu jak należy, a kiedy go rozciągną na poprzek jak torbę z sieczką; a ja myślę, że wasza dostojność inaczej nie będzie mógł dojechać.

– Wszelkie, chociażby najdotkliwsze walk następstwa, nie ubliżają honorowi – odparł Don Kichot; – powiadam ci to raz na zawsze, mój Panso i nie odzywaj mi się więcej ze swoimi uwagami. Popróbuj tylko wstać i wpakuj mnie na osła jak bądź, byleśmy przed nocą stąd wyruszyli.

– Alboż to wasza dostojność nie mówił niedawno – rzecze Sancho – że rycerze błędni mają zwyczaj spać pod gołym niebem i że to dla nich rzecz bardzo przyjemna.

– Robią tak, kiedy nie mogą inaczej – odparł Don Kichot – albo kiedy są zakochani; jeden rycerz nawet całe dwa lata przepędził na samotnej skale, znosząc cierpliwie mrozy i skwary, a kochanka jego o tym nic nie wiedziała. I Amadis tak samo robił, kiedy go jeszcze zwano Ponurym Rycerzem i kiedy jak pustelnik na skałę się wydalił i siedział tam przez osiem lat, czy miesięcy, już nie pamiętam dobrze. Zresztą to wszystko jedno, dość, że siedział tam długo, pokutując za jakąś przykrość wyrządzoną damie swojej, Orianie. Ależ dajmy już pokój temu wszystkiemu i zabieraj no się do roboty, jakem ci mówił, żeby się znów osłowi co złego nie stało, jak Rosynantowi.

– A to by diabła sprawa była wtenczas – rzekł Sancho.

I westchnąwszy ciężko ze trzydzieści albo czterdzieści razy i ze dwa razy tyle **oj** i **ach** wymówiwszy, a przy tym klnąc na czym świat stoi tych, co go tu przyprowadzili – po długich stękaniach i mozołach dźwignął się nareszcie szanowny giermek na nogi, ale w pół drogi stanął skrzywiony w kabłąk i długo tak stojąc, ani się ruszyć, ani wyprostować nie mógł. W tej bolesnej postawie musiał łapać i kiełznać osła, który korzystając ze swobody dnia tego, poszedł także użyć sobie zabawki. Potem podniósł Rosynanta; z wielką to obydwu przyszło biedą. Sancho jak mysz się spocił, a biedne konisko, gdyby tylko miał język do uzalenia się, to by pewno i panu, i pachółkowi placu w skargach dotrzymał. Nareszcie po wielu a wielu mozołach, stękaniach i wykrzyknikach, Sancho wpakował Don Kichota jak worek na długouchego człapaka, a przywiązawszy mu Rosynanta do ogona, wziął osła za uzdę i ruszył, jak mu się zdawało, ku gościńcowi. Po półgodzinnym przeszło marszu szczęśliwa gwiazda doprowadziła go do jakiejś gospody, którą Don Kichot, mimo najnędrniejszego pozoru oczywiście wziął zaraz za zamek obronny. Sancho upierał się, że to gospoda, Don Kichot, że to zamek; ten swoje, a ten swoje, i tak się zażarcie swarzyli, że nie skończywszy sporu, przyjechali przed wrota, którymi Sancho, nie pytając, wprowadził swoją karawanę.

## Rozdział II

O tym, co się przytrafiło Don Kichotowi w gospodzie, która mu się zamkiem wydała.

Gospodarz nader się zdziwił, ujrzawszy człowieka jadącego na osle, tyłem do uszu zwierzęcia, i zapytał Sancha, co mu dolega. Sancho odpowiedział, że to mała rzecz, małe wstrząśnięcie w całym ciele, spowodowane upadkiem z góry. Żona gospodarza, niewiasta miłosierna, co się rzadko zdarza w tym rzemiośle, zaledwo ujrzała Don Kichota, natychmiast postanowiła przynieść mu ulgę i wzięła do pomocy młodą córkę swoją, dziewczeczkę wcale niczego. Służyła w tej gospodzie także młoda Asturyjka, twarzy nieco za szerokiej, nosa zakłęsłego, trochę zezowata na jedno oko, na drugie prawie ślepa, ale gibka a wysmukła kibić szcudrze wynagradzała brak innych wdzięków. Wzrostu miała trzy stopy, a barki tak jej obciążały ciało, że z trudnością spoglądała do góry. Przyjemna ta służąca, pomogła córce gospodarza do opatrzenia Don Kichota i urządziły mu obydwie wcale nieszczęśliwe łóżko w jakimś kącie, co według wszelkiego prawdopodobieństwa, był dotychczas składem słomy. W tymże samym miejscu, opodal od Don Kichota, mulnik jakiś ustał sobie łoże z der, którymi przykrywał muły i w każdym razie lepiej mu było niż naszemu bohaterowi, którego łoże stanowiły dwie nierówne ławy, na tych trzy czy cztery źle spojone tarcice, a na nich materac twardy jak deska i prześcieradło, które raczej wziąć można było za skórę niż za płótno. Skoro tylko położono Don Kichota w to niegodziwe łoże, gospodyni z córką oblepiły go plastrami od stóp do głów, przy świetle lampy, którą trzymała w nadobnej dłoni Maritornes, tak było na imię przyjemnej Asturyjce. Gospodyni, widząc go w tyłu miejscach poturbowanego, zawołała:

– Przebóg! – toćże to raczej podobne do uderzenia niż do upadku.

– A jednak to nie są razy – rzekł Sancho – tylko skała była bardzo kończata i każda jej spiczastość pozostawiła siniak. Zresztą prosiłbym pani o zachowanie kilku gałganków, dadzą się wkrótce użyć, bo mnie także w krzyżu nieco dolega.

– Więc także spadłeś? – zagadnęła gospodyni.

– Nie spadłem – odrzekł Sancho – ale przestraszony upadkiem pana mojego, poczułem coś tak dziwnego w ciele, że mi się zdaje, jakby mi tysiąc kijów wyspano.

– Nie dziwię się temu – wtrąciła córka – często mi się śni, że spadam z wieży na dół, a nie mogę nigdy upaść na ziemię. Skoro się obudzę, tak znużona i zbita się czuję, jakbym naprawdę spadła.

– Otóż to właśnie – dodał Sancho – to prawie to samo, cała tylko różnica w tym, że mi się nie śniło i że będąc na jawie jak teraz, czuję się poturbowanym nie mniej od pana swojego.

– Jak się nazywa wasz pan? – zagadnęła Maritornes.

– Don Kichot z Manchy – odrzekł Sancho – błędny rycerz, jeden z najdzielniejszych, jakich kiedykolwiek widziano.

– Błędny rycerz! – zapytała Asturyjka. – Co to znaczy?

– Niedawno widać jesteś na świecie – odparł Sancho. – Dowiedz się, kochana siostró, że błędny rycerz jest to rzecz, która zawsze ma nadzieję zostać cesarzem lub też dostać kije; dziś najniebezpieczniejszy z ludzi, obdarza nazajutrz giermka swojego trzema lub czterema królestwami.

– Skądże, będąc giermkiem tak wielkiego pana – wtrąciła gospodyni – nie masz przynajmniej hrabstwa jakiego, bo z miny nie patrzysz na to.

– Nie od razu miasto się buduje – rzekł Sancho – nie ma miesiąca, jak szukamy przygód i jeszcze ich nie znaleźliśmy, chyba takie, co to często szuka się czego innego, a znajduje się co innego. Ale mówiąc prawdę, skoro się jaśnie pan Don Kichot wyleczy z ran swoich, a ja od moich nie zostanę kaleką, nie pomieniałbym nadziei moich za najlepsze hrabstwo w Hiszpanii.

Don Kichot, który uważnie słuchał tej rozmowy, uważał za właściwe wmieszać się do niej; podnosząc się więc, jak mógł najlepiej, ujął wdzięcznie rękę gospodyni i rzekł do niej:

– Wierzaj mi, piękna damo, nie jesteś nieszczęśliwą, że miałaś sposobność przyjąć mnie w zamku swoim. Więcej pani nie powiem, bo nie wypada nigdy chwalić samego siebie, ale wierny mój giermek objaśni ci, kim jestem. Dodam tylko, że zachowam pamięć łaskawości pani aż do końca życia i nie uronię żadnej sposobności, w której bym wdzięczność moją mógł ci okazać. Gdyby się nie było podobało niebu – dodał, miłosiernie przyglądając się Asturyjce – że miłość mnie do praw swoich przykuła i gdyby oczy lubej niewdzięcznicy nie były odniosły tryumfu nad moją wolnością, chętnie bym ją poświęcił u stóp tej pięknej panny.

Gospodyni, córka jej i Maritornes, zdziwione i nie rozumiejąc się na takim sposobie mówienia, domyślały się jednak, że to były komplementy i ofiary grzeczności, przyglądały się więc milcząc i sobie, i Don Kichotowi, jak człowiekowi w dziwnym jakimś rodzaju. Podziękowały mu jednak za te grzeczności, jak w karczmie mogły umieć najlepiej, i pokornie skłoniwszy się, odeszły. Maritornes zabrała się do opatrzenia Sancha, który tego nie mniej od pana swojego potrzebował.

Mulnik, o którym wspomniałem, i Asturyjka ułożyli sobie, że się w nocy obaczą, ona mu przyrzekła, że skoro tylko goście odejdą, a pan i pani usną, przyjdzie go odwiedzić. Mówią, że dziewczyna ta słowna zawsze była w tych razach, choćby nawet dała słowo bez świadków w piwnicy; to też miała się słusznie za coś lepszego i mniemała, że nie ubliżyła sobie, zostawszy służącą w karczmie, gdyż (jak zawsze mówiła) zubożenie jej rodziców doprowadziło ją do stanu tego. W dziwnym apartamencie owym stało naprzód niegodziwe i biedne łóżko Don Kichota, a Sancho posłał sobie obok na wiązce sitowia, przykrył się kołdrą, która wyglądała jakby była z kanwy, nie z wełny. Trochę naprzód wysunięte było legowisko mulnika, złożone, jak już powiedziałem, z juk i der dwóch mułów, a miał ich dwunastu wszystkich, spasyłych, tęgich, bo to był jeden z bogatych owych mulników z Arevalo, jak twierdzi autor tej historii, który o nim, jako o dobrym znajomym, szczegółową robi wzmiankę, bo mówią podobno, że byli krewniacy. Bądź co bądź, Cyd Hamed Benengeli był dokładnym historykiem, ponieważ przytacza nawet takie szczegóły, co na pozór nie zdają się mieć ważności i od niego to właśnie historycy (powieściopisarze) powinni by się nauczyć nie zaniedbywać niczego i szczegółowiej pisać, zamiast pobudzania ciekawości czytelnika, tak, że często to, o czym by się najwięcej chciało wiedzieć, zawisnie na końcu ich pióra przez złośliwość lub niewiadomość! Bądź po tysiącokroć sławion autorze **Tablanta Ricamonta** i ty, co napisałeś *Czyny Hrabiego Tomillas*; wyście nie zapomnieli o najdrobniejszej okoliczności.

Wracamy do mulnika. Mulnik więc, dawszy sieczki mułom, rozciągnął się na derach, oczekując niecierpliwie punktualnej Maritornes. Sanchowi, mimo szczerzej chęci do snu, ból boków sen odejmował, Don Kichot także z bólu oczy miał jak zajac otwarte. Cicho było w karczmie, a światło błyszcząco tylko z latarni wiszącej w bramie. Spokojność ta i natłok szumnych myśli, których rycerzowi naszemu dostarczały ciągle rozliczne wypadki przez niego czytane, wyrodziły mu w głowie najdziwaczniejsze z przypuszczeń. Uroił sobie, że znajduje się w sławnym jakimś zamku (nie było karczmy której by nie robił tego zaszczytu), i że córka gospodarza, to jest władcy zamku, ujęta dobrą jego miną i składnością, obiecała mu, zręcznie wydostawszy się z komnat swoich, parę chwil z nim przepędzić. Urojenie to dręczyło go jakby rzeczywistość i nabawiało niepokojem o szwank, na jaki wierność jego narażoną być może. Przyrzekł sobie nareszcie w sercu nie popełnić żadnej niewierności kochanej Dulcynei, chociażby sama królowa Ginewra z wierną swą Kintaujoną błagać go o to miały. Gdy tak błądził w marzeniach, słowna Asturyjka właśnie dotrzymywała obietnicy i boso, w koszuli, z rozczochranymi włosami, wchodzi, stąpając powoli i szukając łóżka mulnika. Don Kichot, mając słuch natężony, usłyszał jej wejście, czy też zgadł, że ktoś wszedł, i podnosząc się na łóżku, mimo plastrów i bólu boków, wyciągnął ramiona do mniemanej panny. Asturyjka szła powoli, żeby nie zrobić hałasu, i macała rękoma wokoło, żeby się o co nie potknąć; mimo jednak całej ostrożności, wpadła w objęcia Don Kichota, który, uchwyciwszy ją za rękę i przyciągając do siebie, posadził na łóżku. Zgrzebna koszula jej nie wyprowadziła z błędu rycerza. Szklane bransoletki, które miała na ręku, wziął za drogie kamienie; włosy jej, bardzo podobne do włosia, wydawały się mu jedwabnymi splotami, a biorąc oddech jej, w którym czuć było starą sałatę i zimne mięsiwo,

za przyjemną mieszanię najdelikatniejszych woni, wyobraził sobie nadobną tę nimfę zupełnie taką, jak to malują w książkach, które czytał, piękne panny, odwiedzające cichaczem chorych lub rannych kochanków. Słowem, upór biednego szlachcica tak był mocny, że nieczuły na mnóstwo szczegółów, od których by mdłości jednego chyba tylko mulnika nie porwały, mniemał trzymać w objęciu boginię piękności. Zachwycony tyłu wdziękami i ściskając nieporównaną Maritornes, jakby ją chciał udusić, świetny rycerz szepnął jej cichutko miłosnym głosem: „Czego bym nie dał za to, ach! czego bym nie dał, piękna księżniczko, gdybym widział się w stanie ocenienia łaski, jaką mi wyświadczasz, i mógł oczyścić się przed panią z zarzutu niecnej niewdzięczności. Umieram wprawdzie ze wstydu, ale poprzysiągłem stałą miłość moją nieporównanej Dulcynei z Tobozo; ona jest jedyną panią serca mego i najtajniejszych myśli moich; nie mogę więc krzywoprzysięstwem okupić tego niebiańskiego szczęścia”.

Podczas tej przemowy Maritornes najokropniej się przelekła, przekonawszy się, że jest w objęciach Don Kichota i robiła, co mogła, żeby się z nich wydostać, nie słuchając tego, co jej mówił. Uczciwy mulnik znów, któremu niecierpliwosć spać nie dozwalała, przeczuł i poczuł swą nimfę skoro tylko weszła, a nadstawiając ucha i uchwyciwszy coś z przemowy rycerza naszego, posądził niewinną Asturyjkę, że mu nie dotrzymała słowa, dlatego chyba, iż nie tylko jemu dać je musiała. Nie poprzestając na tym, podżegany zazdrością, zbliżył się po cichu do łóżka Don Kichota i zaczął się pilnie przysłuchiwać. Przekonawszy się, że wierną jego Maritornes gwałtem przytrzymał, myślał tylko jak się zemścić za niegodny ten postępek; podniósł rękę i mierząc ku licu niefortunnego rycerza, tak pięścią dziarsko zdzielił go po szczękach, że krew buchnęła natychmiast, a Benegeli nawet zareczy, że wskoczył na niego i szerokimi łapami w podkutych trzewikach przebiegł mu kilka razy po ciele od stóp do głów. Łóżko, którego fundamenty nie były w najlepszym stanie, nie wytrzymało tego obciążenia runęło pod ciężarem mulnika. – Hałas obudził gospodarza, który domyślił się, że to musi być jakiś figiel Maritornesy, bo wołał na nią na całe gardło kilka razy, a nie odezwała się ani razu. Zapalił więc latarnie, żeby się udać tam, gdzie słyszał hałas – Asturyjka słysząc, że idzie, a znając go dobrze skryła się w łóżko Sancha, który spał, i w kłębek się przy nim zwinęła. Gospodarz wszedł, klnąc po karczemnemu.

– Gdzie jesteś, klempo? – zawołał – bo to z pewnością twoje sztuki, bazarnico!

Jednocześnie Sancho na wpół obudziwszy się i czując na sobie cały ten ciężar, który go dusił, myślał, że to sen jaki dręczy go jeszcze i zaczął walić pięściami na wszystkie strony. Razy te spadały na Maritornes po większej części – ta, straciwszy nareszcie cierpliwosć i nie bacząc już na miejsce, gdzie się znajdowała, myślała tylko o wywzajemnieniu, palnęła Sancha tyle razy w żywot i w twarz twardą pięścią, że obudził się nareszcie zupełnie. Nie wiedząc, za co go tak tuzowano<sup>62</sup>, podniósł się na łóżku i uchwyciwszy silnie Maritornes, rozpoczął z nią najpocieszniejszą walkę. Mulnik, zobaczywszy przy świetle straszne położenie drogiej swojej Maritornes, puścił Don Kichota, a pobiegł jej na pomoc; gospodarz znów, obeznawszy się już z miejscowością, pobiegł także, ale w celu skarcenia Asturyjki, którą uważał za główną sprężynę całego tego nieporządku. Mulnik walił Sancha, Sancho młócił Maritornes, Maritornes prała Sancha, a gospodarz tłukł Maritornes – a wszystko to szło tak zwawo i gracko, jakby się obawiali, żeby im czasu nie zabrakło, nareszcie latarnia zgasła, a ciemność powiększyła jeszcze zażartość bójki – żaden z walczących nie uniósł ani całej koszuli, ani której bądź części ciała nieobrażonej. – Przypadkiem znajdował się w gospodzie pacholek rządowy, z tych, co to ich nazywają starą konfraternią tolekańską. Obudziwszy się na hałas walki, wpadł z prętem w rękę i z pudełkiem blaszanym, gdzie oznaka godności jego, ale nic a nic nie dojrzał w ciemności, zawołał: „Milczeć wszyscy w imię sprawiedliwości i świętej Hermandady”. Przypadkiem natrafił ręką na nieszczęsnego Don Kichota, który leżał rozciągnięty na zwaliskach łóżka, bez przytomności, z głową zwieszoną. Ujawszy go za brodę, nie przestawał krzyczeć: „Na pomoc władzy!” Ale nie dostrzegając żadnej oznaki życia w tym, którego trzymał, nie wątpił, że to musi być trup człowieka, którego inni

<sup>62</sup> tuzować (daw.) – bić. [przypis edytorski]

przytomni zamordowali – zaczął więc krzyczeć jeszcze głośniej: „Zamykajcie drzwi gospody, zważać, żeby mi nikt nie wyszedł, tu człowieka zabito!” Głos ten przeraził walczących i prócz tego, co każdy już dostał, sprawa pozostała w zawieszeniu i w tym stanie, w jakim ją zszedł pacholek. Gospodarz z wolna zemknął do stacji, mulnik na legowisko, a podrapana Maritornes wlaźła w brudne łóżko swoje. Co zaś do Don Kichota i Sancha, ci, którzy nie mogli się poruszyć, pozostali na miejscu, a pacholek puścił brodę rycerza naszego i poszedł po światło, żeby ująć winnych. Gospodarz jednak odchodząc, naumyślnie zagasił latarnię w bramie – pacholek więc zmuszony był rozdmuchać ogień w kominie, ale tak go tam było niewiele, że dmuchał przez godzinę, nim zdołał zapalić latarnie.

## Rozdział III

Dalszy ciąg niezliczonych trudów, które Don Kichot i giermek jego przecierpieli w gospodzie.

Don Kichot, przyszedłszy nareszcie do przytomności z omdlenia, tym samym głosem, co wczoraj giermek jego po straszliwej walce z furmanami, zawołał na niego, mówiąc smutnie:

– Przyjacielu Sancho, czy śpisz? Przyjacielu Sancho!

– He, jakżebym u diabła spać miał – odrzekł Sancho wściekły z gniewu i z nudów – kiedy wszyscy diabli z piekła przyszli po mnie tej nocy.

– Masz słuszość, że tak mówisz – rzekł Don Kichot. – Ja nie rozumiem, chyba ten zamek jest zaczarowany. Słuchaj, co ci powiem, ale przysięgnij mi najprzód, że dopiero po śmierci mojej mówić o tym będziesz.

– Przysięgam! – odrzekł Sancho.

– Wymagam tej przysięgi – prawil dalej Don Kichot – bo nigdy czci niczyjej szkodzić nie myślę.

– Przecież mówię panu, że przysięgam – odparł Sancho – i że ust nie otworzę w tej mierze aż do śmierci pańskiej, daj Boże, ażebym to rychło mógł zrobić.

– Czyż takim ci jestem już ciężarem, żebyś pragnął rychłej śmierci mojej?

– Nie dlatego – odrzekł Sancho – ale nie lubię długo trzymać języka za zębami, bo się obawiam, żeby mi nie spróchniał.

– Niech co chce będzie – mówił Don Kichot – polegam na przywiązaniu twoim do mnie i na rozsądku twoim. Trzeba, żebyś się dowiedział, co mi się przytrafiło tej nocy – jedna z najdziwniejszych i najpiękniejszych przygód, jakie wyobrazić sobie można. Żeby ci ją w krótkości opowiedzieć, dowiedz się, że nie ma dwóch godzin, jak córka władcy tego zamku przyszła do mnie. Jest to jedna z najpiękniejszych dziewczyn w świecie. Nie potrafię ci opisać wdzięków jej osoby, powabu jej rozumu, nie chcę nawet myśleć o tylu pięknościach, żeby nie uchybić afektowi, którym pałam dla mojej damy, Dulcynei z Tobozo. Powiem ci tylko, że niebo, zazdroszcząc mi szczęścia, które los w objęcia moje sprowadził, czy też mówiąc otwarciej, ponieważ zamek ten jest zaklęty, kiedym właśnie zapuścił się z piękną nieznaną w czułą i namiętną rozmowę, ręka, której nie widziałem, a która Bóg wie skąd się wzięła, ale ręka niezawodnie ogromnego jakiegoś olbrzyma, tak silnym ciosem ugodziła mnie po szczękach, że cały się krwią zalał. Potem, niegodziwiec, korzystając z mojej słabości, tyle mi razów wymierzył, że gorzej mi jeszcze niż wczoraj, kiedy mulnicy jęli się nas z powodu niewstrzeźliwości Rosynanta. Wnoszę stąd, że jakiś Maur zaklęty musi strzec tego skarbu dla kogoś innego, nie dla mnie.

– Nie sądzę, żeby to także dla mnie być miało – przerwał Sancho – bo więcej niż czterystu Maurów wprawiało się na mojej skórze w sposób tak wrażliwy, że w porównaniu z nim, wczorajsze uderzenie kłonicą to rozkoszne łechtanie. Ale proszę pana, zwróćże pań uwagę na położenie, w którym się obecnie znajdujemy, czy godzi się to nazwać przygodą piękną? Jeszcze pan, co miałeś przyjemność trzymać tę nadzwyczajną piękność w objęciu, to pociecha dla pana, ale ja nic nie miałem, oprócz kułaków najsroższych, jakie w życiu zapamiętam. Niech mnie diabli porwą i tych, co na świat mnie wydali! Nie jestem rycerzem, ani myślę nim zostać, a w każdym spotkaniu zawsze najtęższą część dostaję.

– To i ciebie także poturbowano? – zagadnął Don Kichot.

– Ależ do stu diabłów – odparł Sancho – albowiem panu nie mówił?

– E, żartuj z tego, kochany bracie – rzekł Don Kichot – zaraz sporządzą sławny balsam, a on nas wkrótce wyleczy.

Kiedy tak rozmawiali, nadszedł pacholek z zapaloną latarnią. Łóżko było wprost drzwi. Sancho, spostrzegłszy go z daleka, w koszuli, zresztą nagiego, z głową obwiązaną brudną szmatą

i ze zdradzieckim wyrazem twarzy, zapytał pana, czy to przypadkiem nie ten Maur zaczarowany przyszedł dowiedzieć się, czy mają jeszcze jaką część ciała do pogruchotania.

– Nie zdaje mi się – odparł Don Kichot – bo zaczarowani nikomu się nie pokazują.

– Ale jeżeli się nie pokazują, to dalibóg, dają się we znaki – rzekł Sancho – niech na to plecy moje odpowiedzą.

– A myślisz, że moje także by odpowiedzieć nie potrafiły – odrzekł Don Kichot – a jednak dowód to niedostateczny, żeby to miał być nasz Maur.

Pachołek zdziwił się bardzo, że w miejscu, gdzie zabito człowieka, ludzie tak spokojnie rozmawiać mogą, ale zoczywszy bohatera naszego rozciągniętego i w położeniu nader niewygodnym, rzekł mu:

– Jakże się masz, pocziwcze?

– Gdybym był na wasana miejscu, mówiłbym inaczej – odrzekł wyniośle Don Kichot. – Czy się tak przemawia, trutniu, do rycerzów błędnych w kraju twoim?

Pachołek, popędliwy z natury, rozgniewał się na tę mowę, wychodzącą z ust człowieka tak nieobiecującej powierzchowności, i z całej siły cisnął latarnią w głowę nieszczęsnego rycerza, a nie wątpiąc, że mu ją zgruchotał, uciekł, korzystając z ciemności.

– No cóż, panie – zawołał wtedy Sancho – nie ma już wątpliwości, to z pewnością ten Maur, co strzegąc skarbu dla drugich, zachowuje dla nas kułaki i pięści.

– Tym razem może masz i słuszość – rzekł Don Kichot – ale oznajmiam ci, że drwić potrzeba z tych czarów, zamiast się zżymać<sup>63</sup> na nie. Ponieważ to są wszystko rzeczy fantastyczne i niewidzialne, daremnie pragnęlibyśmy zemsty, nie zdołamy jej wyrzucić. Sancho, wstań, jeżeli możesz, i poproś gubernatora zamku, żeby mi przysłał trochę oliwy, soli, wina i rozmarynu, muszę sporządzić balsam, bo mówiąc między nami, krew płynie mi z rany, którą mi to widziadło zadało.

Sancho wstał, krzyknąwszy nieraz z bólu i po omacku chcąc trafić do drzwi gospodarza, potknął się o pachółka, trochę zmartwionego brutalstwem<sup>64</sup> swoim.

– Panie – zawołał Sancho – ktokolwiek jesteś, bądź tak miłosierny i daj nam rozmarynu, wina, soli i oliwy – bardzo nam to potrzebne do opatrzenia jednego z najlepszych rycerzy błędnych, jacy są na ziemi, a którego właśnie zaklęty Maur niebezpiecznie ranił w tej gospodzie.

Pachołek, domyśliwszy się mniej więcej, kim jest Sancho, zaczął wołać na gospodarza i powiedział mu, czego ten człowiek żąda, a ponieważ zaczęło już świtać, otworzywszy drzwi od gospody, poszedł się przebrać. Gospodarz dał Sanchowi wszystko, czego pragnął. Giermek, niosąc te ingrediencje<sup>65</sup> panu, zastał go trzymającego się obu rękami za głowę, i skarżącego się na uderzenie latarnią, która na szczęście, tylko parą go guzów obdarzyła, bo mniemana krew, był to olej z latarni, płynący mu po twarzy.

Don Kichot, wławszy wszystko w jedno naczynie, kazał zagotować, a gdy już się ugotowało, zażądał butelki. W gospodzie tej nie było butelki, trzeba było poprzestać na małej blaszanej manierce, którą mu gospodarz podarował, a w której zwykle trzymano olej. Zmówiwszy następnie nad naczyniem sto *Ojczy nasz*, tyleż *zdrowasiek*, *Salve Regina*, *Wierzę w Boga*, do każdego wyrazu dodawał znak krzyża świętego, jako znak błogosławieństwa.

Sancho Pansa, pachółek i gospodarz, byli świadkami tej nabożnej ceremonii – bo mulnik kulbaczył już muły, udając, że ani wie o nocnej przygodzie, w której tak czynny miał udział. Sporządziwszy cudowną tę miksturę, Don Kichot zaraz pragnął jej kosztować, i nie przykładając jej do rany, połknął całą szklanekę, jakby lekarstwo. Zaledwo wyżył tę dozę, zaczął ją oddawać tak gwałtownie, że pewnie mu nic nie zostało w żołądku. Wysilenie sprowadziło poty, poprosił, żeby go okryto i dano mu spocząć. Spał ze trzy godziny, po przeciągu których tak się mu lepiej zrobiło, że

---

<sup>63</sup> *zżymać się* – gniewać się, oburzać, niecierpliwieć. [przypis edytorski]

<sup>64</sup> *brutalstwo* – dziś: brutalność. [przypis edytorski]

<sup>65</sup> *ingredienca* – składnik. [przypis edytorski]

nie wątpił już o skuteczności balsamu swojego, którego tajemnicę posiadając, można się narażać na najstraszliwsze przygody. Sancho Pansa, któremu wyzdrowienie pana cudownym się zdało, prosił go usilnie, żeby mu pozwolił wypić resztę, na co gdy Don Kichot przystał, uchwycił garnek i wlał sobie do żołądka porządną porcję, to jest prawie tyle, co jego pan. Żołądek biedaka nie musiał być tak delikatny, bo zanim lekarstwo wzięło skutek, zaczęło mu się tak odbijać i poty tak gwałtowne go oblały, że zdawało mu się, że umrze, i w tym opłakanym stanie kłął balsam i zdrajcę, co mu go podał.

– Przyjacielu Sancho – rzekł mu poważnie pan jego – chyba mnie ciągle w świecie oszukują, jeżeli to wszystko nie dlatego ci się zdarza, że nie jesteś pasowany na rycerza, bo mniemam, że ten balsam dla rycerzów tylko skuteczny.

– Ależ do trzystu diabłów, cóżem panu zrobił, żeś mi pan go dał pokosztować, na cóż mi się przyda rada? Umarłemu kadzidło.

Tymczasem właśnie cudowny balsam zaczął skutkować i biedny giermek tyle wyrzucił z wnętrza swojego rozmaitości, że kołdrę i materac na nic popsował<sup>66</sup>. Wymiotom tym towarzyszyło tyle i tak dziwnych wysileń, że przytomni zwątpili o jego życiu. Mimo to, po upływie godziny takiej burzy, zamiast wyzdrowieć, jak pan jego, czuł się tak słabym i zbitym, że zaledwo mógł oddychać. Ale wyzdrowiawszy, Don Kichot nie miał ani chwili do stracenia, ciągle chciwy nowych przygód. Zdawało mu się, że winien jest każdą chwilę, zmarnotrawioną na marnościach świata tego, a pełen ufności w skuteczność balsamu, pragnął tylko coraz nowych niebezpieczeństw, za nic mając najsrozsze rany. W tej niecierpliwości rzekł do Sancha, że czas ruszać w drogę. Osiodłał sam natychmiast Rosynanta, włożył burkę na osła, giermka wsadził nań, dopomógłszy mu przyodziać się, a sam dosiadłszy konia, ujął w dłoń złamaną spise, która mu się wydała jeszcze dobrą zupełnie.

Było ze dwadzieścia osób prawie w gospodzie, a nie było ani jednej, co by nie przyglądała się mu ciekawie, zwłaszcza też córka gospodarza, która go jeszcze ciekawiej od drugich spojrzeniem śledziła, nie widziawszy nigdy w życiu nic podobnego. On zaś, tłumacząc to sobie w inny sposób, wlepił w nią spojrzenie i od czasu do czasu wzdychał głęboko, aż z głębi żołądka, ale sam tylko znał powód tych westchnień, chociaż ci, co go widzieli wczoraj srodze poturbowanego, przypisywali je dolegliwemu bólowi z ran. Skoro tylko dwaj bohaterowie nasi dosiedli rumaków, Don Kichot, zatrzymując się na progu bramy, zawołał gospodarza i głosem poważnym odezwał się do niego:

– Mości kasztelanie, byłbym niewdzięczny, gdybym nie pamiętał wszystkich tych grzeczności, którymi mnie w zamku pańskim obsypano. Jeżeli za tę dostojną gościnność odwdziaczyć się mogę, mszcząc się za ciebie na kim, co by cię obraził, wskaż, panie, powołaniem jest moim, jak pan wiesz zapewne, wspierać słabych, a karcieć zdrajców. Poszukaj więc w pamięci, a jeżeli masz pożalić się na kogo, wymień go tylko, obiecuję ci, w imię rycerstwa, na które mnie pasowano, że będziesz miał zadośćuczynienie.

Gospodarz odrzekł z tą samą powagą:

– Mości kawalerze, nie mam, dzięki Bogu, nikogo, nad kim chciałbym, żebyś się mścił za mnie, bo gdy mnie kto obrazi, umiem się bardzo dobrze zemścić za siebie. Gdybym czego żądał, to jedynie, żebyś mi pan zapłacił wydatki tej nocy, siano i sieczkę, które wierzchowce wasze pożarły, bo tak się nie wyjeżdża z gospody.

– Jak to? więc to gospoda? – ofuknął Don Kichot.

– A już ciż nie co, jeno gospoda i jedna z najlepszych – rzekł gospodarz.

– Bardzom się mylił – mówił dalej rycerz – biorąc ją dotychczas za zamek i to niemały zamek. Ale, ponieważ to gospoda, musisz mi wybaczyć, że ci zaraz nie zapłacę wydatków, które poniosłeś, nie mogę sprzeciwić się regule zakonu błędnych rycerzy, o których wiem przecie (a przynajmniej nie zdarzyło mi się nigdy nic przeciwnego czytać), że nigdy po gospodach nie płacili. Zwyczaj i rozum chce mieć, żeby ich wszędzie darmo ugaszczano w nagrodę trudów niezliczonych, które ponoszą,

<sup>66</sup> *popsować* (daw.) – popsuć. [przypis edytorski]

szukając przygód dniem i nocą, zimą i latem, konno i pieszo, mrąc z głodu lub pragnienia, z zimna lub gorąca, wystawieni zawsze na wszystkie niewygody, jakie się trafiają na tej ziemi.

– To są błache nawyknięcia rycerstwa, które mnie nic nie obchodzą – odrzekł karczmarz – zapłać mi pan tylko, coś mi winien, i dajmy pokój tym baśniom.

– Jesteś głupim i złym karczmarzem – rzekł Don Kichot, i spuszczać spise wyjechał z gospody, nie patrząc nawet, czy jego giermek za nim postępuje.

Gospodarz widząc, że się od Don Kichota niczego spodziewać nie może, chciał, żeby mu Sancho zapłacił, ale ten poprzysiągł, że tak jak pan, nie może płacić, bo jako giermek błędnego rycerza, musi korzystać z tego samego przywileju. Daremnie gospodarz się gniewał i groził mu, że jeśli mu nie zapłaci, to sobie sam zapłacić potrafi pięścią, w sposób, który giermek długo zapamięta. Sancho zaklął się na rycerstwo, na które pasowano jego pana, że nie da ani marawedisa, choćby go miano udusić, i że przyszłe pokolenie giermków nie będzie złorzeczyć jego pamięci, bo nie pozwoli, aby tak słuszne i piękne prawo miało być zatracone z jego winy. Na nieszczęście, było w gospodzie czterech handlarzy wełny z Segowii i trzech kupców szpilek z Poto, chłopaki żwawe i wesołe i skore do figla. Zbliżyli się do Sancha i zasadzili go z osła, a jeden z nich poszedł po kołdrę. Widząc, że otwór w bramie zanadto niski na ich zamiar, zawiedli na podwórze biednego Sancha, tam rozciągnawszy go na kołdrze, czterech najmocniejszych ujęło go za cztery rogi i zaczęli ciskać go w powietrze do wysokości dwunastu lub piętnastu stóp, jak to kucharze robią często z psami, co im mięso kradną. Okropne krzyki biedaka doszły do uszu pana, który mniemał z początku, że go niebo do nowej przygody powołuje; ale poznawszy wkrótce, że to wierny giermek tak ryczy, spiął Rosynanta i stanął przed gospodą. Bramę na nieszczęście zatrzaśnięto. Objeżdża więc naokoło, chcąc koniecznie znaleźć jakieś wejście, wtem zza muru od podwórza, niezbyt wysokiego, widzi jak Sancho wznosi się i opada w powietrzu z takim wdziękiem i gibkością, że śmiałyby się pewnie, gdyby się nie był rozgniewał. Żart ten nie przystawał wcale do jego humoru usiłował kilka razy za pomocą grzbietu Rosynanta dostać się na mur i wdrapałby się z pewnością gdyby nie był tak zbity, że z konia zsiąść nie był w stanie. Ale za to tyle obelg ciskał na niegodziwych figlarzy, że niepodobna ich opisać. Mimo to niegodziwcy ci nie przestawali swojej facecji<sup>67</sup> i śmieli się jeszcze głośniejsze. Nareszcie, znużywszy się sami, obwinęli go w kaftan i miłosiernie wsadzili tam skąd go wzięli, to jest na osła.

Uczciwa Maritornes, która nie bez przykrości przyglądała się srogiej Sancha przygodzie, przyniosła mu natychmiast dzban zimnej wody, którą właśnie naczepała ze studni, lecz gdy go przytykał do ust, zatrzymał go nagle głos pana, który krzyczał z tamtej strony muru:

– Sancho, synu kochany, nie pij tej wody, nie pij, dziecię moje, bo umrzesz, czyż nie mam cudownego balsamu, który cię za chwilę na nogi postawi? Mówiąc to, pokazywał mu miarkę blaszaną.

Ale Sancho odwróciwszy głowę na te krzyki i przyglądając się panu nieco z ukosa, rzekł:

– He panie, czy pan zapomniałeś, że nie jestem pasowany na rycerza, chcesz, żebym oddał tę trochę wnętrzości, co mi zostało? Schowaj się pan w piekło ze swoją miksturą i daj mi pokój.

Zaczął pić znów, ale po pierwszym łyku poczuwszy, że to tylko woda, nie mógł pić dłużej i poprosił Maritornes o trochę wina, którego mu też ona przyniosła, kupiwszy je za własne pieniądze. Toteż mówią, że miała ta dziewczyna i dobrą stronę swoją, chociaż taka skrupulatka<sup>68</sup>. Sancha, gdy się napił, odprowadzono aż do bramy gospody, gdzie, spiąwszy osła piętami odjechał bardzo zadowolony, że nic nie zapłacił, choć nadstawił skóry i boków, zwyczajną swoją zapłatę. Gospodarz, widząc Sancha na dworze, chciał kazać bramę zasunąć, ale figlarze, którzy niezbyt zwracali uwagę na naszego rycerza, choćby należał do Okrągłego Stołu, nie chcieli na to pozwolić, i może by nie opuścili sposobności pobawić się z panem, jak się pobawili ze służącym.

<sup>67</sup> *facecja* (z łac. *facetia*) – żart, dowcip. [przypis edytorski]

<sup>68</sup> *skrupulat* – a. *skrupulat*: osoba drobiazgowa, dokładna, pedantyczna. [przypis edytorski]

## Rozdział IV

Rozmowa Don Kichota z Sancho Pansą oraz inne przygody godne opowiedzenia.

Gdy Sancho dogonił pana, ten, widząc go tak poturbowanym, że zaledwie na osłe mógł dosiedzieć, rzekł do niego:

– Teraz przyjacielu Sancho nie wątpię już, że są jakieś czary w tym zamku, czy też austerii<sup>69</sup>, bo dokładnie nie wiem, co to jest. Któż mógł tak okropnie naigrawać się z ciebie, jeżeli nie widma i ludzie z tamtego świata? Żeby cię jeszcze dokładniej o tym przekonać, powiem ci, że kiedy przyglądałem się temu smutnemu widowisku przez mur od podwórka, nie byłem w możliwości wleźć nań, ani nawet z konia zsiąść, tak mnie oczarowali. Bogiem a prawdą, nieźle zrobili poniekąd, bo gdyby mi było wolno wskoczyć na mur, wierz mi, tak byłbym pomścił ciebie, że to tałatajstwo<sup>70</sup> nie potrafiłoby już drwić sobie; a w moim usposobieniu wykroczyłbym przeciw prawom rycerstwa, które, jakem ci często mówił, nie pozwalają rycerzowi dobywać miecza przeciw tym, co nie są rycerzami, chyba w obronie życia lub w najgwałtowniejszej potrzebie.

– Sam bym się był pomścił, gdybym był zdołał – odparł Sancho – choć nie jestem rycerzem; ale, dalipan, nie ode mnie to zależało, choć i poprzysiągłbym, że ci hultaje, co się bawili moim kosztem, nie są widmami, ani zaklętymi ludźmi, jak pan powiadasz, ale rzeczywistymi ludźmi z ciała i kości, jak my, i pamiętam dobrze ich nazwiska. Jeden się nazywa Pedro Murtinez, drugi Tenorio Hernandez, a dobrze słyszałem, że nazwisko gospodarza Juan Palomegne. Widma nie są chrzczone, panie, nie mów mi pan więc, że to czary nie dozwoliły panu wdrapać się na mur lub zsiąść z konia. Co do mnie, widzę najjaśniej pod słońcem, że im więcej szukać będziemy przygód, tym prędzej napotkamy na taką, co nas życia pozbawi. Za łaską Boską nie rozeznamy wkrótce lewej nogi od prawej. Dalipan, najlepiej i najpewniej, według mego maluczkiego pojęcia, powrócić do naszej wioski właśnie teraz w porę żniwa; bo niedobre nasze żniwa na cudzych polach, wpadamy ciągle z deszczu pod rynnę, coraz to gorzej, miasto<sup>71</sup> lepiej się nam dzieje.

– Ach, mój biedny Sancho – przerwał mu Don Kichot – powtórzę ci po setny raz, jakżeś nieświadomy i ciemny pod względem rycerstwa! Milcz i bądź cierpliwy, przyjdzie chwila, że własne doświadczenie przekona cię o korzyściach powołania tego. Bo nareszcie, powiedz mi, czy jest jaka przyjemność pod słońcem wyrównywająca zwycięstwu w walce i tryumfowi nad nieprzyjacielem? nie ma, wszak prawda?

– Wierzę temu – odrzekł Sancho – choć nie wiem nic o tym. Ale wiem, że od czasu, jak zostaliśmy błędnymi rycerzami, to jest pan, bo ja nie zasługuję na ten zaszczyt, wygraliśmy dopiero jedną bitwę z Biskajczykiem<sup>72</sup>. Odtąd kulaki, pięście, kije dla pana i dla mnie, a w dodatku jeszcze poturbowali mnie srodze i to zakłęci ludzie, nad którymi zemścić się nie mogę, i nie mogę używać tej wielkiej przyjemności, jaka, według pana, znajduje się w zemście.

– Taka moja dola – rzekł Don Kichot – niechże będzie i twoją, ale poczekaj, zaręczam ci, wkrótce będę miał miecz tak kunsztownie ukuty, że tego, co go nosić będzie, nie zdołają nigdy żadne czary oczarować. Mogło się zdarzyć, że szczęśliwy traf dałby mi w rękę miecz, którym władał Amadis, kiedy się mianował rycerzem Ognistego Miecza, najlepszego, jaki się mógł w świecie znajdować, bo oprócz ognistości, ostry był jak brzytwa; najtwardsza zbroja, najbardziej zaczarowana, nie oparła się mu nigdy, kruszył je jak szkło.

---

<sup>69</sup> *austeria* – karczma. [przypis edytorski]

<sup>70</sup> *tałatajstwo* – hołota, motłoch. [przypis edytorski]

<sup>71</sup> *miasto* – tu: zamiast to. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> *Biskajczyk* – dziś: Bask. [przypis edytorski]

– A ja tak jestem nieszczęśliwy, że choćbyś pan i ów miecz posiadał, to on się przyda na coś tylko pasowanemu rycerzowi, tak jak balsam, i wszystko znów zwali się na biednego giermka.

– Nie obawiaj się tego – dodał Don Kichot – dla ciebie los będzie przychylniejszy.

Gdy tak rozmawiali, nagle Don Kichot spostrzegł tuman kurzawy z daleka, który wiatr gnał ku nim, odwracając się więc do giermka, zawołał:

– Przyjacielu Sancho, otóż dzień, który okaże, czym mnie los obdarzy. Otóż dzień, powiadam ci, w którym dzielność ramienia mojego zajaśnieje, a znakomite czyny moje staną się godne opisu w księgach sławy dla nauki przyszłych pokoleń. Czy spostrzegasz tam tuman kurzawy? wznosi się on z pod stóp niezliczonego wojska, złożonego ze wszystkich prawie narodów tego świata.

– To w takim razie muszą być dwa wojska – wtrącił Sancho – bo i z drugiej strony także widać to samo.

Don Kichot spiesznie się odwrócił i widząc, że Sancho prawdę mówi, uczuł radość niewymowną, wierząc jak najmocniej (bo nigdy na wpeł nie wierzył), że to dwie armie jakieś stoczą z sobą walkę na tym błoni. Uczciwemu szlachcicowi temu nie brak było wrodzonej odwagi i tak sobie napełnił wyobraźnię wojnami, potyczkami, czarami i wszystkimi cudami, opiewanymi po romansach, że we wszystkim, co robił i myślał, nimi tylko miał głowę nabitą. Dwie liczne trzody owiec, zdążając z dwóch stron przeciwnych, robiły ten kurz, który tak był gęsty, że trzeba się było bardzo przybliżyć, żeby istotną rozpoznać przyczynę. Don Kichot jednak tak stale zapewniał, że to byli wojownicy, że Sancho, zaczynając wierzyć, zapytał się:

– No i cóż my, panie, będziemy tam z nimi robili?

– Co będziemy robili? Będziemy ratować tych, co pomocy naszej zapotrzebują. Ale trzeba, żebyś wiedział, o co rzecz idzie. Armia z lewej strony dowodzi wielki cesarz Alifanfaron, pan wyspy Taprobanu, a ta, co zdąża z prawej strony, jest armią nieprzyjaciela jego, króla Garamantów, Pentapolina z obnażonym ramieniem, dlatego tak go nazywają, że walczy z gołym ramieniem.

– A za co ci mocarze wojują z sobą? – zagadnął Sancho.

– Zostali nieprzyjaciółmi – odrzekł Don Kichot – bo ten Alifanfaron zapłonął miłością do córki Pentapolina, która jest jedną z najpiękniejszych kobiet w świecie i do tego chrześcijanką. Alifanfaron zaś jest poganinem i ojciec nie chce mu dać córki, dopóki nie wyrzeknie się fałszywego Mahometa swojego i nie przejdzie na wiarę chrześcijańską.

– Jak mi Bóg miły – rzekł Sancho – Pentapolin bardzo mądrze postępuje i pomogę mu z całego serca w czym tylko będę mógł.

– Będiesz to tylko robił, co ci powinność każe – odrzekł Don Kichot – bo też w takich razach niekoniecznie potrzeba być pasowanym na rycerza.

– Nie? – zagadnął Sancho – och, dalipan, to gracko! Ale gdzież ja podzieję osła w czasie bitwy, bo nie wiem, czy mi się będzie godziło do niej należeć na takim rumaku. A gdzie go potem znajdę?

– Masz słuszność – odparł Don Kichot – ale puść go na wolę Bożą, choćby zginał, to nic nie szkodzi. Po zwycięstwie będziemy mieli tyle koni do wyboru, że nawet Rosynanta kto wie, czy nie pomieniam na innego. Słuchaj jednak, muszę cię obznajmić z główniejszymi dowódcami tych armij, zanim nastąpi natarcie. Wejdźmy na to wzgórze, stąd ich łatwo dostrzeżemy.

Mówiąc to, weszli na pagórek, gdzie byliby zobaczyli, że nasz rycerz brał trzody owiec za wojska, gdyby kurz nie prosił im zanadto w oczy. Nareszcie Don Kichot, spostrzegłszy tysiąc szczegółów w swojej wyobraźni (gdzie indziej ich być nie mogło), wyniosłym głosem zaczął prawić:

– Ten rycerz, którego tam w złoconej zbroi spostrzegasz, co ma na twarzy lwa koronowanego u stóp dziewicy, jest to waleczny Lorkalsz, pan srebrnego mostu. Ten w zbroi, nasianej złotymi kwiatami, który nosi trzy złote korony w lazurowym polu, jest to potężny Mikolemba, wielki książę Kwirocji. Tamten znów, co idzie po prawej stronie, olbrzymiego wzrostu, to nieustraszony Brandebarbaran z Boliszy, pan trzech Arabii, uzbrojony, jak widzisz, w węża skórę, ma on na tarczy drzwi. Mówią, że to są drzwi z tej świątyni, którą Samson zważył, kiedy się mścił nad nieprzyjaciółmi swoimi ze szwankiem własnego życia. Oddział, który tam widzisz, składa się z różnych narodów: tu

są ci, co piją przyjemne wody sławnego Ksante; ówdzie górale, co uprawiają pola Masylijskie; tu, co haftują cienkim złotem Arabii szczęśliwej; tamci, co cieszą się widokiem świeżych i pięknych wybrzeży Termodonu i łowią złoty piasek bogatego Paktolu; Numidowie niestali i niepewni w obietnicach; Persy, nieporównani łucznicy; Medy i Partowie, walczący w ucieczce; Arabowie, co zawsze obozują, nie mając stałego siedliska; Scytowie straszni i okrutni; Etiopczykowie<sup>73</sup>, co sobie wargi przekłuwają, i wiele innych narodów, które widzę, znam twarz, ale nazwy nie pamiętam. Z drugiej strony nadchodzą ci, co piją płynny kryształ Betisy, której brzegi pokryte oliwnymi drzewami; ci, co się myją w bogatych nurtach Tagu; ci, co cieszą się wodami zbawionego Genilu; ci, co uprawiają pola Tartezjańskie, tak obfite w pastwiska; tamci, wiedzący tak szczęśliwe życie w cudownych rękach Kseresa; bogaci Manchegowie, koronowani złotymi kłosami; ci od stóp do głów pokryci żelazem, są to potomkowie w prostej linii starożytnych Gotów; ci, co się kąpią w Pisverga, rzece sławnej ze spokojności<sup>74</sup> wód swoich; ci, których trzody się pasą na obfitych pastwiskach wężykowej Gwadiany; ci, co drżą u stop zimnych gór Pirenejskich i w śniegach Apeninu, słowem wszystko, co Europa w szerokiej przestrzeni swej mieści.

Rzecz nie do pojęcia, z jak zadziwiającą szybkością wymienił nieskończoną ilość prowincji i narodów, nadając każdej to, co ma sobie właściwego ze zdumiewającą przytomnością umysłu, a wszystko to stylem owych jego ksiązek, co się nie dadzą naśladować. Sancho tak się zdziwił tym ogromnym napływem słów, że nie śmiał wtrącić ani wyrazu. Otwierał tylko oczy na roścież<sup>75</sup> i zwracał głowę za ruchem ręki pańskiej, chcąc się przekonać, czy ujrzy owych rycerzy i olbrzymów, których mu ten wskazywał. Ale nic a nic nie dostrzegłszy:

– Panie – rzekł, na wpół w rozpacz – niech diabli porwą wszystkich tych ludzi, rycerzy i olbrzymów których wymieniałeś, ja ani jednego nie postrzegam. Może się to wszystko także czarami dzieje, jak widma tej nocy.

– Jakież z ciebie niedołęga – odrzekł Don Kichot – nie słyszysz więc rżenia koni, dźwięku trąb, werbla, bębnow i kotłów?

– Jak mi Bóg miły, prócz beku baranów, nic nie słyszę.

Rzeczywiście prawda to była, bo już można było słyszeć zbliżającą się trzodę.

– Widzę – rzekł wtedy Don Kichot – że bardziej się obawiasz, niż się zdaje; bo jak wiadomo, że strach obalamuca zmysły i przedmioty przeinacza dla oka. Ale jeśli ci brak odwagi, pozostań tu i pozwól mi działać, dosyć mnie jednego, ażeby przechylić zwycięstwo tam, gdzie ramię moje podniosę.

Rzekłszy to, spał Rosynanta i błyskawicy lotem zjechał z pagórka na dolinę.

Sancho darł się z krzyku, żeby się rycerz zatrzymał, że to istotnie owce były, brał niebo na świadki, wszystkich diabłów przyzywał na próżno:

– Przeklęty ten, co mnie spłodził – zawołał nareszcie. – Cóż to za nowe głupstwo? Panie, dostojny panie Don Kichocie, mylisz się pan, nie ma tam ani olbrzymów, ani rycerzy, ani szparagów, ani całej tarczy, ani pół tarczy, chcesz pan pozabijać barany, za które nie masz czym zapłacić.

Don Kichota wszystko to jednak nie wstrzymywało, zamiast go słuchać, krzyczał sam z całych sił:

– Odwagi, męstwa, rycerze, co pod znakami dzikiego Pentapolina z obnażonym ramieniem walczyście, za mną tylko, a przekonacie się, że pomszczę się za niego na zdrajcy Alifanfaronie z Taprotanu.

Mówiąc to, wpada jak wściekły na gromadę owiec i przerzyna ją tak dziarsko i odważnie, jakby miał do czynienia z najstraszniejszymi wrogami swymi. Pastuchy zaczęli naprzód wołać tylko na niego i wymawiać, co mu biedne, niewinne baranki zrobiły złego; ale widząc, że nic nie wskórają

<sup>73</sup> *Etiopczykowie* – dziś popr.: Etiopczycy. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> *spokojność* – dziś: spokój. [przypis edytorski]

<sup>75</sup> *na roścież* – dziś raczej: na oścież; na całą szerokość. [przypis edytorski]

na krzykach, wzięli proce do rąk i zaczęli pozdrawiać naszego bohatera kamieniami cokolwiek większymi od pięści, tak szybko, że jeden raz nie czekał długo na drugi. Ale on, gardząc tym sposobem wojowania, nie zasłaniał się nawet, tylko pędził na wszystkie strony, wołając hukliwie.

– Do mnie, do mnie, sam cię tu oczekuję dla zmierzenia sił z tobą i ukarania za niesłuszną wojnę, którą wydałeś walecznemu Pentapolinowi! Gdzie jesteś, pyszny Alifanfaronie?

Tymczasem z tyłu kamieni, co jak grad wkoło niego padały, jeden porządnie zdzielił go w bok. Myślał rycerz, że już zginął, a przynajmniej, że niebezpiecznie ranny; ale przypomniawszy sobie o doskonałym lekarstwie, przytyka prędko blaszaną miarkę do ust i zaczyna pić nieoceniony napój uzdrawiający. Zanim wychylił wymaganą dozę, pada drugi kamień, tłucze na miazgę miarkę, po drodze wybija trzy, czy cztery zęby i gruchocze prawie wszystkie palce u ręki.

Dwa te ciosy tak były silne, że uczciwy rycerz padł na ziemię rozciągnięty jak nieżywy, a pastuchy myśląc, że już naprawdę nie żyje, spędzili prędko trzodę i zabrawszy poległych baranów w liczbie siedmiu czy ośmiu, nie wymieniając rannych, szybko się oddalili.

Sancho jednak ani się ruszył z pagórka, skąd przyglądał się niepojętym niedorzecznościom pana swojego, i wyrrywając sobie garścią włosy z brody, przeklinał stokrotnie dzień i godzinę, w której go poznał. Ujrawszy go jednak na ziemi i pastuchów już daleko, pobiegł do niego, a widząc go w bardzo złym saniu, choć jeszcze niezupełnie bez zmysłów<sup>76</sup>, rzekł doń litościwie:

– Ach wielmożny panie Don Kichocie, nie mówiłem panu, żebyś zawrócił, że to były barany nie wojsko, na które pan natarłeś?

– Atóż to tak, ten łajdak czarnoksiężnik, który pała do mnie zawiścią – zawołał Don Kichot – zamienia wszystkie rzeczy według chwilowej fantazji; bo mówiłem ci już stokrotnie, że nie można się wdawać w interesy z tymi kuglarzami, oni każą widzieć i wierzyć w to, co tylko zechcą, a ten zdrajca, zawistny chwały, którą byłbym pozyskał, nie omieszka! przemienić zastępów nieprzyjaciół na trzodę owiec, żeby koniecznie zmniejszyć wartość mego zwycięstwa. Ale chcesz mi zrobić przyjemność i przekonać się raz nareszcie na własne oczy, wsiądź na osła i podążaj z daleka za tym mniemanym bydłem, zakładam się, że zaledwo postąpią tysiąc kroków, natychmiast dawną przybiorą postać, a ci pasterze przemienią się w ludzi takich, jakich ci przedtem opisywałem. Albo lepiej nie oddalaj się teraz, jesteś mi potrzebny. Zbliź no się i zobacz, ile mi brak zębów, bo zdaje mi się, że mi ani jeden w ustach nie pozostał.

Sancho zbliżył się i patrzył tak z bliska, że prawie nos wetknął mu w usta, tymczasem balsam zaczął działać w żołądku Don Kichota i nagle z taką gwałtownością, jak wystrzał z muszkietu wyrzucił nieszczęśliwy wszystko, co mógł mieć w sobie, na oczy i brodę litościwego giermka.

– Święta Mario – zawołał Sancho – pan mój ranny jest śmiertelnie. Czysta krew bucha mu ustami.

Przyjrawszy się jednak bliżej, zapach, smak i kolor przekonały go, że to nie była krew, ale balsam, który pił pan jego, co tak mu nagle ścisnęło wnętrzności, że nie mając nawet czasu odwrócić głowy, wyrzucił wszystko, co miał w żołądku, na twarz pańską i obydwa w tym pięknym stanie pozostawali przez czas niejaki. Sancho pobiegł do osła po jaką płachtę do obtarcia dla siebie i dla pana, ale nie znalazłszy tłumoczka, którego zapomniał w gospodzie, o mało zmysłów nie stracił. Znów zaczął się przeklinać, poprzysiągł sobie w sercu, że pozostawi pana, a sam powróci na wieś, nie troszcząc się o nagrodę usługi, i nie dbając już o zarząd wyspy przyobiecanej.

Don Kichot jednak podniósł się z trudnością i kładąc sobie lewą rękę w usta, jakby dla wzmocnienia reszty zębów bardzo nadwreżonych, a prawą ujawszy cugle wiernego Rosynanta, który go ani na chwilę nie opuścił z takim był dlań zachowaniem, zbliżył się do Sancha, spoczywającego na osle z głową podpartą na rękach, jakoby w głębokim smutku pogrążonego.

– Przyjacielu Sancho – rzekł mu, widząc go w tym stanie – wiesz o tym, że nie będziesz człowiekiem większym od drugich, jeżeli nie będziesz działał więcej od drugich. Wszystkie te burze,

---

<sup>76</sup> być bez zmysłów – być nieprzytomnym. [przypis edytorski]

co nam się przytrafiają, nie są dowodem, że niebo się dla nas wypogodzi i lepsze nastaną czasy? Czy nie wiesz, że złe i dobre ma swoją granicę, a jeśli gwałtowne rzeczy nie mają trwałości, czy nie powinniśmy wierzyć nieomylnie, że dotykamy już palcem darów losu szczęśliwego? Przestańże się tak bardzo trapić przygodami, co mnie się przytrafiają, a których najmniejsza częśćka na ciebie nie spada.

– Jak to, a ten, co go w powietrze ciskano, to nie był synem mojego ojca? A tłumoczek, co mi zabrano ze wszystkimi ruchomościami, nie do mnie należał?

– Jak to? zgubiłeś tłumoczek? – zapytał nagle Don Kichot.

– Nie wiem, czym go zgubił, ale nie znajduję go na tym miejscu, gdzie go zwykle kładę – odparł Sancho.

– Będziemy więc musieli pościć dzisiaj – rzekł Don Kichot.

– Zapewne – dodał Sancho – chyba, że znajdziemy na łąkach te zioła, na których się pan znasz, i które dla niefortunnych rycerzy, jak pan, zastępują posiłek.

– Żeby ci prawdę powiedzieć – mówił dalej Don Kichot – wolałbym kawałek razowego chleba i dwie główki sardynek, od wszystkich ziół, opisywanych przez Diostorida, nawet tych, co są umieszczone w komentarzach Matiola. Jednak wsiądź na osła, Sancho, mój synu, i jedź za mną. Bóg, który wszystkich opatrzy, i nam nie uchybi, a ponieważ usiłujemy wiernie mu służyć w tym ciężkim i trudnym zawodzie, ten, co nie zapomina o owadach w powietrzu i dba o najmniejsze robaczki pełzające po ziemi, który świeci słońcem swoim nad sprawiedliwymi i niesprawiedliwymi i rośną zarówno na złych, jak na dobrych spuszcza, nie zapomni i o nas.

– Panie – przerwał Sancho – niech mi Bóg wybaczy, ale zdaje mi się, że pan lepszym byłbyś kaznodzieją niż błędnym rycerzem.

– Błędni rycerze – odparł Don Kichot – powinni wiedzieć o wszystkim. Był niejeden pomiędzy nimi w dawnych czasach, który tak dziarsko prawił kazanie wobec armii, jakby miał stopień uczony uniwersytetu paryskiego, tak dalece prawdą jest, że miecz nie przytępia pióra, ani pióro miecza.

– A to co innego, tak to rozumiem – rzekł Sancho – niech tak będzie, jak się panu spodoba, ale oddalmy się stąd i poszukajmy noclegu na dzisiejszą noc. Daj Boże, żeby to nie było w jakim miejscu, gdzie się znajdują Maury zakłete, mulnicy, strachy, bo dalipan, jeśli ich napotkam, jestem sługą rycerstwa, ale niech go wszyscy diabli porwą!

– Módl się do Boga, on nas zaprowadzi, mój synu – rzekł Don Kichot – wybieraj pierwszą lepszą drogę, ty postaraj się tym razem o nocleg. Ale podaj no mi rękę i pomacaj palcem, ile mi brak zębów w szczęce górnej, z prawej strony, bo tam najbardziej mi ból dolega. Sancho włożył mu palce w usta i macając z góry na dół, zapytał:

– Ile pan ma z tej strony zębów?

– Cztery, nie wymieniając kła – odpowiedział Don Kichot – cztery zdrowe zupełnie.

– Panie – odparł Sancho – zważaj pan, co pan mówisz.

– Powiadam cztery, choćby nawet miało być pięć – odparł Don Kichot – bo dotychczas mi nie wrywano, a żaden mi nie wypadł.

– Och, dobrze – rzekł Sancho – masz pan właśnie półtrzecia<sup>77</sup> zęba w szczęce dolnej; co zaś do górnej, nie ma ani jednego, ani połówki, wszędzie gładko jak na dłoni.

– Jak to? – zawołał Don Kichot na tę smutną nowinę – na Boga, kto wie, czy bym nie wolał, żeby mi rękę odcięto, aby nie prawicę. Widzisz, dziecko moje, usta bez zębów, to młyn bez kamienia, i nie masz zęba, co by nie miał większej wartości od diamentu, ale cóż zrobić? Taki los nas wszystkich, którzy wyznajemy twarde prawa rycerstwa. Idź, bracie, prowadź, gdzie chcesz, podążę za tobą.

Sancho pojechał naprzód, nie oddalając się jednak od gościńca, który jakoś w tym miejscu bardzo był ubity. Postępowali z wolna, bo Don Kichot czuł wiele bólu, który ruch konia powiększał

---

<sup>77</sup> półtrzecia (daw.) – dwa i pół. [przypis edytorski]

jeszcze. Sancho chciał z nim rozmawiać, żeby mu trochę ulżyć i między innymi powiedział mu – o czym w następującym rozdziale będzie, jeśli go kto czytać zechce.

## Rozdział V

O przyjemnej rozmowie, którą Sancho miał z panem, i o spotkaniu z umarłymi, oraz innych cudownych wypadkach.

– Jeśli się nie mylę, panie – rzekł Sancho – te rozliczne nieszczęścia, trapiące nas od dni kilku, nie są czym innym, jak karą za grzech, który pan popełniłeś przeciw ustawom rycerstwa, gwałcąc ślub że dopóty pan nie będziesz spożywał chleba przy stole i innych potraw, dopóki nie zdobędziesz tej zbroi na Malandrynie, czy jak mu tam na imię, bo już zapomniałem, jak się ten Maur nazywa.

– Dobrześ powiedział, jak na ciebie – odparł Don Kichot – dobrze wcale, ale żeby nie skłamać, wyszło mi to z pamięci. I ty powinienesz wierzyć także, że ponieważ zapomniałeś mi o tym przypomnieć, miałeś przygodę z tymi welniarzami, ale nareszcie, co do mnie, naprawię ten błąd, bo w rycerstwie na wszystko są sposoby.

– A ja, panie – zapytał Sancho – czy także robiłem śluby, które mnie obowiązywać powinny?

– To nic nie znaczy – odrzekł Don Kichot – choć nie poprzysiągłeś, jesteś uczestnikiem przysięgi i musisz mieć w niej udział, choćby tylko współnictwa, toteż na wszelki wypadek trzeba to raz w życiu uporządkować.

– Ponieważ tak jest – wtrącił Sancho – nie zapomnijże pan teraz, bo może by znów przyszła ochota strachom bawić się moim kosztem albo pańskim, gdyby pana tak niepoprawnym zobaczyli.

W czasie tej rozmowy noc już nastąpiła, a nasi podróżni nie wiedzieli jeszcze, gdzie znajdują schronienie. Co jeszcze było smutniejsze, to to, że im się jeść chciało potężnie, a straciwszy tłumoczek, żadnej nie mieli przy sobie żywności. Wtem zjawiała się nowa przygoda, a raczej coś do niej podobnego. Zupełna noc nastąpiła, a oni ciągle jechali, bo Sancho mniemał, że nie zbaczając z gościńca, o milę lub o dwie natrafią na jaką karczmę. Kiedy tak dążyli w tej nadziei, giermek umierający z głodu, a pan z wielkim apetytem, ciemną nocą, spostrzegli nagle w niejakiej odległości pełno świateł, jakby gwiazd nieruchomych. O mało co Sancho nie zemdlął na ten widok, sam nawet Don Kichot nieco się zadziwił. Wstrzymali obydwaj cugle rumaków swoich, przyglądając się temu zjawisku. Wtem dostrzegają, że światełka, im bardziej zbliżają się do nich, tym bardziej się powiększają. Przestrasz Sancho potroił się, a włosy stanęły dębem Don Kichotowi, który, przyzywając jednak odwagi:

– Przyjacielu Sancho – rzekł – otóż zapewne bardzo wielka i nader niebezpieczna przygoda, gdzie będę potrzebował całej mojej odwagi.

– O, ja nieszczęśliwy! – odrzekł Sancho – znów jakaś przygoda z duchami, przynajmniej patrzy na to<sup>78</sup>, cóż poczną biedne moje boki i plecy?

– Duchy, czy nie duchy – odparł Don Kichot – ręczę ci, że ci ani włos z głowy nie spadnie. Jeśli ci ostatni raz figła spletały, to winą tego, że nie mogłem przeskoczyć przez mur od podwórka, ale teraz przecie jesteśmy na czystym polu i z całą swobodą będę mógł władać mieczem.

– A jeśli pana znów oczarują, jak wtedy się stało – rzekł Sancho – co mi po tym, czy pan będziesz na czystym lub na brudnym polu?

– Nabierz tylko odwagi – odrzekł Don Kichot – a przekonasz się, jaką będzie moja.

– Tak też zrobię, jeśli Bóg dozwoli – odrzekł Sancho.

I obaj, oddalwszy się nieco na bok, zaczęli się przyglądać tym światełkom; wkrótce zobaczyli pełno ludzi zupełnie białych. Wtedy Sancho na piękne<sup>79</sup> struchlał ze strachu i zębów szczękaniem wtórować zaczęło gwałtownemu drżeniu ciała. Przestrasz ten jeszcze się bardziej powiększył, gdy zobaczyli wyraźnie około dwudziestu ludzi konno, zdawało się na pozór w koszulach; każdy z nich

---

<sup>78</sup> patrzy na to – wygląda na to. [przypis edytorski]

<sup>79</sup> na piękne – na dobre; zupełnie. [przypis edytorski]

trzymał pochodnię w rękę i mruczał coś niskim i płaczącym głosem. Za nimi postępowała żałobna lektyka, a dalej sześciu jeźdźców czarno ubranych od stóp do głów.

Dziwny ten widok byłby przestraszył każdego o tej porze, w miejscu tak pustym, oprócz Sancha jednak, którego cała odwaga poszła w tej chwili na bory i lasy. Nie wiadomo, co by się było stało z panem jego, gdyby obłąd jego nie był mu podszeptnął, że to właśnie jedna z tych przygód, których się w książkach swoich naczał. Zdawało mu się, że w lektyce niosą zabitego lub rannego niebezpiecznie rycerza, który mu zlecił zemstę, nie bacząc więc na nic, wymierza pikę i staje na środku drogi. Kiedy się już orszak przybliżył, zawołał głosem donośnym:

– Stój, stójcie! ktokolwiek jesteście, powiedzcie mi, skąd jedziecie, dokąd i kto się w tej lektyce mieści? Zapewne wyrządziliście komu krzywdę, albo inni wam ją wyrządzili, muszę wiedzieć o tym, żeby was ukarać lub się zemścić za was.

– Spieszmy się – odrzekł jeden z jeźdźców – do gospody jeszcze daleko i nie mamy czasu zdawać panu sprawy z tego, o co się zapytujesz.

To mówiąc, wspiał muła i chciał dalej jechać. Ale Don Kichot, rozgniewany tą odpowiedzią, uchwycił za cugle muła i zawołał:

– Naucz się naprzód przystojnie<sup>80</sup> znajdować<sup>81</sup>, odpowiedz natychmiast, albo przygotujcie się wszyscy do walki ze mną.

Muł był strachliwy i tak mocny, że gdy go Don Kichot ujął za cugle, wspiał się, wierzgnął i przewalił na swojego pana. Chłopiec jakiś, który obok szedł piechotą, zaczął miotać tysiąc obelg na rycerza naszego, czym go tak dalece rozgniewał, że nie tracąc więcej czasu na daremne zapytania, wyruszył całym pędem na jednego z tych, co byli w żałobie, i obalił go na ziemię; od tego dąży do drugiego, a dziwna, jak to wszystko prędko sprawiał, zdawało się, że Rosynantowi skrzydła urosły, tak żwawo zbierał nogami. Męstwo nie było snąc rzemiosłem tych ludzi, nie byli to wojacy, toteż wkrótce popłoch ich ogarnął i zaczęli uciekać przez pole z zapalonymi pochodniami, jak owe maskary, co błazenków udają w mięsopustnej nocy. Żałobnicy, niemniej przestraszeni, a do tego nie mogąc tak żwawo zmykać w długich płaszczach, nie śmieli ani się poruszyć. Don Kichot, waląc też na wszystkie strony, pozostał panem placu bitwy bardzo tanim kosztem, bo cały ten tłum ludzi wziął go za diabła, co im chciał zabrać umarłego z trumny. Sancho jednak uwielbiał dziarskość bohatera naszego i rozumując sobie, przekonał się nareszcie, że jego pan musi być tym, za kogo się może słusznie uważać.

Po zakończeniu tej pięknej wyprawy Don Kichot, spostrzegłszy powalonego z mułem, przy blasku pochodni, która jeszcze płonęła, przyłożył mu lancę i rozkazał poddać się lub zginąć.

– Aż nadto jestem poddany – odpowiedział biedak – nie mogę się ruszać, zdaje mi się, że mam nogę złamaną. Błagam pana, jeżeliś chrześcijanin, nie zabijaj mnie. I tak popełniłbyś świętokradztwo, bo jestem bakałarzem i pierwsze święcenie już odbyłem.

– Cóż tu u diabła asana sprowadza – zagadnął Don Kichot – kiedy jesteś duchowną osobą?

– Niestety, jak widzisz, panie!

– Niestety to być może jeszcze dotkliwsze, jeśli nie odpowiesz w tej chwili na wszystkie moje zapytania – rzekł znów Don Kichot.

– Nie tak to trudno – odparł bakałarz – Cóż panu powiem? Nazywam się Alonzo Lopez, rodem z Alkowendys, wracam z Basa z jedenastu księżmi tymi właśnie, co to uciekli. Wyprowadzaliśmy ciało szlachcica jednego, co niedawno zmarł w Basa, i chciał, żeby go pochowano w Segowii, w miejscu jego urodzenia.

– Któż zabił tego szlachcica? – zapytał z gniewem Don Kichot.

– Bóg – odparł bakałarz. – Bóg gorączką trawiącą, którą zesłał na niego.

– Kiedy tak się rzecz ma – wtrącił nasz rycerz – Pan Bóg uwalnia mnie od obowiązku pomsty za jego śmierć, gdyby go kto z ludzi był zabił ale ponieważ to Bóg, trzeba milczeć i poddać się jego

---

<sup>80</sup> przystojnie – jak przystoi; przyzwoicie. [przypis edytorski]

<sup>81</sup> znajdować się – tu: zachowywać się. [przypis edytorski]

najświętszej woli. Dowiedźże się teraz, mości bakałarzu, że jestem rycerz z Manchy, nazywam się Don Kichot, i że moim powołaniem jest jeździć po świecie dla pomsty krzywd i karcenia zniewag.

– Nie wiem, jaką to moją krzywdę pomściłeś pan – odparł bakałarz – ale to wiem, żeś wyrządził krzywdę mojej nodze, która przedtem była prosta zupełnie. Szukając przygód po świecie, najgorszą z nich mnie sprawiłeś, co nie myślałem nigdy o panu.

– Na tym świecie nie wszystko tak idzie, jakby się pragnęło – rzekł Don Kichot – całe zło polega mianowicie na tym, że nie powinniście włóczyć się po nocach w tych długich płaszczach żałobnych, z zapalonymi pochodniami, mruczając przez zęby i pod nosem, podobni jesteście do ludzi z tamtego świata. Widzisz więc waszmość, że nie mogłem nie natrzeć na was i natarłbym był, choćbyście byli nawet istotnymi diabłami, za jakich was miałem z miny i czupryny.

– Nareszcie – rzekł bakałarz – ponieważ nieszczęście tak mieć chciało, trzeba się pocieszać, błagam cię tylko, mości błędny rycerzu, żebyś mi pomógł wydostać się spod tego muła.

– Czemużeś mi waszmość pierwiej tego nie powiedział – rzekł Don Kichot – czekałeś, żebym zgadł?

Zawołał natychmiast Sancha, który się jednak nie bardzo spieszył, bo zdejmował z muła jednego żywność, o której nie zapomnieli ci dobrzy księża. Zrobił z kaftana swojego gatunek worka i pakował, co tylko się mogło zmieścić. Potem pobiegłszy, rzekł do pana:

– Do diabła, panie, nie można być razem w młynie i w piecu.

Don Kichot kazał mu podnieść bakałarza, co skuteczniał i wsadziwszy go na muła, oddał mu pochodnię. Don Kichot pozwolił mu udać się za towarzyszymi, których polecił mu przeprosić, nadmieniając, że inaczej nie mógł sobie postąpić.

– Panie – rzekł Sancho – jeśli przypadkiem, który z tych panów zapyta się waszmości, kto jest ów dzielny rycerz, co ich tak gracko poturbował, powiesz im, że to sławny Don Kichot z Manchy, inaczej zwany Rycerzem Posępnego Oblicza.

Gdy bakałarz odjechał, Don Kichot zapytał się Sancha, co to miał znaczyć ów Rycerz Posępnego Oblicza.

– Przyglądałem się panu przez czas niejaki przy blasku pochodni, którą trzymał ten biedak – odparł Sancho – i po prawdzie nigdy mi się nic podobnego nie zdarzyło widzieć. Czy to ze znużenia, czy też z powodu tego braku zębów?

– Nie rozumiesz dlaczego – rzekł Don Kichot. – Mędrzec, co ma kiedyś opisać dzieje moje, uznał za właściwe, żebym miał przydomek, jak wszyscy dawni rycerze; jeden się nazywał Rycerzem Ognistego Miecza, drugi Feniksa, trzeci Grifona, czwarty Śmierci i cała ziemia знаła ich pod tymi nazwami. Zapewne to ten mędrzec natchnął cię, że mi dałeś przydomek Posępnego Oblicza, który teraz nosić zamyślam. Nawet jestem gotów kazać wymalować na tarczy jakie oblicze.

– Dalipan – rzekł Sancho – szkoda pieniędzy, panie, niech się pan tylko pokaże, częste posty nasze i smutne położenie pańskich zębów taką dziwną nadaje panu minę, że nie ma malarza, co by ją zdołał uchwycić. Wszyscy ci, co cię zobaczą, natychmiast dadzą ci przydomek „posepnego oblicza”, niech to pana nie obraża.

Don Kichot roześmiał się z żartów swojego giermka i postanowił na dobre przyjąć ten przydomek i kazać go za pierwszą sposobnością<sup>82</sup> wymalować na tarczy.

– Ale wiesz, Sancho – dodał – że jestem nieco w kłopotcie, boję się, żeby mnie nie wyklęto za to, że rękę położyłem na duchownym. Nie dotknąłem go wprawdzie ręką, ale laną, i nie przypuszczałem, żeby to byli księża, których czczę i poważam, ale duchy i mieszkańcy tamtego świata. Choćbym zresztą i wiedział, przypominam sobie, co się przytrafiło Cydowi Ruy Dias, kiedy porąbał w kawałki stołek ambasadora w przytomności papieża, który go za to wyklął.

Bakałarz odjechał, jak już powiedziałem, nie pisnąwszy ani słówka; Don Kichotowi przyszła ochota zajrzeć do trumny nieboszczyka, ale Sancho oparł się temu, mówiąc:

---

<sup>82</sup> za pierwszą sposobnością – przy pierwszej sposobności. [przypis edytorski]

– Pierwsza to przygoda, z której wyszliśmy cało jakoś, dajmy więc sobie pokój. Skoro ci ludzie zobaczą, że tylko jeden rycerz tak ich srodze poturbował, gotowi jeszcze powrócić i dać się nam we znaki. Osioł mój w dobrym jest stanie, jesteśmy u stóp góry, głód nam dokucza, zrejterujmy więc dziarsko, niech umarli, jak to mówią, idzie do ziemi, a zdrowy do karczmy.

To mówiąc, zaczął pędzić osła przed sobą i prosił pana, żeby z nim szedł, czego też ten i usłuchał, widząc, że Sancho miał poniekąd słuszność.

Idąc tak przez pewien czas między dwoma wzgórzami, wyszli na dolinę; tam Don Kichot zsiadł z konia, rozciągnęli się na świeżej murawie i zjedli śniadanie, obiad, podwieczorek i wieczerzę zarazem, z dobrym apetytem, bo Sancho znalazł obficie żywności w torbach księży, którzy zazwyczaj o potrzebach żołądka nie zapominają. Ale umierali z pragnienia, a nie mieli ani kropli wody do odwilżenia gardła. Sancho, zauważywszy, że znajdowali się na łące, gdzie trawa była bardzo świeża; dał radę nader zdrową panu swojemu, ale która nie tak bardzo skutkowałą, jakby się spodziewać należało, co zobaczymy w następnym rozdziale.

## Rozdział VI

O najdziwniejszej przygodzie, jaka się kiedykolwiek przytrafić mogła błędnemu rycerzowi, a z której Don Kichot wyszedł bez wielkiego szwanku.

Sancho, któremu pragnienie srodze dokuczało, rzekł do pana:

– Trawa, na której spoczywamy, tak mi się wydaje miękką i świeżą, że tu z pewnością w pobliżu strumyk jaki musi się znajdować. Toteż poszukawszy trochę, może go znajdziemy i ukoimy to pragnienie, trudniejsze do zniesienia od głodu.

Don Kichot uwierzył mu i ująwszy Rosynanta za uzdę, a Sancho osiołka za postronek, zaczęli postępować omackiem, bo ciemno było bardzo. Zaledwo ze dwieście kroków postąpili, gdy usłyszeli nagle ogromny szum, jakby pieniaący się potok spadał z wysokiej bardzo góry. Ucieszyło ich to bardzo, a kiedy słuchali, w której stronie, posłyszeli nagle hałas jakiś; to zmniejszyło im przyjemność pierwszego wrażenia, zwłaszcza też Sanchowi, co nie był bardzo odważny z natury. Były to, jakby jakieś uderzenia silne z brzękiem łańcuchów i żelastwa, a do tego szum potoku dołączywszy, taki przerażający był hałas, że każdy inny, prócz naszego bohatera, byłby się był przeląkł. Noc była ciemna, przypadkiem weszli pod jakieś rozłożyste drzewa, których liśćmi i gałęziami świeży wiatr poruszał. Wszystko to przyczyniało się do ich bojaźni, tym bardziej, że nie wiedzieli, gdzie się znajdują, a do świtu było jeszcze bardzo daleko. Ale nieustraszony Don Kichot, zamiast się obawiać, wskoczył lekko na Rosynanta i ściskając tarczę w dłoni, zawołał:

– Przyjacielu Sancho, niebo snąc mnie przeznaczyło, żebym wiek złoty w tym żelaznym przeklętym wieku przywrócił; na mnie to oczekują wielkie czyny i niebezpieczne przygody, ja to, jeszcze raz ja, zatrę pamięć rycerzów okrągłego stołu, dwunastu parów Francji, Oliwantesów, Belianisów, Rycerzy Słońca i tej niezliczonej liczby rycerzy z czasów ubiegłych; przy moich czynach ich sława zbiednieje. Widzisz dobrze, kochany a wierny mój giermku, jak noc ta jest ciemna, milczenie głębokie, okropny szum wody, której nam potrzeba, dziwny szelest drzew, najmniejsza rzecz taka zadziwiłaby samego Marsa, a ileż dopiero ludzi nieprzywykłych do takich przygód! A jednakże to są bodźce tylko do pobudzenia męstwa, mojego, czuję to bicie serca przyjemne przed niebezpieczeństwem, na które się tym chętniej narażę, im się większe i okropniejsze na pozór wydaje. Zapnijże popręgi Rosynantowi i pozostań tu pod Opatrznością Boską. Jeśli za trzy dni nie powrócę, będziesz mógł powrócić do wioski naszej, skąd będziesz łaskaw udać się do Tobozo, gdzie oznajmisz niezrównanej mojej Dulcynei, że rycerz-niewolnik jej wdzięków zginął, bo chciał wielkich czynów dokonać, żeby się jej stać godnym.

Sancho, usłyszawszy go w ten sposób mówiącego, zaczął najserdeczniej szlochać i rzekł mu:

– Nie wiem, dlaczego pan chcesz się narażać na tak okropną przygodę. Teraz noc, nikt nas nie widzi, zejdźmy śmiało z drogi i uniknijmy niebezpieczeństwa, choćby nam przez trzy dni z rzędu nic pić nie wypadło, a ponieważ nie będzie świadka naszej rejterady<sup>83</sup>, nikt nam nie zarzuci tchórzostwa. Słyszałem często, jak proboszcz nasz mówił, że ten, co szuka niebezpieczeństwa, ginie od niego najczęściej; nie kuś pan Pana Boga, podejmując wyprawę, z której bez cudu nie potrafisz się wydostać. Czyż nie dość, że poturbowany srodze w karczmie, wyszedłeś zdrów i cały z walki, która temu pogrzebnemu orszakowi wydałeś? Ale jeśli to wszystko nie zdoła wzruszyć twojego serca ze skały, niechże się to serce wzruszy dla mnie przynajmniej; pamiętaj panie, skoro się oddalisz, gotów jestem ze strachu oddać duszę moją pierwszemu lepszemu, co jej zażąda. Czy zapomniałeś, panie, że opuściłem chatę swoją, żeby iść z tobą, że porzuciłem żonę i dzieci, żeby oddać się tobie, i że tym sposobem, oprócz zaszczytu służenia u ciebie, panie, mniemałem, że na tym ja i oni skorzystają. Ale widzę teraz jasno: lepszy wróbel w ręku, niż żuraw na dachu. Wszystkie nadzieje moje spełzyły na

---

<sup>83</sup> *rejterada* – ucieczka [przypis edytorski]

niczym jeszcze wtedy, kiedy mniemałem dzierżyć oną wyspę, którą mi pan tak często obiecywałeś, i za całą nagrodę chcesz mnie pan samego w jakimś miejscu, gdzie nie ma ludzi, nawet kawałka bydłęcia nie znajdzie. Na miłość Boską, jaśnie oświecony mój panie i władco, nie bądź pan tyle okrutnym, a jeżeli już koniecznie przedsięwziął tę przeklętą wyprawę, zaczekaj przynajmniej do dnia. Trzy tylko godziny jeszcze czekać trzeba, jak tego nauczyłem się będąc pasterzem, bo właśnie usta małej niedźwiedzicy mamy nad głową, oznacza to północ w kierunku lewej ręki.

– No, mój biedny Sancho – odparł Don Kichot – jakże ty możesz widzieć te usta i ten kierunek, kiedy noc tak ciemna, że ani jednej gwiazdy nie widać na niebie?

– To prawda – odparł Sancho – ale strach ma duże oczy, które jasno widzą, a zresztą nieźle to wiedzieć o tym, że wkrótce dzień zacznie.

– Niech dnieje lub nie dnieje nigdy – rzekł Don Kichot – nie chcę, ażeby powiedziano, że łyzy czyjekolwiek i prośby odwiodły mnie od wypełnienia obowiązku mojego. Wszystko więc, co powiedział, Sancho, na nic się nie przyda. Niebo, które mi wlało w serce zamiar doświadczenia tej ogromnej przygody, potrafi mnie z niej wyprowadzić i będzie dbać o ciebie po mojej śmierci. Polecam ci tylko dobrze osiodłać Rosynanta i czekać tu na mnie, powrócę wkrótce żywy lub umarły.

Sancho widząc, że postanowienie pana nieodwołalne, że łyzy jego i prośby na nic się nie zdadzą, spróbował zręcznego fortelu, którym by mógł zmusić pana do pozostania, mimo jego chęci i na przekór woli, aż do dnia. Zanim więc podpiął popręgi Rosynantowi, cichaczem związał mu postronkiem od osła zadnie nogi. Don Kichot wsiadł na konia i chciał jechać, Rosynant, zamiast naprzód ruszać, skakał tylko.

– No cóż, panie – zapytał Sancho – zachwycony swoim pomysłem – widzisz pan, że niebo za mną się ujęło, nie chce, żeby Rosynant stąd wyruszył, a jeśli się pan uweźmiesz dręczyć to biedne stworzenie, gotowa się jeszcze fortuna naprawdę rozgniewać na pana.

Don Kichot wściekał się w sercu, ale widząc, że im bardziej wspinał Rosynanta, tym ten mniej zdawał się mieć ochoty do pośpiechu, postanowił doczekać się dnia i lepszego humoru rumaka, ani się dorozumiewając, że to wierny giermek figla mu tego wypłatał.

– Ponieważ tak chce Rosynant – powiedział – muszę poczekać, mimo szczerzej przykrości, jaką mi to sprawia.

– I cóż w tym tak złego? – zagadnął Sancho – będę panu opowiadał bajki, zobowiązując się dostarczyć ich panu aż do białego dnia. Może wielmożność wasza raczy zsiąść z konia i zdrzemnąć się nieco na świeżej trawce, co jest zwyczajem błędnych rycerzy. Będziesz pan świeższy i dzielniejszy do tej wyprawy.

– Ja spać, z konia zsiadać! – rzekł Don Kichot – czyż to należą do tych rycerzy, co spoczywają, kiedy walczyć należy? Śpij ty, coś się urodził na spanie, albo rób co chcesz. Co do mnie, wiem, jak mam postąpić.

– Nie gniewaj się, panie, ja tylko tak na żarty powiedziałem – rzekł Sancho. I zbliżając się do pana, położył jedną rękę na przodzie, drugą na tyle kulbaki i przyczepił się, jakby przylepił, do lewej nogi pana, tak go przestraszyły owe hałaśliwe razy, które ciągle słyhać było.

– Powiedz jaką bajkę – rzekł pan.

– Powiedziałbym z całego serca – odpowie Sancho – lecz hałas, który słyszę, przeszkadza mi będzie, bo, na mój honor, panie, nie chcąc kłamać, wyznam, że jestem cokolwiek w strachu. Z tym wszystkim przecież postaram się opowiedzieć wam najciekawszą historię, jaką kiedykolwiek słyszeliście; nie wiem tylko, czy zdołam ją dokładnie przypomnieć sobie i czy będziecie mieli dosyć cierpliwości wysłuchać mego opowiadania. Słuchajcie więc, bo oto zaczynam.

Jak było, tak i było: dobre jest dla wszystkich, a złe dla tego, który go szuka. Zauważcie tylko, proszę was, panie, że starożytni nie zaczynali nigdy swych powieści, jak dziś je zaczynają, lecz rozpoczynali zazwyczaj od przysłowia niejakiego Katona, cenzora rzymskiego, który to właśnie utrzymywał, że złe jest tylko dla tego, który onego szuka, a to właśnie, jak raz dobrze przypada na przestrozę dla waszej wielmożności, by siedziała spokojnie i nie budziła licha, które śpi, a nade

wszystko, że uczynilibyśmy najlepiej, gdybyśmy, obrawszy sobie inną drogę, porzucili tę, na której bez zawodu wszyscy diabli nas oczekują.

– Ty ciągnij tylko dalej swoje opowiadanie, a drogę i jej kierunek mnie pozostaw.

– Mówiłem więc – rzecze Sancho – że w pewnym miejscu, w Estramadurze, był sobie pasterz kóz, to ma znaczyć, panie, taki, który kozy pasał, a który to właśnie pasterz albo pasący kozy, jak chce mieć historia, nazywał się Lopez Ruiz i nadto ten pasterz, Lopez Ruiz, zakochany był, jak się mówi, w pewnej pastercie, nazwanej Toralva, która to właśnie pasterka, nazwana Toralva, była córką bogatego pasterza, który posiadał bardzo liczną trzodę.

– Jeżeli obrałeś sobie ten sposób opowiadania – przerwał Don Kichot – i będziesz powtarzał ustawicznie jedną rzecz dwa razy, to i za dwa dni nie skończysz; opowiadaj więc powieść swoją lepiej lub nie kończ jej wcale.

– Wszystkiec nowości u nas opowiadane są w ten sposób – odrzekł Sancho – i ja też nie umiem opowiadać inaczej, a i wam, panie, cieszyć by się należało, że nie wprowadzam nowych zwyczajów.

– Opowiadaj wreszcie, jak sobie chcesz – rzecze Don Kichot – i ponieważ mój los fatalny każe mi słuchać twej mowy, mówże więc dalej.

– Wiadomo wam już przeto, kochany mój panie – ciągnął dalej Sancho, – że ów pasterz, jak to już powiedziałem, zakochany był w pastercie Toralva, młodziuchnym, okrągłuchnym stworzeniu, ale dzikim i trudnym do ugłaskania, a która, jakby coś męskiego w sobie mając, na brodzie nawet zarastała niby. Zdaje mi się, jakbym ją widział w tej chwili przed sobą.

– Alboż widziałeś ją kiedy istotnie? – zapytał Don Kichot.

– Ja? nigdy – odpowiedział Sancho – ale ten za to, od którego ja tę powieść słyszałem, tak był pewny tego, co widział, że ja, opowiadając innym znów, mogę już śmiało poprzysiąc, że wszystko widziałem na własne oczy. Otóż tedy więc, od dnia do dnia, jak to powiadają, a diabeł, który nie śpi i rad wścibia się wszędzie, uczynił, że kochankowie pokłócili się z sobą, a zatem, i miłość pasterza w nienawiść się zamieniła, złe języki utrzymywały, że powodem do tego wszystkiego była Toralva, że jakoby ona do słusznej zazdrości widoczne dawała mu powody, ale to dawała, święta Panno! odpuść. Odtąd już pasterz kóz znienawidził ją do tego stopnia, że znieść jej widoku samego nawet nie mogąc, postanowił oddalić się w tak odległe miejsce, ażeby o niej już w życiu nie usłyszał więcej. Tak postanowił, tak też i uczynił, ale Toralva, widząc się pogardzoną od Lopeza Ruiz, rozmyślała się w nim bardziej niż kiedykolwiek.

– Otóż to właśnie prawdziwy charakter kobiet – przerwał znów Don Kichot – pogardzają rozmyślowanym kochankiem, a kochają tego, który im nienawiść okazuje, ale mów dalej, Sancho.

– I przyszło wreszcie do tego – ciągnął znów Sancho – że pasterz odszedł, pędząc swe kozy przed sobą i skierował się przez pola Estramadury prosto ku portugalskiemu królestwu. Ale i Toralvie nie brakło sprytu, domyśliła się wszystkiego i zaraz tedy za nim w pogoń bosa, w jednej ręce trzymając trzewiki, a w drugiej kij podrózny; na szyi zawiesiła woreczek, gdzie, jak powiadają, to kawałek zwierciadła, to pół grzebienia, więc i pudełeczko z różem i inne cacka do upiększenia miała. Ale co miała, to miała, mnie to nic nie obchodzi. Koniec końcem, pasterz Lopez Ruiz ze swoją gromadą kóz przybył nad brzeg Guadyany w czasie, gdy rzeka ta ogromnie wezbrana była, duża jak ojciec i matka razem, a w stronie, gdzie pasterz znajdował się, właśnie nie było ani statku, ani czołna nawet, ani żywego ducha, aby przeprowadzić jego i trzodę. Umierał więc biedak z niepokoju, bo czuł Toralwę tuż za sobą, która by go do wściekłości doprowadzić mogła płaczem i krzykiem swoim. Na koniec jednak, patrząc się na wszystkie strony, dostrzegł przecież rybaka, który miał małą łódkę, ale tak małą, że w niej tylko jednego człowieka i jedną kozę pomieścić było można. Pomimo to jednak, w pośpiechu zawarł z rybakiem umowę o przeprowadzenie siebie i swoich trzystu kóz. Rybak tedy przyprowadził statek i przewiózł jedną kozę, powrócił i przewiózł znów drugą, powrócił znów i przeprowadził trzecią. Wreszcie, panie – mówił dalej Sancho – liczcie dobrze, bardzo proszę, ile rybak przeprowadza kóz, gdyż ostrzegam was, że jeśli choćby o jedną tylko pomyłka zaszła, cała historia się kończy i diabeł wie tylko, gdzie jej wątku szukać by potrzeba. Otóż ponieważ przeciwny brzeg rzeki był bardzo śliski i

pełen błota, każda przeprawa rybaka i kozy trwała dość długo, ale jednak, że szło jakoś tam powoli i rybak przewiózł znów jedną kozę i jeszcze jedną, a potem jeszcze jedną znów...

– I czemuż nie powiesz od razu, że przeprowił je wszystkie – rzekł Don Kichot – a wodząc tak tam i sam po kolei każdą, nie skończysz i przez miesiąc pewnie.

– A wiele już jest przeprowionych kóz w tej chwili? – zapytał Sancho.

– A diabliż je wiedzą – odrzekł Don Kichot – czy myślisz, że ja rachowałem?

– Otóż stało się, jak przewidziałem – rzekł Sancho – nie chciałeś pan liczyć, więc i moja powieść skończona, niepodobna przeskoczyć dalej.

– Co, jak to? – zawoła Don Kichot – czy podobna, aby powieść zależała od dokładnego liczenia kóz przewiezionych tak dalece, iżby pominięcie jednej chociażby zatrzymało opowiadanie?

– Tak jest, panie – odpowiedział Sancho – bo w tym samym czasie, gdy pytałem was, ile kóz zostało przeprowionych, i jak odpowiedzieliście mi na to, że nie wiecie ile, w tej samej chwili zapomniałem wszystko, co miałem jeszcze do opowiedzenia, a prawdziwie szkoda wielka! bo reszta była najciekawsza.

– Takim sposobem więc – rzecze Don Kichot – historia już umarła?

– Umarła, jak moja matka – odrzekł Sancho.

– W samej rzeczy, przyjacielu Sancho – rzecze dalej nasz rycerz – to jakaś osobliwsza powieść i sposób opowiadania najdziwaczniejszy także. Ale i czegoż więcej mogłem spodziewać się od twego dowcipu<sup>84</sup>, bez wątpienia ten ustawiczny hałas pomieszał ci w głowie.

– To być bardzo może – odrzekł Sancho – chociaż co do powieści, to jestem pewny, że ta zawsze się przerwie, gdy zabraknie liczby kóz.

– Niech się tam przerywa i kończy, jak sobie chce – przerwał Don Kichot – zobaczymy raczej, czy Rosynant chce iść wreszcie.

To mówiąc, uderzył w obydwaj boki rumaka, lecz ten odpowiedział mu tylko jednym skokiem, tak dzielnie spętał go Sancho.

Jednakże, bądź to skutkiem chłodnego nocy powietrza, bądź, że Sancho wieczierając, zjadł coś rozwalniającego, bądź wreszcie skutkiem energicznego samejże natury działania, nasz giermek uczuł nagle, że nie utrzyma dłużej ciężaru, którego pozbyć się tylko własnym mógłby usiłowaniem; ale strach, powstrzymując go na miejscu, nie dozwolił mu oddalić się ani na krok jeden od swego rycerskiego pana. Jednakże trzeba było coś przedsięwziąć w tak pilnej potrzebie. Ostateczność była już blisko, pełen postanowienia przeto nasz giermek, chcąc pogodzić rzeczy ile możliwości zręcznie, wymknął prawą rękę spod siodła, którą trzymał dotąd, i z odwagą odpiął wszystkie guziki od spodni; tak uwolniony z krępującego jego naturalne kształty powicia, chcąc nade wszystko cichością pokryć swe czyny, zacisnął zęby i ramiona zwarłszy, zatrzymał w piersiach tchnienie; lecz niestety, acz słaby odgłos, odmienny atoli najzupełniej od słyszanego dotąd łoskotu, zdradził tajemnicę.

– Cóż to usłyszałem? – zawołał nagle Don Kichot.

– Nic nie wiem, panie – odrzekł rezolutnie Sancho – lecz zapewne będzie to jakiś nowy figiel szatański, boć takie straszne przygody nie kończą się na małym.

Rycerz poprzestał na tym, a Sancho mógł nowe rozpocząć usiłowania, które tym razem przecie pomyślny uwieńczył skutek, pozbawiając biednego giermka bolesnego i niewygodnego ciężaru. Lecz Don Kichot miał nazbyt delikatne powonienie i Sancho mu był za bliskim sąsiadem, ażeby podnoszący się jakiś wyziew, nie ostrzegł go o grożącym niebezpieczeństwie. Zapobiegając przeto złemu jak najrychlej, ścisnął skwapliwie nos palcami i rzecze:

– Sancho, zdaje mi się, że jesteś wielce przestraszony?

– Prawda, panie, czuję wielką trwogę, ale dlaczego postrzegacie to teraz bardziej niż przedtem?

---

<sup>84</sup> *dowcip* (daw.) – inteligencja, rozum, spryt. [przypis edytorski]

– Bo przedtem nie czułem cię tak blisko siebie jak teraz, a wierz mi, przyjacielu Sancho, że nie bursztynem czuć ciebie<sup>85</sup>.

– To być bardzo może – odrzekł Sancho – lecz czyliż w tym moja wina? dlaczego pan mnie trzyma w takim miejscu i o tej godzinie?

– Oddał się, mój przyjacielu, choć o trzy lub cztery kroki ode mnie i koniecznie staraj się więcej baczyć nad sobą i pamiętać o stopniu, jaki nas przedziela. Widzę ze smutkiem, że zbyt wielka swoboda, jaką ci zostawiłem, pozwoliła ci zapomnieć, czym jesteśmy względem siebie.

– Założę się – wyrzekł Sancho – że wasza wielmożność posądza mnie o popełnienie pewnego niegodziwego czynu?

– Co bądź, to bądź – rzecze Don Kichot – oddał się, powtarzam raz jeszcze.

– Mniejsza o to – odpowiedział Sancho – rozkaz wasz spełnię, ale to nie odmieni rzeczy.

Rycerz nasz z giermkim przepędzili noc na podobnych rozmowach i ten ostatni widząc, że już dzień zaczyna, uporządkował swój ubiór i powolutku rozpętał golenie Rosynanta, który z rozkoszy stanął dwa lub trzy razy dęba, co wreszcie nie było mu zwyczajem; lecz biedny zwierz uczyniłby chętnie jeszcze inne skoki, gdyby je umiał, tak ucieszyła go przywrócona wolność. Rycerz, widząc rumaka już zdolnego do biegu, wziął stąd dobrą wróżbę, sądząc, że los tym znakiem zachęca go do śmiałego przeciw zadziwiającej przygodzie kroku. Powoli też i dzień rozwidnił przedmioty, i Don Kichot ujrzał wkoło siebie las kasztanów, lecz nie mógł pojąć, skąd pochodził nieustający łoskot. Postanowił przeto zbadać przyczynę dziwu, nie czekając dłużej; jakoż spał ostrogami Rosynanta, chcąc go rozbudzić zupełnie, pożegnał powtórnie swego giermka, powtarzając mu rozkaz, iżby trzy dni oczekiwał na niego bez niespokojności; skoro by jednakże nie powrócił w tym czasie, wtedy niezawodnie utracił życie w straszliwej przygodzie. Ponowił mu zlecenie, jakie miał zanieść Dulcynei od niego, dodając, żeby nie troszczył się o nagrodę swych zasług, gdyż przed wyjazdem jeszcze z domu uczynił testament, który zabezpieczy przyszłość jego w stosunku położonych usług.

– Lecz jeżeli podoba się niebu – mówił dalej – wyprowadzić mnie cało z tej straszliwej sprawy, jeżeli zwłaszcza czarnoksiężnicy nie będą mieszać się do walki, to wierz mi, moje dziecko, że najmniejszą nagrodą twej służby będzie wyspa owa, którą ci już przyrzekłem.

Na tak czułe pożegnanie swego pana Sancho nie mógł powściągnąć łez i głośno szlochając, przysiągł towarzyszyć mu w tym przedsięwzięciu, chociażby śmiercią miał zapłacić swą śmiałość. Tak chwalebne postanowienie, dowodzące nadto, że giermek jego nie był tuzinkowym giermkim, rozrzewniło rycerza, lecz ukrywając wzruszenie, by nie okazać najmniejszej słabości, skierował się niebawem w stronę, gdzie szum wody i wielki łoskot przyzywały go groźnie. Sancho postępował pieszo za swoim panem, wiodąc za sobą wiernego wszystkich swych przygód towarzysza.

Postępując czas jakiś wśród kasztanowego lasu, przybyli na łąkę otoczoną skałami, z których wierzchołka rzucał się potok z hałasem, co ich już poprzednio dochodził, u podnóża skał stało kilka mizernych chat, podobniejszych do ruder, niż do mieszkalnych domów, i z których właśnie pochodziły straszliwe hałasy i łoskoty, wciąż trwające jeszcze. Bliski i tak wielki szum przeraził Rosynanta, lecz mężny rycerz, głaszcząc go dłonią i do odwagi wzbudzając, zbliżał się coraz bardziej ku tajemniczym budynkom; w drodze to przyzywał pamięci Dulcynei, błagając, by, acz nieobecna, wspierała ramię jego w oczekującej walce, to znów Panu Bogu się ofiarując, o wsparcie i opiekę Go prosił. Rezolutny też giermek na krok nie odstępował rycerza, postępując przy jego boku, wyciągał szyję i przez nogi Rosynanta ciekawie pozierał, azali nie ujrzy jakiej rzeczy straszliwej, która już takim nabawiła go przerażeniem. Zaledwie uczynili sto kroków jeszcze i przebyli wierzchołek skały, który wystając nieco, zakrywał okolice, gdy oto nagle na otwartej przestrzeni zobaczyli dokładnie przyczynę całego szumu i łoskotu, który niepokoił ich tak straszliwie. Było to, jednym słowem, sześć młynów w ciągłym ruchu będących od dnia poprzedniego. Na taki widok oniemiały Don Kichot spadł jakby z siódmego nieba. Sancho spoglądał na pana i ujrzał go spuszczonego głowę z miną człowieka

---

<sup>85</sup> *nie bursztynem czuć ciebie* – sproszkowany bursztyn dodawany jest do kadzideł kościelnych. [przypis edytorski]

przejętego wstydem i zgryzotą. Don Kichot również spojrział na giermka i zobaczywszy policzki jego wydęte wstrzymywanym gwałtownie śmiechem, sam od śmiechu pohamować się nie mógł. Sancho zachwycony i upoważniony przykładem pana, wybuchnął niepowściągniętym śmiechem, trzymając się za boki; czterykroć przestawał i rozpoczynał wybuchy szalonego śmiechu. Najbardziej znieczierpliwiło zawstydzonego rycerza, że Sancho, patrząc mu w oczy z miną komicznie poważną, patetycznie wyrzekł:

– „Dowiedz się, przyjacielu Sancho, że niebo przeznaczyło mnie, abym przywrócił wiek złoty w tym przeklętym żelaznym stuleciu, wielkie czyny i straszne przygody na mnie oczekują” – i tymże samym tonem powtarzać począł wszystko, co powiedział doń rycerz, gdy usłyszeli po raz pierwszy łoskot młynów, lecz rozgniewany rycerz przerwał zuchwałę żarty giermka, pochwycił włócznię i po dwakroć uderzył nią w kark Sanchy tak silnie, że gdyby go trafił w głowę, biedny giermek nie oglądałby już pewnie nigdy obiecanej wyspy.

Sancho tedy, spostrzegłszy tak bolesny obrót rzeczy, pełen obawy, aby rycerz dłużej nie chciał dawać dowodów gniewu swego, rzecze doń płacząco:

– Panie! chcecież mnie zabić? nie widzicież, że ja żartuję tylko.

– Dlatego właśnie, że ty pozwalasz sobie żartować, ja żartować przestaję; zbliż no się tu mości żartownisiu, a gdyby ta przygoda, która wprawdzie skończyła się na niczym, była istotnie straszną, to czyliż nie okazałbym wtedy tej samej odwagi i poświęcenia, jakie w dobrej wierze okazałem na próżno przed chwilą. Czyliż taki rycerz, jak ja, może mieć poziomą zdolność rozróżniania odgłosów, które słyszy, i zgadywać, czy one od młynów i tartaków lub skądinąd pochodzą, gdy zwłaszcza młynów podobnych nie widział nigdy? Rzeczą to jest raczej takiego mizernego chłopca, jak ty, poznawać przedmioty, wśród których zrosłeś i chowałeś się z nimi pospołu; lecz spraw no, niech te sześć młynów w sześciu olbrzymów się zamieni i daj mi ich jednego po drugim lub wszystkich razem nawet, a jeżeli nie oddam ci ich wszystkich, każdego bez głowy, pozwalam ci wtedy żartować bezkarnie do woli.

– Panie – zawołał Sancho – poprzestałbym już na tym, przyznaję, że nie umiem żartować, mam tego dotykalne dowody; lecz w dobrej wierze, przy obustronnej zgodzie, prosząc Pana Boga, by was z każdej złej doli wyprowadził tak pomyślnie, jak z tej przygody, pytam się jednakże: czy nie mamy powodu śmiać się i nie moglibyśmy opowiedzieć doskonałej anegdoty o strachu, jakiego doznaliśmy, a raczej doznałem ja tylko, bo co do was, panie, jestem przekonany, że nie znacie bojaźni.

– Zgadzam się – odeprze Don Kichot – że wydarzenie, jakie nas spotkało, ma w sobie coś zabawnego i do śmiechu powód dać może, ale opowiadać tego nikomu nie można, ponieważ świat jest złośliwy i nie osądziłby rzeczy z właściwego punktu.

– Na moją duszę, panie – rzecze Sancho – nikt nie śmiałby wobec was sądzić tej przygody z tego lub owego punktu; macie, panie, dobrą włócznię i władacie też nią tak dzielnie; szkoda tylko, że mierząc w głowę, po karku trafiać, chociaż i to nie tyle waszej winie, ile mojej zręczności przypisać należy, gdy mniej ostrożny dostałby porządnego guza, ale to mniejsza, człowiek się wysmaruje i wszystko złe przejdzie, a jak to powiadają, kto kogo bardzo lubi, to go tego czubi, nie licząc jeszcze na to, że dobry pan za każdą obrazę słudze uczynioną spodniami go obdarza, choć w samej rzeczy nie wiem, jaka służy nagroda za wybicie kijem, myślę jednakże, że błędni rycerze za taką rzecz bolesną wyspami lub pięknym królestwem na stałym lądzie wynagradzali.

– Posłuchaj – przerwie Don Kichot – los może sprawić, że twoje życzenia ziszczą się w pewnym stopniu; w każdym razie jednak przebac mi to, co się stało; wiesz dobrze, że człowiek nie jest panem siebie, w pierwszej chwili zwłaszcza, lecz muszę cię zarazem ostrzec, ażebyś na przyszłość nie pozwalał sobie zbyticznej poufałości ze mną; widzisz, mój chłopcze, we wszystkich rycerskich księgach, które czytałem, a było ich bardzo wiele, nie widziałem w żadnej opisu giermka, który by tyle pozwalał sobie względem swojego pana, jako ty względem mnie czynisz, i prawdę mówiąc, obydwaj zbłądziliśmy: ty, że nie miałeś należytego dla mnie uszanowania, ja, że sobie nie umiałem nadać przyzwoitego tonu, bo na koniec, jakkolwiek Gandalin, giermek Amadisa, był hrabią de l'ile-

Ferme, napisano jednakże jest o nim właśnie, że mówił zawsze do swego pana z głową odkrytą i schyloną, i ciałem zgiętym ku ziemi na sposób turecki; lecz Gasbal, giermek don Galaora, lepszym jest jeszcze przykładem, jego dyskrecja i cześć dla pana były tak wielkie, że autor tej cudownej i prawdziwej historii, chcąc dokładnie uwiadomić potomność o jego przedziwnym milczeniu, raz tylko jeden wspomina o nim w ciągu całej tak długiej powieści. To, co ci powiedziałem, przyjacielu Sancho, powinno nauczyć cię, jaka jest różnica między panem a sługą. Tak więc powtarzam ci, że na przyszłość żyć będziemy w ściślejszym rygorze, nie narażając się jeden drugiemu; bo na koniec skądkolwiek przysłaby sposobność, ode mnie, czy od ciebie, ty zawsze ucierpisz na tym. Nagrody przyrzeczone ci ode mnie znajdą się w swoim czasie, a chociażby i przyszło wreszcie obejść się bez nich, to w każdym razie żołąd cię nie minie, jak to już powiedziałem pierwiej.

– Wszystko, co jaśnie wielmożny pan mówiłeś, jest bardzo dobre – odrzekł Sancho – i najpokorniejsze za to dzięki składam waszej dostojności, lecz jeśliby przypadkiem czas nagrody nie przyszedł nigdy, raczcie mnie nauczyć, jaka jest wartość mojego żołądu i jakim to sposobem pobiera go giermek od rycerza: czy za miesiąc od razu, czyli też codziennie?

– Nie zdaje mi się – odpowiedział Don Kichot – ażeby kiedykolwiek giermkowie opłacani byli w ten sposób, dawano im zwykle tylko nagrody, a jeżeli ja postąpiłem inaczej, uczyniwszy tobie testamentalny zapis, zrobiłem to ze względu, że nie wiadomo, co przytrafić się może mnie samemu, a w złym razie nie miałbyś sposobu świadczyć w tak opłakanych czasach o rycerskości moich czynów i żałowałbym może, że dla tak bagatelnej rzeczy dusza moja cierpiałaby na tamtym świecie. My i tak wiele jeszcze przenieść musimy w naszej awanturycznej pielgrzymce; pomnij, drogi przyjacielu, na przepowiednię moją, nie masz życia na większe wystawionego przygody, jak nasze życie.

– Zapewne – odpowie Sancho – jeżeli nade wszystko cierpliwość ma tu jakieś znaczenie; bo przekonałem się, że lada złośliwy żarcik pozbawia rozumu najśławniejszego Manchy rycerza; ale wierzcie mi, panie, że na przyszłość, pomimo największej chęci do śmiechów, śmiać się nie będę ze spraw waszych, a jeżeli otworzę usta, to tylko, aby powiedzieć coś na chwałę i uczczenie mego pana i władcy.

– To właśnie jedyny sposób, który cię długo i spokojnie zachowa przy życiu – rzecze nasz rycerz – bo wreszcie po ojcu i matce należy przede wszystkim szanować pana swego.

## Rozdział VII

### O zdobyciu szyszaka Mambryna.

Gdy Don Kichot ze swoim giermkim rozmawiali w ten sposób, napadł ich drobny deszczyk, przed którym Sancho radził schronić się do młynów. Lecz Don Kichot, dowiedziawszy się niedawno, że młyny są tylko młynami, taki do nich wstręt powziął, że za nic w świecie wejść do nich nie chciał. Puścili się więc dalej drogą na prawo i postępując nią czas jakiś, dostrzegli w oddaleniu jeźdźca, mającego na głowie jakiś przedmiot świetnego jak złoto blasku. Zaledwie rycerz spostrzegł to, gdy zwracając się do Sancha, rzekł:

– Przyjacielu Sancho, czy wiesz, że nie ma nic prawdziwszego nad przysłowia, są to maksymy zdobyte doświadczeniem, a nade wszystko to, które twierdzi, diabeł nie zawsze towarzyszy biednemu, mówię to dlatego, że jakkolwiek przeszłej nocy byliśmy zwiedzeni przez łoskot tych przeklętych młynów i przygoda, której szukamy, zniknęła wtedy, to obecnie, istotna, a która wielką chwałą okryć nas może. Jeżeli ominę tę sposobność, moja tylko będzie w tym wina; nie ma tu już bowiem ani łoskotu, który mnie łudził, ani ciemności, którą oskarżałem. Jednym słowem, Sancho, wedle słusznych pozorów, mamy przed sobą tego, który nosi wyborną przyłbicę Mambryna, dąży on prosto ku nam, a ty pamiętasz zapewne, jaką uczyniłem przysięgę.

– Panie – odparł Sancho – strzeżcie się, bardzo proszę, i baczcie na to, co mówicie i co uczynić zamierzacie, bardzo się boję, abyśmy tu nie spotkali nowych jakich młynów, które do reszty nam zemleć mogą rozsądek, a może i boki w przydatku.

– Idź do diabła z twoimi młynami – przerwał Don Kichot – jakież stosunek mogą mieć one z tą przyłbicą?

– Tego ja nie wiem – odpowie Sancho – lecz, na moją duszę, jeśli mi wolno było wynurzyć moje zdanie, pokazałbym wiele dowodów, że wasza wielmożność myli się w tym razie.

– I jakże śmiesz myśleć, że ja mylę się, ty nędzny niedowiarku, co wątpisz o wszystkim – zawołał nasz bohater – czyliż nie widzisz tego rycerza, co na siwo-jabłkowitym koniu prosto ku nam zmierza? czy nie postrzegasz złotego hełmu na jego głowie?

– To, co ja widzę i postrzegam – odpowie giermek – zupełnie niepodobne do waszego opisu, ten rycerz, według mnie, jest po prostu jakimś człowiekiem jadącym na szarym osle i ma na głowie coś błyszczącego.

– Otóż dowiedz się – rzecze Don Kichot – że to coś błyszczące, jest to hełm Mambryna, oddal się o kilka kroków i pozostaw mnie samego; zobaczysz, że nie tracąc czasu na próżnej gadaninie, zakończę tę rzecz w jednej chwili i stanę się panem kosztownego szyszaka, który posiadać tak gorąco pragnąłem.

– Oddalić się – rzecze Sancho – to mogę bardzo łatwo, ale raz jeszcze ostrzegam was, daj Boże, aby to nie były owe młyny.

– Powiedziałem ci już raz, mój bracie, że nie chcę słyszeć więcej o młynach; klnę się na szatana, że jeśli raz jeszcze poważysz się wspomnieć o nich, tak ci duszę zmielę w ciele, że popamiętasz na wieki.

Sancho zamilkł jak kamień, nie chciał bowiem kusić rycerza, aby dopełnił tak wyraźnie uczynionej przysięgi.

Dowiedzmy się wreszcie, co to był za szyszak, koń i rycerz, które Don Kichot widział. Były w okolicy owej dwie wioski, z których jedna mniejsza nie posiadała własnego cyrulika, dlatego cyrulik z większej wioski, który znał się nieco i na chirurgii także, służył dwom wioskom zarówno. Zdarzyło się właśnie, że w małej wiosce potrzeba było puścić krew choremu człowiekowi i ogolić brody dwom zdrowym; tak więc cyrulik wybrał się w drogę, a zaskoczony deszczem, dla ochronienia, acz dość lichego kapelusza, włożył miednicę na głowę; ponieważ zaś miednica była miedziana i nowiuteńka,

błyszczała przeto na milę wokoło. Cyrulik, jak to słusznie zauważał Sancho, jechał na pięknym, szarym osiołku. Dla Don Kichota był to jednak rycerz na siwo-jabłkowitym koniu i w złocistym szyszaku, ponieważ on zastosowywał rzeczy najprostsze do szalonych urojeń ksiąg swoich.

Jakoż widząc, że mniemany rycerz zbliża się już, podskoczył ku niemu rozpuszczonym biegiem i z podniesioną włócznią, postanowiwszy przebić go na wylot.

– Broń się, nędzniku – zawołał, doścignawszy balwierza – albo mi oddaj zdobycz, która mi się słusznie należy!

Cyrulik, na którego niespodziewanie jakieś niby widmo napadło bez żadnego powodu, chcąc uchronić się ciosu włóczni Don Kichota, zsunął się z osła na ziemię, a stąd podniósłszy się skwapliwie, uciekł z szybkością jelenia, zostawiając na polu walki osła i miedniczkę.

Don Kichot, widząc pozostałą miednicę, nie żądał niczego już więcej i zwracając się do swego giermka:

– Patrz, przyjacielu – zawołał. – Poganin ma rozum, uczynił tak jak bóbr, który chroniąc się przed łowcami, ucina sam sobie ogon, by im zostawić przedmiot, dla którego wartości schwytać i zabić go pragną, podnieś te przyłbicę, giermku!

– Na moją duszę – rzecze Sancho, przypatrując się mniemanemu szyszakowi – miedniczka wcale niezła, na niepotrzebnego warta talarka.

Podał miednicę swemu panu, który ją natychmiast włożył na głowę, lecz nie mogąc nasadzić jej dokładnie, zawołał:

– Do pioruna! – ten przeklęty poganin, do którego ten szyszak należał, miał głowę ogromną, ale co gorsza, spostrzegam z boleścią, że brakuje połowy hełmu.

Sancho, nie mogąc wstrzymać się od śmiechu, że miednicę golibrody nazywano szyszakiem, byłby parsknął od dawna, gdyby na karku nie czuł dotąd szczątków gniewu rycerza.

– Z czego śmiejesz się, Sancho? – zapyta nasz bohater.

– Śmieję się – odpowie Sancho – z ogromnej głowy, jaką musi mieć właściciel tego szyszaka, który do miednicy golibrody podobny jest jak kropla do kropli wody.

– A wieszże ty, co ja myślę – rzecze dalej Don Kichot – oto, że ten nieporównany szyszak przypadkiem wpadł w ręce takiemu, który nie poznaawszy jego prawdziwej wartości, przez niewiedomość stopił połowę hełmu, by osiągnąć korzyść z czystego złota, z pozostałej zaś połowy uczynił to, co, jak powiadasz, zupełnie podobne jest do miednicy golibrody, lecz niechaj co chce będzie, dla mnie, który znam prawdziwą wartość tej zbroi, obojętną jest taka przemiana. W pierwszej lepszej kuźni każę naprawić szyszak i sądzę, że wtedy nie będzie ustępował w niczym owemu, który ukuł Wulkan<sup>86</sup> dla bożka wojny<sup>87</sup>, a tymczasem będę go i tak nosił, zawsze to lepsze niż nic, bo w każdym przypadku zasłoni przynajmniej od pocisków kamieni.

– Zapewne – rzecze Sancho – byleby nie rzucano kamieni z procy, jak podczas owej z dwoma wojskami potyczki, w której tak straszliwie opatrzono panu szczęki i stłuczono, Bogu dzięki, słoik z poświęconym napojem, od którego zaledwie mi wnętrzości nie pękły.

– Mało dbam o stratę słoika – odeprze Don Kichot – znam bowiem sposób przyrządzenia tego balsamu.

– Znam ci i ja go – pomruknął Sancho – ale jeślibym wiedział, że przyjdzie mi robić go kiedykolwiek, a nade wszystko skosztować choć odrobinę, to wołałbym pęknąć na dwoje w tej chwili. Nie myślę też, ażebym kiedykolwiek znalazł się w potrzebie użycia tego balsamu, użyję pomocy wszystkich pięciu zmysłów, które mi dała natura, aby się ustrzec od sposobności nawet obmywania ran; zadawać ich też nie myślę. Co do owego podrzucania, to może przytrafić mi się powtórnie, za podobne zdarzenia ręczyć niepodobna i gdybym kiedykolwiek znalazł się w tym samym położeniu,

---

<sup>86</sup> *Wulkan* – w mit. rzym. odpowiednik Hefajstosa z mit. gr., boga ognia, kowali i złotników; kuźnia Hefajstosa miała się znajdować we wnętrzu wulkanu Etna. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *bożek wojny* – w mit. gr. Ares, którego odpowiednikiem w mit. rzym. jest Mars. [przypis edytorski]

nie miałbym innego środka, jak znów ścisnąć zęby, stulić łopatki i zamknawszy oczy, pozwolić rzucać sobą do woli.

– Niedobry z ciebie chrześcianin, Sancho – rzecze Don Kichot – bo nie zapominasz urazy. Dowiedz się, że wspaniałe serca nie zajmują się tak drobnymi sprawami, zresztą, czyliż skaleczono ci nogę, złamano żebro lub głowę rozbito? nie, wszak prawda? i na koniec cała ta rzecz była prostym żarcikiem tylko, bo gdybym innego był przekonania, to wierzał mi, że byłbym się wrócił i krwawszą wywarłbym zemstę, niż Grecy na Troi za Heleny porwanie, która przecież – dodał z głębokim westchnieniem – nie miałyby tyle chwały z urody swojej, gdyby dziś istniała, lub gdyby moja Dulcynea za jej czasów żyła.

– Więc dobrze – odpowie Sancho – niech rzecz ta pozostanie żartem, zgadzam się na to, tym więcej, że nie widzę sposobu pomszczenia się; jednakże, żart czy prawda, popamiętam je długo, ale zostawmy to na później, teraz chciałbym dowiedzieć się od pana, jeśli łaska, co uczynimy z tym siwojabłkowym rumakiem, który tak dziwne ma do osła podobieństwo, jak wasz przesławny szyszak do miednicy; miarkując z wolnej ucieczki powalonego przez waszą dzidę jeźdźca, wznoszę, że ten nie wróci już tutaj, szkoda by zostawić tak na bożej woli biedne zwierzątko, tym bardziej, że siwoszek wcale niezgorszy.

– Nie przywykłem – odrzeczce Don Kichot – zabierać łupów zwyciężonym i nie jest też godnym rycerza pieszo puścić zwyciężonego przeciwnika, chyba w razie, jeżeli zwycięzca utraci swojego konia w potyczce, wtedy może wziąć konia przeciwnikowi jako prawą zdobycz w równej walce; tak więc, Sancho, rozkazuję ci zostawić tu tego konia lub osła, jak go zowiesz, właściciel nie omieszka powrócić poń, skoro się tylko stąd oddalimy.

– A ja w najlepszej wierze chciałem już to bydłatko powieść za sobą lub przynajmniej wymieniać za mojego osła, który nie zdaje mi się być dogodnym; do kata, wielmożny panie! jednakże te prawa i ustawy rycerskie są zbyt surowe, jeżeli nie pozwalają nawet osła za osła zamienić, ciekawy też jestem, czy dozwolono jest przynajmniej zamienić siodło.

– Nie jestem tego zupełnie pewny – odrzekł Don Kichot – i zanim oświecę się w tej wątpliwości, pozwalam ci zamienić się na rzędy, jeżeli wszakże zamiana koniecznie ci jest potrzebna.

– Najpotrzebniejsza w świecie – zawołał Sancho i, upoważniony zezwoleniem rycerza, zdjął siodło z osła cyrulika i na swego je włożył, a było piękniejsze i lepsze w dwójnasób.

Uczyniwszy to, zjedli śniadanie ze szczątków wczorajszej wieczerzy i napili się wody z rzeczki płynącej od foluszowych<sup>88</sup> młynów, Don Kichot jednakże nie spojrział ani razu w tamtą stronę, tak dalece gniew go był zawziętym za ów zawód sromotny. Po lekkim posiłku, na sposób prawdziwie błędnych rycerzy puścili się w drogę bez żadnego kierunku, zdając się na wolę Rosynanta, za którym ochoczo postępował osiołek Sanchy. Nieznacznie znaleźli się na wielkim gościńcu, którym puścili się bez celu, szukając przygód.

Podczas powolnego pochodu Sancho odezwał się do rycerza:

– Chcę was prosić, dostojny panie, o pozwolenie rozmawiania do was przez chwilę; od czasu, jak mi zabroniono wolnego użytku języka, usiadło mi na samym jego końcu kilka bardzo dobrych uwag, z których jedną osobliwie koniecznie pragnę wypowiedzieć.

– Mów więc, Sancho – rzecze Don Kichot – lecz mów krótko, długie gadaniny okropnie są nudne.

– Powiem więc panu, że zważywszy dobrze życie, jakie prowadzimy, przekonałem się, że szukanie przygód po lasach i gościńcach nie przynosi wielkiego zysku, bo tu i najślawniejszy czyn, dokonany przez rycerza, nie rozgłosi się po świecie i przez nikogo podziwianym nie jest, tu wszystkie przedsięwzięcia rycerskie i walki idą na marne, bo nie przynoszą ani sławy, ani zysku, dlatego zdaje mi się najlepszą rzeczą, jeżeli to wszakże wasze potwierdzenie zyska, abyśmy udali się w służbę

---

<sup>88</sup> foluszowy – przym. od słowa: *folusz*, oznaczającego maszynę do obróbki sukna przez powierzchniowe spilśnianie i zagęszczanie struktury tkanin przeznaczonych na płaszczki itp.; folusz to także budynek, w którym mieści się taka maszyna. [przypis edytorski]

do jakiego cesarza lub księcia, którzy by prowadzili wojnę z sąsiadami, tam wasza waleczność i znajomość sztuki rycerskiej oceniona należycie będzie, a wtedy pan i ja wynagrodzeni zostaniemy stosownie do wartości i godności osobistej, a nie zbraknie też pewnie na ludziach, którzy czyny wasze dzieciom waszych dzieci przekażą. Nie mówię, ani myślę tu o sobie, bo wiem, że nas wedle przysłowia jednym łokciem niepodobna mierzyć, a i to pojmuję, że ślimakowi nie należy wyłazić ze swojej skorupki, chociaż wierzę, że gdyby było we zwyczaju opisywać również czyny błędnych giermków, tak dobrze można by opisać moje, jak i każdego z moich poprzedników.

– Jest to, jak na ciebie, wcale dobrze powiedziane – rzecze Don Kichot – lecz nim dojdziemy do tego kresu, trzeba przebiegać świat, szukając przygód i dając dowody męstwa, ażeby wielkie czyny rycerza rozniosły w pierw imię jego po całej ziemi, iżby, skoro przybędzie do jakiego potężnego monarchy, już go tam sława poprzedziła, aby skoro tylko przybędzie, małe dzieci, zebrawszy się tłumnie, krzyczały, biegnąc za nim: Oto jest Rycerz Słońca albo węża, albo jakiego innego godła, pod którym sławne dokonywał czyny; ten to jest! zawołają, który zwyciężył w osobliwej walce olbrzyma Brokambruna niespożytego; ten to sam, który zdjął z wielkiego mameluka perskiego straszliwe zaczarowanie, w jakim tenże przez dziewięćset lat pozostawał. Na taki hałas, na okrzyk pochwalny całego ludu, król ukazuje się w oknach swego pałacu, a rozpoznawszy rycerza po zbroi lub po dewizie, którą na tarczy nosi, rozkazuje natychmiast panom dworskim, aby spieszyli przyjąc ów kwiat rycerstwa. Dwór spieszy wykonać rozkaz, a sam król nawet zstępuje do połowy schodów na przyjęcie rycerza, wita go, całując w policzki i wiedzie prosto w komnaty królowej małżonki, przy której właśnie znajduje się jej córka infantka, która musi być najdoskonalszą pięknoscią świata całego. Ale cóż stąd wynika? Oto infantka i rycerz od pierwszego na siebie spojrzenia uwielbiają się wzajemnie, a jako istoty wpół boskiej natury, nie zdając sobie sprawy z uczucia, goreją wzajemną ku sobie miłością, niepokoją się, jakim by sposobem odkryli sobie zobopólne cierpienia. Następnie, jak to łatwo sobie wyobrażasz, prowadzą rycerza do najbogatszych komnat pałacu, w najkosztowniejsze sprzęty skarbu przystrojonych, tu zdjawszy zeń zbroję, zarzucają mu pyszny szkarłatny płaszcz na ramiona, bogato haftowany dokoła i jeżeli bohater pięknym był w zbroi, jakże powabnie wydawać się musi w kosztownym dworskim stroju. Skoro noc nadchodzi, rycerz wieczerza przy jednym stole z całą królewską rodziną, a podczas uczyty spogląda ustawicznie na królową, ale tak zręcznie, że nikt nie spostrzega tego, ona zaś ze swej strony ukradkiem mierzy go oczyma, ale tajemnie, gdyż, jak to już mówiłem, ma to być istota doskonałej skromności.

Po kolacji z powszechnym zadziwieniem wejdzie mały szpetny karzeł, za nim piękna kobieta, prowadzona przez dwóch olbrzymów, i przynoszą rzecz jakąś straszliwie tajemniczą, utworzoną przez jakiegoś starożytnego mędrca, a kto by tę rzecz odgadł, uznanym zostanie za najpierwszego rycerza w świecie. Król zażąda, aby cały dwór jego tentował los, ale choćby stokroć liczniejsi byli dworzanie, nie podołają tajemniczej sprawie; jeden tylko nowo przybyły ów rycerz dokonywa pomyślnie wszystko; to nową okrywa go sławą, a królowa cieszy się z tego i dumna jest, że tak szlachetnie i godnie umieściła uczucia swoje, ale co najważniejsza, przyjacielu Sancho, to, że ów król prowadzi wojnę z jednym z sąsiadów swoich, równie jak on potężnym; rycerz przeto, przepędziwszy czas jakiś na dworze króla, prosi go o pozwolenie służenia pod jego chorągwią; król zezwala z ochotą, a rycerz dla okazania swojej galanterii, z wdziękiem całuje jego rękę. Tej samej nocy jeszcze żegna się z królową przez okno okratowane jej pokoju, dokąd już kilkakrotnie był wprowadzony przez przyjaciółkę infantki i powiernicę ich miłości. Tam on wzdycha, ona mdleje, powiernica skrapia wodą twarz kochanki, i pełna jest niepokoju, że dzień już okazywać się zaczyna, bo nie chce, by na honorze jej pani najmniejsza ciążyła plama. Wreszcie królowa przychodzi do siebie i przez kraty podaje rycerzowi swoje białe dłonie, który całując je po milion razy, oblewa łzami rzewnymi. Umawiają się następnie, jakim sposobem uwiadamić się będą wzajemnie o swoim losie. Księżniczka błaga rycerza, aby powracał jak najrychlej, co tenże uroczyście przysięga uczynić, raz jeszcze całuje jej ręce i tak dalece rozczuła się przy pożegnaniu, że ledwie, ledwie nie umiera z żalu.

Rycerz, powróciwszy do swojej komnaty, rzuca się na łożo, na którym na próżno szuka spoczynku; stojąc jak posąg, oczekuje pierwszych słońca promieni, ażeby pójść pożegnać się z królem i królową, co uczyniwszy, prosi o pozwolenie pożegnania infantki, lecz odpowiadają mu, że królowna jest cierpiąca, i że jej widzieć niepodobna, a rycerz nie wątpiąc, że jego odjazd przyczyną jest tej słabości, w rozpaczy zaledwie nie zdradza się w obecności dworu. Powiernica spostrzega to wszystko i bieży natychmiast zdać o tym sprawę swej pani; królowna, łzami zalana, oświadcza jej, że martwi ją niewypowiedziane niewiadomośc nazwiska rycerza i niepewność, jest li on synem królewskim lub nie? Powiernica zapewnia ją, że tylko rycerz wysokiego rodu może mieć tyle uczciwości, galanterii i męstwa w sobie. Pocieszona królowna, czyni, jak może, by ukryć stan swego serca przed wzrokiem rodziców, jakoż po upływie dni kilku ukazuje się na dworze i wraca do zwyczajnego trybu życia.

Upłynął już czas jakiś od wyjazdu rycerza, walczy on i zwycięża nieprzyjaciół króla, zdobywa niezliczoną liczbę miast i tyleż wygrywa batalii, wraca na dwór i staje przed kochanką, niezmierną okryty sławą. Pod tym samym oknem, gdzie się żegnali, umawiają się teraz, że rycerz w nagrodę usług okazanych królowi, zażąda ręki królowny. Król nie chce słyszeć o tym, gdyż nie zna godności i rodu rycerza; z tym wszystkim jednak, bądź to, że rycerz porywa infantkę, bądź innym jakim sposobem, zawsze w końcu żenią się z sobą, z czego król nawet wielce się cieszy i wystawia rycerza, gdyż dowiaduje się wreszcie, że zięć jego jest synem wielkiego monarchy, tylko nie wiem, jakiego królestwa, które podobno nawet nie egzystuje na mapie. Stary król wkrótce potem umiera, infantka odziedzicza tron jego i rycerz królem zostaje. Wtedy to dopiero myśli o wynagrodzeniu swego giermka i tych wszystkich, którzy uczestniczyli w jego dobrym losie. Żeni swego giermka z ową powiernicą infantki, która jest córką jednego z najznakomitszych panów królestwa.

– W to mi graj! – zawoła Sancho – to mi to właśnie. Na moją duszę, panie, wszystko, co powiedziałaś, niezawodnie się sprawdzi na tobie, jeśli tylko przyjmiesz nazwisko Rycerza Posępnego Oblicza.

– Bądź pewny, mój chłopcze, że tak się stanie – odrzekł Don Kichot – taką koleją postępowali wszyscy rycerze błędni, z których tylu później zostało królami i cesarzami. Pozostaje więc nam tylko obecnie szukać jakiego chrześcijańskiego albo i pogańskiego króla, który by miał i wojnę do prowadzenia i córkę do wydania, ale na to mamy dosyć jeszcze czasu i, jak ci to już powiedziałem, potrzeba naprzód ustalić swoją reputację, zanim przedstawimy się na dworze jakiego monarchy. Niech nas tam sława poprzedzi! Ale co mnie niepokoi najbardziej i na co nie znam lekarstwa, to, że mówiąc między nami, znalazłszy już króla i infantkę, jakim sposobem przekonać ich, że pochodzę z krwi królewskiej, lub że jestem przynajmniej pobocznym potomkiem jakiegoś cesarza, bo rzecz pewna, że król w żaden sposób nie odda mi swej córki bez tego, chociażbym nawet wykonał najślawniejsze czyny i obawiam się bardzo, że dla tak małej rzeczy mogę utracić wszystko, co dzielnością mego ramienia nabyłem. Wprawdzie jestem rzeczywiście szlachcicem i ród mój znany od dawna jako starożytny, a kto wie, może też mędrzec jaki, opisując moją historię, znajdzie w genealogii jakiś dowód, że jestem praprawnuczkim jakiegoś króla, bo trzeba ci wiedzieć, Sancho, że jest dwa rodzaje ras na świecie. Pierwsza wywodzi swoje pochodzenie od królów i książąt, lecz powoli, z czasem, wypadki odbierają im wielkość i władzę. Drudzy znów, pochodząc z małej rodziny, ciągle się wznoszą i zostają wreszcie wielkimi panami. I taka jest tylko między nimi różnica, że jedni byli tym, czym nie są, a drudzy są tym, czym nie byli. Dlatego nie chciałbym się zakładać, czy nie pochodzę z rodu, który był kiedyś sławnym i wielkim, co ucieszy nadzwyczajnie króla, mego teścia przyszłego; lecz choćby i tak nie było, infantka będzie mnie kochała tak mocno, że mimo oporu ojca, będzie gotowa mnie zaślubić, chociażbym nawet był synem nosiwody. A jeżeliby miała jakie skrupuły, to porwę ją i zaprowadzę, gdzie mi się spodoba, aż czas i śmierć teścia zakończą przeciwności.

– Jak Boga kocham! panie, najzupełniejszą macie rację, nic lepszego, jak porwać od razu, bo jak to powiadają, nie trzeba prosić o to, co gwałtem wziąć można, a na koniec nigdy nie trzeba siadać na dwóch stołkach. Mówię to dlatego, że jeśliby król, wasz teść, nie chciał wam oddać pani infantki, najlepiej będzie, jak to wasza wielmożność powiedziała, porwać ją od razu; jedno tylko złe w tym

widzę, że zanim zięć i teść pogodzą się z sobą, zanim osiągniecie królestwo, to biedny giermek może nie mieć co w gębę włożyć i umrze z głodu, oczekując nagrody, na którą zapewne nikt i dziesięciu realów nie pożyczycy; chyba, że owa powiernica, co ma być moją żoną, będzie towarzyszyć porwanej infantce i udzieli mi pociechy w tak fatalnej doli. Bo wreszcie zdaje mi się, że pan rycerz może od razu wydać tę pannę za swego giermka.

– A któż mu zabroni? – odpowiada Don Kichot.

– Kiedy tak – rzekł Sancho – najlepiej uczynimy, puszczając się na los, może też on nas zaprowadzi do pomyślnego portu.

– Daj to Boże – odpowiedział Don Kichot – dobre o sobie rozumienie jest połową szczęścia.

– Niech więc tak będzie – rzecze Sancho – do diabła! Przecież ja także pochodzę ze starych chrześcijan, albowiem to nie dosyć, aby się wylegitymować na hrabię?

– To być bardzo może – odpowie Don Kichot – a chociażby i nie nastąpiło, nic nie szkodzi, gdyż jak tylko królem zostanę, mogę nadać ci szlachectwo z przywilejem, że nic za nie nie zapłacisz żadnego hołdu składać nie będziesz. Ale co największa, że zostawszy hrabią, będziesz miał rycerską godność; i niech co chce będzie, muszę cię jednak tytułować waszą wielmożnością.

– Ho! ho! – zawoła Sancho – dlaczegoż by nie? Alboż nie wart jestem tyle, co i drugi? Trzeba wiedzieć, że ja już miałem honor być chorążym pewnej konfraterni i wszyscy zgodzili się, że miałem postawę tak okazałą i prezencję godną najmniej skarbnika parafii! A cóż to dopiero będzie, gdy zawieszę na ramionach płaszcz książęcy, cały oszyty złotem i perłami, jak u cudzoziemskiego hrabiego. Na moją duszę! o sto mil będą przyjeżdżali oglądać mnie.

– W istocie – rzecze Don Kichot – będziesz pięknie wyglądał, lecz radzę ci golić się niekiedy, gdyż z taką gęstą i brudną brodą każdy cię o milę rozpozna, dlatego powtarzam, przyjacielu Sancho, potrzeba, byś się golił przynajmniej co drugi dzień.

– Wielka mi rzecz – odpowie Sancho – wezmę sobie cyrulika raz na zawsze, który będzie mieszkał w moim domu, a w razie potrzeby będzie chodził za mną jak koniuszy granda.

– A ty skąd wiesz – zapytał Don Kichot – że grandowie prowadzą koniuszych ze sobą?

– Zaraz to wam wytłumaczę – odpowie Sancho. – Lat temu kilka przebywałem na dworze przez miesiąc cały i pewnego dnia zobaczyłem małego człowieka, o którym mówiono, że jest wielkim panem, przechadzającego się z wolna; za nim postępował jeździec, który naśladował wszystkie poruszenia swego pana, ni mniej, ni więcej, jak gdyby był jego cieniem; pytałem się kogoś, dlaczego ten jeździec podobnie czyni, odpowiedziano mi na to, że to jest koniuszy i że jest zwyczajem grandów kazać za sobą postępować w ten sposób. Matko Boska! do dziś dnia nie mogę zapomnieć o tym i kiedy zostanę grandem, uczynię podobnie, bo przecież potrzeba koniecznie, aby jedni naśladowali drugich.

– Masz słusność, Sancho – rzecze Don Kichot – słusznie uczynisz, wodząc za sobą cyrulika; przecież i świat nie został w całości odkryty, więc ty będziesz pierwszym z hrabiów, który zaprowadzi podobny obyczaj, a mnie się nawet właściwszym być zdaje zapewnić sobie człowieka, który brodę goli, niż tego, który stajnię zamiata.

– Już to, co się tyczy cyrulika, spuść się pan na mnie – odpowie Sancho; – niech wasza wielmożność stara się czym prędzej zostać królem, a mnie hrabią zrobi, to potem wszystko się znajdzie.

– Uczynię to, choćby tylko dla twojej miłości – odpowie Don Kichot, i wzniosłszy oczy, zobaczył to, o czym w następnym powieściowym rozdziale.

## Rozdział VIII

Jakim sposobem Don Kichot przywrócił wolność pewnej liczbie nieszczęśliwych, których wiedziono mimo woli tam, dokąd iść nie chcieli.

Wielki Cyd Hamed Benengeli, sławny autor arabski opowiada w tej tak pełnej prawdy historii, że po długiej i pięknej rozmowie, którą słyszeliśmy, Don Kichot, podniósłszy oczy, zobaczył około dwunastu ludzi pieszych, nawleczonych jak paciorki na jeden łańcuch i okutych w kajdany; prowadzili ich dwaj jeźdźcy i dwaj piesi. Pierwsi uzbrojeni w muszkiety, a ostatni w pałasze, a każdy z nich niósł prócz tego dzidę, czyli pocisk biskajski. Sancho, ujrawszy tę smutną karawanę, zawołał:

– A to prowadzą złoczyńców na galery.

– Jak to? na galery? – krzyknął Don Kichot – czyliż podobna, ażeby król chciał czynić gwałt komukolwiek?

– Tego ja nie mówię – rzecze Sancho – utrzymuję tylko, że to są ludzie skazani za występki na służenie królowi na galerach.

– W każdym razie – rzecze Don Kichot – to pewna, że ci ludzie zmuszeni są iść mimo swej woli.

– Rzecz niezawodna – odpowie Sancho.

– Ponieważ tak jest – zawołał Don Kichot – muszę się wdać w tę sprawę, bo obowiązkiem błędnego rycerza jest nie dopuszczać gwałtu i wspierać nieszczęśliwych!

– W imię Ojca i Syna, kochany panie – rzecze Sancho – albo nie wiecie, że ani prawo, ani król nie czynią gwałtu tym zbrodniarzom, oddają im tylko to, na co zasłużyli.

Tymczasem więźniowie i strażnicy zbliżyli się. Don Kichot, zwróciwszy się do straży, prosił najgrzeczniej, ażeby go uwiadomiono<sup>89</sup>, z jakiego powodu prowadzą tych biednych ludzi w ten sposób.

– Panie – odpowie jeden z jeźdźców – są to złoczyńcy, którzy idą na galerach służyć królowi, reszta nie sądzę, aby cię obchodzić mogła.

– Jednakże zobowiążesz mnie pan nieskończenie – rzecze znów Don Kichot – jeśli pozwolisz mi wybadać każdego z osobna, jakim sposobem popadł w niełaszkę.

Zapytanie rycerza było tak grzeczne, że drugi jeździec odpowiedział mu:

– Mamy wprawdzie z sobą wyroki tych nędzników, lecz nie mamy czasu rozczytywać się długo, a i rzecz sama niewarta, aby dla niej otwierać tłumoki. Zresztą możesz pan ich sam zapytać, zaspokoją waszą ciekawość z pewnością.

– Poczcwiwcy! nie dają się o to dwa razy prosić.

Korzystając z pozwolenia, bez którego byłby się obszedł w każdym razie, Don Kichot zbliżył się do więźniów i zapytał pierwszego: za jaki to występek ma zostać ukarany.

– Jedynie za miłość – odpowiedział galernik.

– Jak to za miłość i za nic więcej? – rzecze nasz rycerz – a toć jeżeli zakochanych na galery posyłać mają, to i ja tam powinienem już od dawna siedzieć.

– Moje miłostki były innego niż pan myślisz rodzaju – rzecze galernik. – Prawdę mówiąc, rozmiłowałem się tak dalece w koszu bielizny, trzymałem go tak silnie w swoich objęciach, że gdyby nie wdanie się policji, koszyk pozostałby dotąd w moich ramionach. Schwytano mnie na uczynku i nie pytawszy, potępiono. Dano mi w zadatku sto różg na plecy... a kiedy przez trzy lata będę kosił wielką łąkę, to już z niej wyjdę swobodny.

– Cóż to nazywasz kosić wielką łąkę – zapytał Don Kichot.

– W dobrej hiszpańszczyźnie, to znaczy wiosłować na galerach – odpowie młody więzień.

Don Kichot następnie badał drugiego, pogrążonego w takim smutku, że nie mógł słowa przemówić, ale pierwszy wyręczył go:

<sup>89</sup> uwiadomić – dziś: powiadomić. [przypis edytorski]

– O, to jest kanareczek! idzie na galery za to, że za wiele śpiewał.  
– Jak to? – rzecze Don Kichot – czyż muzyków także na galery wysyłają?  
– Tak, panie – odpowiedział galernik – bo w istocie nie ma nic niebezpieczniejszego, jak śpiewać w cierpieniu.

– Przeciwnie – rzecze Don Kichot – ja słyszałem, że śpiew łagodzi troski.  
– Tu przeciwnie się dzieje – rzecze więzień – kto raz śpiewa, płacze całe życie za to.  
– Przyznam się, że nic nie rozumiem – rzecze Don Kichot.

– Dowiedz się pan – rzekł jeden ze straży – że u tych nędzników śpiewać w cierpieniu, znaczy wyznać coś na torturach. Męczono tego głupca i przyznał się, że skradł bydło, za co został skazany na sześć lat do galer, prócz dwustu różg, które mu zaraz wyliczono. Smutek zaś jego i wstyd pochodzą stąd, że go koledzy jak nędznika traktują, wyrzucając mu brak wytrwałości i dowodząc, że kryminalista ma zawsze swoją wolność na końcu języka, jeżeli tylko świadków przeciwko sobie nie ma, i szczerze mówiąc, w tym punkcie zgadzam się z nimi.

– Ja także – rzecze Don Kichot. – A ty? – zapytał trzeciego – co uczyniłeś?

Ten odpowiedział najnaturalniej:

– Idę na galery na lat pięć za kradzież dziesięciu dukatów.

– Ach! dałbym chętnie dwadzieścia, żeby cię uwolnić – rzecze Don Kichot.

– Na moją uczciwość, trochę za późno – rzekł galernik – zupełnie jak musztarda po obiedzie. Gdybym był miał te dwadzieścia dukatów w więzieniu, mógłbym posmarować łapy mojego strażnika, rozbudzić ducha prokuratora i dziś byłbym na balu w Toledo, zamiast dreptać związany, jak chart na smyczy. Lecz cierpliwości! Na wszystko czas przyjdzie.

Don Kichot przeszedł do czwartego. Był to starzec z długą, białą brodą, która mu spadała okazale na piersi. Na zapytanie odpowiedział tylko cichym płaczem, dopiero sąsiad wyręczył go w odpowiedzi, mówiąc:

– Ten szanowny brodacz idzie służyć na morzu królowi przez cztery lata, zostawszy poprzednio oprowadzonym przez miasto w wielkim tryumfie i w paradnych szatach.

– Jeżeli się nie mylę – rzecze Sancho – to ma znaczyć, że jest znielawiony za zgorzenie.

– Akurat to samo – odpowie galernik – a honor ten spotkał go za frymarczenie<sup>90</sup> ludzkim ciałem, to ma znaczyć, panie, że pocziwiec był posłem miłości i nadto jeszcze, wdawał się cokolwiek w czarnoksiężtwo.

– Za to ostatnie słusznie ukarany – przerwie Don Kichot – ale jeżeli tylko był posłańcem miłości, nie powinien być wysyłany na galery, chyba w randze generała, gdyż obowiązek posłańca miłości nie jest tak łatwy, jak się zdaje, i aby go wykonać należycie, trzeba być zręcznym i ostrożnym razem. Takich ludzi powinno być dosyć w państwie dobrze urządzonym i byłoby właściwe nawet ustanowić kontrolerów i egzaminatorów do miłosnych komisów. Powinni nawet być w tym, jak w każdym urzędowaniu, przysięgli oficjaliści; tym sposobem zdołano by uniknąć niezliczonych nierządów, które zdarzają się co dzień dlatego właśnie, że mnóstwo głupców, idiotów bez dowcipu, lokajów, suberetek i młodych łotrów miesza się do tego, a ci przy sposobności, nie umieją wywinąć się zręcznie. Gdybym miał więcej czasu, pokazałbym jasno, jakich to ludzi potrzeba wybierać na podobne urzędy, a zarazem powody, dla jakich tacy utrzymywani być powinni. Ale nie tu miejsce mówić o tym, powiem to raczej kiedyś tym, którzy mogą zaradzić złemu; tymczasem dodam tylko, że dopiero dowiedziawszy się o czarnoksiężstwie i o czarach, uśmierzyłem w sobie boleść wzbudzoną widokiem tego starca z siwymi włosami i białą brodą, tak okrutnie ukaranego za pełnienie obowiązków pośrednika miłości. Wiadomo mi wprawdzie, że czary nie istnieją na świecie, zwłaszcza takie, które by mogły zachwiać wolę człowieka. Wszyscy mamy w sobie wolnego arbitra, który nie boi się ani wpływu ziół, ani siły czarów i dlatego też wszystko, co czynią efronci i szarlatani, służy tylko do otrucia ludzi lub do głupienia ich, lecz nie do rozniecenia miłości.

---

<sup>90</sup> frymarczyć – handlować. [przypis edytorski]

– To wielka prawda – rzecze starzec – i przysięgam waszej wielmożności, że co się tyczy czarodziejstwa, jestem równie jak wy niewinnym.

– O! już to mój pan wcale nie jest czarnoksiężnikiem – przerwał Sancho – nie ma w nim ani jednej żyłki do tego nawet.

– Co do reszty – mówił dalej galernik – nie zaprzeczam wcale, ale nie sądziłem nigdy, aby w tym co złego być miało. Chciałem po prostu, żeby świat cały bawił się i wszyscy na nim w ściślejszy żyli przyjaźni, lecz moje dobre cele posłużyły tylko za powód do wysłania mnie w miejsce, z którego nie powrócę nigdy zapewne, gdyż w takim będąc wieku, cierpię nadto na wstrzymanie uryny, które mi momentu spoczynku nie daje.

I starzec zaczął płakać znów, czym rozczulony Sancho dobył sztukę wartości dwadzieścia dziewięć soldów i dał ją więźniowi.

Don Kichot zapytał piątego, jaki popełnił występki.

– Ten – odpowiedział jeden ze straży – nosi ubiór studenta, był wielkim papłą, umiał dużo po łacinie i za to jest karany.

Po tych wszystkich wystąpił człowiek z tęgą miną lat trzydziestu mniej więcej, zezowaty na jedno oko i mocniej od innych okuty, miał bowiem zawiązany łańcuch u jednej nogi, który otaczał mu ciało jakby pierścieniami węża, przy tym obręcz na szyi taką, że wyprostowanej głowy zgjąć nie mógł, od tej obręczy do pasa szły dwa pręty żelazne, do których przymocowano ręce okute w kajdany, tak, że ani rąk do głowy, ani głowy do rąk zbliżyć nie mógł.

Don Kichot zapytał, dlaczego by ten gorzej od innych był traktowany.

– Bo on sam jeden – odpowie strażnik – więcej popełnił występków niż inni wszyscy razem, a oprócz tego jest tak śmiały, że nawet w stanie, w jakim obecnie się znajduje, nie jesteśmy pewni, czyli uciec nie zdoła.

– A jakież on występki popełnił – rzecze Don Kichot – jeżeli na śmierć nie zasłużył?

– Skazany jest na dziesięć lat galery – odpowiedział strażnik – co już jest jakby śmiercią cywilną, lecz trzeba wiedzieć, że ten uczciwy człowiek jest to sławny Gines de Pasamonte, albo inaczej Ginesillo de Parapilla.

– Mości komisarzu – przerwie galernik – proszę trzymać język za zębami i nie rozszerzać się nad moim nazwiskiem lub przydomkiem. Imię mam Gines, nie Ginesillo, a Pasamonte, nie Parapilla, mojego rodu jest mianem. Niech każdy baczy na siebie, zamiast na drugich, a skoro się dobrze obejrzy, znajdzie niezawodnie dosyć do potępienia w sobie.

– Zaraz ja ci przytnę języka, ty wysoka szubienico – rzecze komisarz.

– Wszystko tu się dzieje według woli Bożej – rzecze Pasamonte, ale przyjdzie chwila, w której każdy dowie się, jakie jest moje prawdziwe nazwisko.

– Alboż cię nie nazywają Ginesillo Parapilla, potwarco – rzecze strażnik.

– Bez wątpienia – odpowiedział Gines – ale postaram się o to, aby mnie tak więcej już nigdy nie nazywano. Panie rycerzu – dodał – jeżeli chcecie nam dać cokolwiek, uczynicie to zaraz i ruszajcie z Bogiem, ta ciekawość poznania życia drugich, którą okazaliście, nudzić mnie zaczyna, lecz jeżeli chcesz znać moją historię, dowiedz się, że jestem Gines de Pasamonte i że życie moje opisane jest pięcioma palcami tej ręki.

– On prawdę mówi – rzecze komisarz – napisał sam swoją historię, którą zostawił za dług w więzieniu, dwieście realów wynoszący.

– Tak – rzecze Pasamonte – lecz ona tam nie zostanie długo, chociażby za dwieście dukatów była zastawiona, wydobędę ją stamtąd.

– Tak więc jest dobra ta książka – zawołał Don Kichot.

– Tak dobra – odpowie Pasamonte – że nikną przy niej Laraville de Tormes i wszystkie tego rodzaju książki, już napisane lub pisać się mające. Tyle tylko mogę panu powiedzieć o niej – mówił dalej – że znajdują się tam prawdy znane, przyjemne i zabawne, a tak dziwne, że niepodobna wymyślić bajek, które by im zrównały.

– A jakiż jest tytuł tej książki? – zapytał Don Kichot.

– *Życie Ginesa z Pasamontu* – odparł Gines.

– Czy to już skończone? – rzecze Don Kichot.

– Skończone o tyle, o ile życie moje; zaczyna się od mego urodzenia i trwa aż do czasu, gdy raz ostatni był na galerach.

– Już tedy nie pierwszy raz tam będziesz? – Zapytał Don Kichot.

– Nie, Bogu dzięki! – odpowiedział Gines – miałem już honor służyć tam królowi przez lat cztery i wiem dobrze, jak smakują biszkokty i kije, próbowałem często jednych i drugich, zresztą nie gniewam się tak bardzo, jakby kto myślał, że muszę znów iść na galery. Tam myślę dokończyć mego dzieła, mam jeszcze niemało materiałów w zapasie, a na galerach hiszpańskich zostawiają dosyć wolnego czasu, więcej nawet niż mi potrzeba, gdyż mam już wyryte w umyśle wszystko, o czym pisać będę.

– Zdajesz mi się być zdolnym człowiekiem – rzecze Don Kichot.

– I nieszczęśliwym, dodaj pan jeszcze, bo niedoła zawsze ściga ludzi wyższych.

– I zbrodniarzy także – przerwał komisarz.

– Powiedziałem już wam, mości komisarzu, żebyś trzymał język za zębami, nasi królowie nie dają prawa pastwić się nad nami, a ty jesteś tylko przeznaczony doprowadzić nas, gdzie ci rozkazano, niech więc każdy milczy, albo mówmy wszyscy razem i ruszajmy naprzód, już i tak za długo trwa to wszystko.

Na te słowa komisarz podniósł laskę, chcąc ukarać Pasamonta, lecz Don Kichot, stanąwszy między nimi, zabronił mu uczynić tego.

– Słuszne jest – rzecze – ażeby ten, co ma związane ręce, miał chociaż język swobodny – potem, zwracając się do galerników: – Bracia moi – rzecze – z tego, com słyszał od was, widzę jasno, że jakkolwiek kara, na którą skazani jesteście, z waszych błędów wynika, nie znosicie jej przecież bez zmartwienia, i że nie macie wielkiej ochoty iść na galery, że na koniec prowadzą was tam wbrew woli waszej, a ponieważ zdarza się często, że brak odwagi z jednej strony, brak pieniędzy z drugiej i mało względów u sądu wreszcie, wtrącają ludzi w podobne położenie, wszystko zagnała mnie oświadczyć wam, że niebo posłało mnie na świat jako rycerza błędnego, ażebym pomoc uciśnionym dawał i małych od tyraństwa wielkich wybawiał. Ponieważ zaś wszystko, o ile można, zgodnie robić należy, proszę więc pana komisarza i strażników, ażeby rozkuli wasze kajdany i puścili was na wolność. Znajdzie się jeszcze dosyć innych ludzi do służby królewskiej, a wreszcie niesprawiedliwie jest czynić niewolnikami ludzi stworzonych do wolności. A więc, panowie strażnicy – dodał – bardzo was proszę, ponieważ ci biedni ludzie nie obrazili was w niczym, puśćcie ich, niech sami czynią pokutę, nie przymuszeni do tego żadną obcą wolą. Jest sprawiedliwość w niebie, która rządzi i karze złych, gdy się poprawić nie chcą, a ludziom honorowym nie godzi się być katami swych bliźnich. Panowie! ze słodyczą i grzecznością proszę was o to. Jeżeli dopełnicie mojej prośby, zobowiązecie mnie mocno, w przeciwnym zaś razie ta włócznia, ten miecz i siła mego ramienia zmuszą was do tego.

– Et, ba! piękne mi żarty – odrzekł komisarz – to także pomysł żądać od nas uwolnienia galerników królewskich, jak gdyby to w naszej było mocy; jedź pan z Bogiem swoją drogą i popraw lepiej miednicę, którą masz na głowie, zamiast wścibiać nos tam, gdzie nie należy.

– Jesteś łotr i wisielec! – krzyknął Don Kichot. I w tej chwili, nie dając czasu do obrony, tak silnie natarł na komisarza, że powalił go włócznią na ziemię. Straż, zdziwiona takim rzeczy obrotem, zaatakowała ze wszech stron Don Kichota; jedni szpadami, drudzy pociskami, byliby go pokonali snadnie, gdyby galernicy, widząc tak piękną sposobność odzyskania wolności, nie zaczęli rozkuwać się z kajdan. Popłoch wielki stał się między strażą, która raz przybiegając do galerników wyzwalających się, to znów do Don Kichota, który im chwili spoczynku nie dawał, nic stanowczo przedsięwziąć nie mogła. Sancho zdołał wyzwolić Ginesa z Pasamontu, a ten, widząc się wolnym i rozkutym, rzucił się na komisarza i odebrawszy mu muszkiet i szpadę, natarł tak silnie na strażników, że ci wkrótce uciekli z pola bitwy.

Sancho nie bardzo się cieszył z tego zwycięstwa, bo nie wątpił, że straż niebawem powróci w większej liczbie i ukarze napastników; w tej niespokojności rzekł do pana, że byłoby dobrze zejść z drogi i ukryć się w pobliskich górach, gdyż przekłęci strzelcy pewno uderzą na gwałt i otoczywszy nas dokoła, mogą bardziej skrzywdzić, niżby się to nam podobało.

– Masz słuszność – rzecze Don Kichot – lecz obecnie co innego mam do czynienia.

Zawołał w tej chwili na galerników, którzy, obdarłszy komisarza, porzucili go nagiego na ziemi. Zbrodniarze zgromadzili się koło rycerza, chcąc dowiedzieć się, czego żąda.

– Jest to cnotą zacnych ludzi – rzecze nasz bohater, że serca ich czują wdzięczność za odebrane dobrodziejstwo, bo niewdzięczność jest najczarniejszym ze wszystkich występków. Widzieliście, panowie, com dla was uczynił, przekonany jestem, że nie trafiłem na niewdzięcznych i żądam tego dowodu. Otóż wymagam od was, abyście, wzięwszy na siebie kajdany, z których was rozkułem, poszli do miasteczka Toboso, tam zaprezentujecie się pani Dulcynei z Toboso i powiecie, że przysłała was do niej Rycerz Posępnego Oblicza, niewolnik jej wdzięków; opowiecie wszystko, co uczyniłem dla was, a potem możecie się udać, gdzie wam się podoba.

Gines z Pasamontu zabrał głos i w imieniu wszystkich odpowiedział:

– Panie rycerzu i nasz wybawco! Niepodobna nam spełnić waszego rozkazu, gdyż nie ośmielilibyśmy się okazać razem z obawy, aby nas nie poznano, potrzeba nam się koniecznie rozłączyć i przebrać tak zręcznie, żeby nie wpaść powtórnie w ręce świętej Hermandady, która niezawodnie ścigać nas będzie, lecz jeżeli wielmożność wasza raczy zmienić rozkaz i zamiast złożenia hołdu pani Dulcynei z Toboso, poprzestać raczy na wielkiej liczbie pacierzy, które zmówimy na jej intencję, wola wasza będzie wykonana. To można uczynić bez narażenia się, czy to we dnie, czy w nocy, w spoczynku, czy w ucieczce, w pokoju lub boju, ale raz jeszcze kosztować zupy egipskiej, czyli przywdziać powtórnie łańcuchy, na to przystać nie możemy.

– Przez Bóg żywy! – krzyknie Don Kichot, zapalony gniewem – don Ginesillo de Parapilla jest więc synem nierządnic, ale czymkolwiek bądź jest, musi pójść sam jeden okuty w łańcuchy i we wszystkie ozdoby, które miał poprzednio na swym szlachetnym ciele.

Pasamonte, z natury niecierpliwy, powziąwszy nadto nieszczególne o rozsądku Don Kichota mniemanie, po czynie, jaki tenże popełnił, nie mógł ścierpieć podobnej obelgi, dał znak swoim towarzyszom, a ci rozbiegłszy się w momencie, gradem kamieni zarzucili Don Kichota, który nie mógł się ani tarczą zasłonić, ani ostrogami przezwyciężyć brązowej obojętności Rosynanta. Sancho, ukryty za osłem, uniknął nawałnicy, gdy tymczasem pan jego, odebrawszy kilka pocisków, spadł na ziemię. Podskoczył ku niemu student, zerwał z głowy miednicę i uderzywszy nią kilkakrotnie w kark rycerza, rzucił gwałtownie o kamień i potłukł srodze. Inni galernicy, zdarłszy z Don Kichota suknię, którą na zbroi nosił, byliby go obnażyli do szczętu, gdyby zbroja, przykrępowana mocno, nie zniszczyła ich usiłowań. Zdarli również płaszcz z ramion Sanchy, a obnażywszy go zupełnie, podzielili się łupami; po czym, każdy wzięwszy nogi za pas, drapnął w swoją stronę, turbując się więcej o pogoń św. Hermandady, niż o składanie hołdów pani Dulcynei. Osioł, Rosynant, Sancho i Don Kichot pozostali sami na polu bitwy. Osioł, zwiesiwszy głowę, potrząsał niekiedy wielkimi uszami, sądząc zapewne, że grad kamienny trwa jeszcze; Rosynant, skaleczony dwoma uderzeniami, leżał rozciągnięty obok swego pana. Sancho nagi, jak gdyby z łona matki wyszedł, umierał ze strachu, by nie wpaść w ręce św. Hermandady, Don Kichot wreszcie, smutny i rozgniewany, wyrzekał na niewdzięczność zbrojczy, którym zrobił tak wielką przysługę.

## Rozdział IX

O tym, co się przytrafiło Don Kichotowi na Sierra Morena.

Don Kichot, widząc się w tak smutnym stanie, rzecze do swego giermka:

– Zawsze utrzymywałem, Sancho, że świadczyć dobrze złym i niewdzięcznym jest to rysować na piasku. Żebym był wierzył twoim słowom, nie byłbym naraził się na podobną nieprzyjemność. Z tym wszystkim stało się, bądźmy cierpliwi i niech to smutne doświadczenie będzie nam nauką na przyszłość:

– Ach, mój dobry panie, nim wy staniecie się roztropnym, ja zostanę Turkiem – rzecze Sancho; – lecz ponieważ powiedziałeś, że gdybyś był słuchał rad moich, uniknąłbyś tego wypadku, raczże mi wierzyć, o panie, w tej chwili jeszcze, a unikniesz większego nierównie; gdyż ręczę wam i ostrzegam zarazem, że całe rycerstwo wasze na nic się nie przyda przed św. Hermandadą, bo ona nie więcej ceni błędnych rycerzy, niż psów obłąkanych. Wiercie mi, panie, że słyszę już strzały, świszczące mi koło uszów.

– Jesteś tchórz z natury, Sancho – rzecze Don Kichot – lecz, żebyś nie sądził, że jestem uparty i że nigdy nie słucham rad twoich, uwierzę ci w tym razie i oddalę się od tej straszliwej Hermandady, której obawiasz się tak bardzo; lecz uczynię to pod jednym warunkiem, że żywy czy umarły nie powiesz nigdy nikomu, że cofnąłem się, by uniknąć groźącego niebezpieczeństwa, że jedynie uczyniłem to dla twojej przyjemności i ulegając prośbom twoim. Jeżeli powiesz inaczej, skłamięś i dziś równie jak wtedy, a wtedy, równie jak dziś, zaprzeczę ci i powiem, żeś skłamał. Nie mów mi nic więcej, gdyż sama myśl, że oddalam się i cofam przed jakimś niebezpieczeństwem, a nade wszystko przed takim, gdzie rzeczywiście narazić się można, zasmuca mnie boleśnie i gotów jestem pozostać tu aż do dnia sądnego, oczekując odważnie nie tylko św. konfraterni, o której mówisz, lecz nawet całego bractwa dwunastu pokoleń Izraela, siedmiu Machabeuszów, Kastora i Polluksa i wszystkich braci, bractw i konfraterni świata całego.

– Panie! – rzecze Sancho – cofać się to nie znaczy uciekać, bo oczekiwać wtedy, gdy niebezpieczeństwo przewyższa siły i doświadczenie, jest głupstwem, dlatego człowiek roztropny powinien strzec siebie z dnia na dzień, nie narażając się zupełnie od razu i wiercie mi, panie, jakkolwiek wieśniak i głupiec jestem, zawsze miałem zdolność do dobrego rządzenia. Nie wyrzucajcie przeto sobie, że za moją pójście radą, a teraz siadajcie na Rosynanta jeśli zdołacie, a jeśli nie, to pomogę wam, i oddalmy się stąd na miłość Boską. Serce mi mówi, że to nieosobliwe dla nas miejsce i że więcej nam potrzeba teraz użytku nóg, niż rąk naszych.

Don Kichot wsiadł na konia w milczeniu. Sancho uczynił podobnie i wjechali na góry Sierra Morena<sup>91</sup>, dość wysoką. Dobry giermek miał wielką ochotę przebyć całe góry, udać się aż do Almodovar del Campo i tam ukryć się na dni kilka przed poszukiwaniem sprawiedliwości. Najwięcej pobudzała go do podobnego przedsięwzięcia pewność, że ocalił podczas bitwy z galernikami cały zapas żywności, który dźwigał jego osioł, a był to cud prawdziwy, gdyż złodzieje szukali pilnie i zabierali wszystko, co tylko użyteczne być mogło.

Nasi podróżnicy przybyli już nocą w środek gór i w ustroniu opuszczonym osiedlili się według rady Sancha, z zamiarem przepędzenia tam dni kilku, lub przynajmniej dopóki żywność im wystarczy; rozlokowali się więc na tę noc między dwiema ścianami skały, pod liściastym drzewem, sądząc się bezpiecznymi od wszelkiej napaści. Lecz los, który rządzi i zastosowuje wszystko do swojej fantazji, sprawił, że Gines de Pasamonte, ów sławny zbrodniarz, odwagą i szaleństwem Don Kichota wybawiony z łańcuchów, uciekając przed św. Hermandadą, umyślił także ukryć się w tych

---

<sup>91</sup> *Sierra Morena* – w tłumaczeniu Walentego Zakrzewskiego: Czarna góra; w tłumaczeniu Józefa Wittlina *Sierra: Morena*, jak w oryginale. [przypis edytorski]

skalach i przybył właśnie w toż samo miejsce, gdzie Don Kichot i Sancho się znajdowali. Poznawszy ich po głosie, czekał dopóki by nie zasnęli, a że źli są zawsze niewdzięczni i niegrzeczni razem i że potrzeba dziurawi kamień, Gines, który nie był ani grzecznym, ani uczynnym, przywłaszczył sobie podczas snu osła Sanchy, którego wolał niż Rosynanta, i przed świtem jeszcze uciekł swobodnie dalej.

Wkrótce jutrzienka ukazała się ze swoim jaśniejącym obliczem, aby uradować i upiększyć ziemię, lecz tylko zasmuciła i zeszpeciła biednego Sanchę, który umierał z bóleści, widząc się pozbawionym osła. Giermek płakał tak smutnie i łkał tak żałośnie, że Don Kichot zbudzony, następną usłyszał skargę: „O drogi synu moich wnętrzności, urodziłeś się w moim domu! przyjemny piastunie dzieci moich! pociecho mojej żony, zazdrości moich sąsiadów i ulgo prac moich, karmicielu połowy mojej osoby, gdyż cztery soldy, które mi zarabiałeś dziennie, opędzały w połowie moje wydatki”.

Don Kichot, odgadłszy z tych lamentacji przedmiot bóleści Sanchy, usiłował pocieszyć go czułymi słowy i uczonym rezonowaniem o nieszczęściach tego świata, lecz najlepiej mu się udało, gdy prosząc go o cierpliwość, obiecał dać weksel na trzy osłałka, których pięcioro pozostało w domu. Sancho ucichł, nie mogąc oprzeć się tak silnej konsolacji, otarł łzy, powstrzymał westchnienia i szloch i podziękował serdecznie swojemu panu za uczynioną obietnicę. Don Kichot, którego słońce orzeźwiło nieco, ucieszył się, widząc się wśród gór, nie wątpił bowiem, że w tych miejscach znajdzie jaką przygodę. Odświeżył sobie w pamięci wszystkie cudowne wypadki, które się wydarzyły błędnemu rycerzowi w miejscach podobnie samotnych, i był tak upojony i podniesiony tymi nedorzecznościami, że o wszystkim zresztą zapomniał. Sancho także znacznie się uspokoił, widząc się również w bezpiecznym miejscu i myślał tylko o napełnieniu brzucha resztkami, które ocalały; poszedł za panem, niosąc tłumoczek, który dawniej dźwigał jego osioł, wyjmował kiedy niekiedy okruszyny i pożerał je chciwie, nie dbając o żadne przygody.

Tak idąc spostrzegł, że pan jego zatrzymał się, usiłując podnieść włócznią jakąś rzecz leżącą na ziemi, pośpieszył mu na pomoc; gdy przybył, Don Kichot trzymał już na końcu dzidy starą poduszkę skórzaną i walizę, związane razem. Oba te przedmioty były zniszczone, ale tak ciężkie, że potrzeba było pomocy Sancha, ażeby je podnieść, Sancho ciekawie przypatrzył się znalezionym rzeczom i dostrzegł, że waliza była zamknięta łańcuchem i kłódką, lecz przez dziury wyżarte wilgocią, wydobyl cztery koszule z cienkiego holenderskiego płótna, mnóstwo innej pięknej bielizny, a w chustce jednej znalazł znaczną ilość sztuk złotych.

– Niech będzie niebo błogosławione! – zawoła Sancho na ten widok – raz przecie w życiu napatoczyła się nam korzystna przygoda – i szukając dalej, znalazł album<sup>92</sup> bogato oprawne.

– To zatrzymuję dla siebie – rzecze Don Kichot – pieniądze zaś weź sobie, Sancho.

– Bardzo dziękuję jaśnie wielmożnemu panu – odpowiedział tenże, całując ręce rycerza i schował wszystko do swego tłumoczka.

– Zapewne, Sancho – rzecze Don Kichot – ktoś zabłąkał się w tych górach i złodzieje, zamordowawszy go, zagrzebać musieli pomiędzy skałami.

– To być nie może, panie – odpowiedział Sancho – złodzieje nie zostawiliby pieniędzy.

– Masz słuszność – odpowie Don Kichot – sam nie wiem teraz, co to być może, ale czekaj, bez wątpienia znajdziemy w tym album objaśnienie tego wypadku. Jakoż otworzywszy je, rycerz znalazł pięknie napisany sonet, który głośno czytać zaczął:

Albo miłości braknie rozeznania,  
Lub ma za wiele w sobie okrucieństwa,  
Lub błąd mój nie jest powodem męczeństwa,  
Która<sup>93</sup> mi serce szponami rozrania.

---

<sup>92</sup> album – daw. r.n., dziś r.m. [przypis edytorski]

<sup>93</sup> Która – chodzi o miłość. [przypis edytorski]

Gdy miłość Bogiem – to rozum zabrania  
Stawić przymiotom jego sprzeciwieństwa.  
Bogu nieznane żadne okrucieństwa!  
Któż więc nade mną dzierży moc karania?

Nie ty, kochana! Z dobra złe nie płynie,  
Ze słońca piorun nigdy nie wystrzeli,  
I z nieba piekło na ziemię nie schodzi.

Trzeba więc umrzeć, bo w strasznej godzinie  
Kiedy choroby ludzie nie pojęli,  
To już ratunek chyba cud wyrodzi.

- Ta piosnka nauczy nas tylko, że po nici dojść można do kłębka.
- O jakiej nici ty mówisz?
- Zdaje się – mówi Sancho – że tam było coś o nici.
- Ale gdzie tam – odpowie Don Kichot – było wyraźnie o dziewczynie, a to jest pewnie nazwisko damy, na którą uskarża się autor sonetu.
- Nazywacie to, panie, sonetem? – rzecze Sancho – bardzo się cieszę z tego, prawda, że on nieźle dźwięczy.
- Tak, to jest sonet – odpowie Don Kichot – i wcale piękny nawet. Poeta był niezły, podług mego zdania.
- Jak to? panie, znacież się więc i na robieniu wierszy?
- Troszkę lepiej, niż myślisz, Sancho – odpowie Don Kichot – i sam najlepiej przekonasz się o tym, gdy zawieszysz ode mnie list, cały wierszem napisany, do pani Dulcyni z Tobozo. Dowiedz się, Sancho, że wszyscy błędni rycerze dawnych czasów byli poetami i muzykami, gdyż te dwie piękne sztuki są jakby głównymi przymiotami błędnego rycerza. Wprawdzie w poezji dawnych rycerzy było więcej życia niż sensu, a reguł wcale nie było.
- Raccie też czytać dalej, rycerzu – rzecze Sancho – być może, znajdziemy jaką rzecz, która nas więcej objaśni.
- Don Kichot, przewróciwszy kartkę: – Otóż znów proza – rzecze – będzie to list pewnie.
- Czy do kogo pisany? – zapyta Sancho.
- Początek każe mi wierzyć, że to jest list miłosny – odpowie Don Kichot.
- Niech wasza wielmożność przeczyta też głośno, niezmiernie lubię czytać listy miłosne.
- Bardzo chętnie – odrzekł Don Kichot i zaczął czytać.

„Fałszywość twoich przyrzeczeń i moje nieszczęście, o którym nie wątpię już w tej chwili, zmusza mnie oddalić się od ciebie i pierwej dowiesz się o mojej śmierci, niż o przyczynie cierpienia mego. Opuściłaś mnie, niewdzięczna, dla człowieka, który nie przymiotów, ale pieniędzy ma więcej ode mnie. Gdyby cnota była bogactwem w tym wieku, nie miałbym potrzeby zazdrościć go komukolwiek i obecne nieszczęście nie ucisnęłoby mego serca. Pierwsza kazała mi wierzyć, że jesteś bóstwem czystości, a drugie nauczyły mnie, że jesteś tylko kobietą. Żegnam cię, życzę ci spokoju. Tobie, która skazałaś mnie na walkę wieczną, oby niebo sprawiło, abyś nie przekonała się nigdy o zdradzie twojego męża, abym, widząc cię żalującą wyrządzonej mi niesprawiedliwości, nie musiał szukać zemsty za cierpienia nasze na człowieku, którego szanować jesteś obowiązana”.

- Ten list nie więcej nas nauczył, jak wiersze – rzecze Don Kichot – to pewna jednak, że jego autor był zdradzonym kochankiem – i przewracając kartki, znalazł wiele innych listów

i wierszy, których w połowie przeczytać nie mógł, a wszystkie napełnione skargami, wyrzutami, rozpaczą i cierpieniem. Podczas gdy Don Kichot przewracał kartki, Sancho rewidował walizę, nie opuścił najmniejszego kącika, rozpruł nawet poduszkę, tak dalece nabrał badawczego gustu od czasu znalezienia złota, którego więcej niż sto sztuk było, i chociaż nic więcej nie znalazł, przecież sądził się dosyć wynagrodzonym za wszystkie poniesione kłeski, jak podrzucanie, ból brzucha od balsamu, za kije wzięte od mulników, grad kamieni od owczarzy, kułaki i pięści od furmanów, stratę żywności, zgubę osła, obnażenie z rzeczy, głód, pragnienie i niezliczone trudy, które poniósł w usługach swego rycerza; nagroda zdawała mu się być dostateczna i chciałby dostawać ją co miesiąc, chociażby miał ją takimże samym trudem wysłużyć. Nasz rycerz jednakże bardzo był ciekawy dowiedzieć się, kto był właścicielem walizy, gdyż wnosząc z ilości złota, piękności bielizny, dobroci prozy i tkliwości wiersza, musiał to być człowiek przyzwoity, którego pogarda i złe obchodzenie kochanki do rozpaczki przywiodły; lecz będąc przekonanym, że nikt nie udzieli mu żadnych wieści w miejscu tak ustronnym, pojechał dalej, kierunek drogi zdając na Rosynanta, który z trudnością przedzierał się przez ciernie i skały. Postępując w ten sposób, Don Kichot miał ciągle nabita głowę przygodami, które niezawodnie w tym dzikim kraju spotkać go miały; wtem, na wierzchołku wzgórza, do którego się zbliżał, zobaczył człowieka z nadzwyczajną lekkością skaczącego ze skały na skałę, nie zważając na ciernie i krzaki. Człowiek ten zdawał mu się być nagi, z czarną i gęstą brodą, bez pończoch i trzewików, z włosami w nieładzie. Na udach miał tylko podarte aksamitne spodnie, ale tak podarte, że świecił ciałem na wszystkie strony, głowę miał również odkrytą i jakkolwiek szybko przebiegał, nasz rycerz wybornym wzrokiem swoim wszystkie te szczegóły dostrzegł od razu i usiłował doścignąć go, w mniemaniu, że to jest pewnie właściciel znalezionych rzeczy, lecz Rosynant, zbyt słaby i z natury leniwy, nie lubił wszelkiego pośpiechu. Rycerz Posępnego Oblicza postanowił przecież koniecznie dogonić rycerza walizy, chociażby mu przyszło rok cały szukać w górach, i w tej rezolucji rozkazał Sanchowi szukać go z jednej strony, podczas gdy on obejdzie drugą.

– Z taką pilnością szukając, znajdziemy go niezawodnie – rzekł.

– Ja tam go wcale szukać nie myślę – odpowie Sancho – gdyż skoro się tylko na krok od was oddalę, strach mnie ogarnia okropny i ze wszystkich stron atakuje mnie cały korpus diabłów Św. Antoniego. Raz też na zawsze uprzedzam waszą wielmożność, że nie oddalę się od niej ani na pół stopy.

– Ciesz się mnie to – rzecze rycerz – że czerpiesz siłę w mojej odwadze, zapewniam cię, że tej nie zbraknie mi nigdy, pójdź więc powoli za mną i oglądaj się dobrze na wszystkie strony, przetrząśniemy całą górę, a spotkamy niezawodnie właściciela walizy.

– Panie – odpowie Sancho – zdaje mi się, że lepiej nie szukać go wcale, bo jeżeli znajdziemy go i waliza istotnie doń należy, to trzeba ją będzie zwrócić. Nie ma potrzeby śpieszyć się, lepiej czekać, aż spotkamy się z nim gdzieś w innym miejscu, to wydawszy już wszystkie pieniądze i zdarty koszule, będzie i kwita z nami, na mocy prawa książęcego.

– O, co w tym, to się mylisz Sancho – rzecze Don Kichot – bo od chwili, gdy mamy nadzieję znaleźć właściciela tych rzeczy, powinniśmy szukać go i zwrócić stratę, a jeżelibyśmy nie szukali go wcale, nie możemy sumiennie zatrzymywać rzeczy, które nie są naszą własnością, tak więc, przyjacielu Sancho, niech to poszukiwanie nie martwi cię, gdyż co do mnie, znalazłszy tego człowieka, ulżę sobie wielkiego ciężaru.

To rzekłszy, spał ostrogami Rosynanta, a Sancho, dzięki Ginesillowi z Pasamontu, postępował za nim objuczony jak osioł.

Obszukawszy wszystkie miejsca, przybyli wreszcie nad brzeg strumienia, tam znaleźli zdechłego muła z siodłem i uzdeczką, którego psy i kruki na wpół już pożarły, co tym bardziej utwierdziło ich w mniemaniu, że ów uciekający człowiek był właścicielem walizy. Gdy przypatrywali się mułowi i robili uwagi nad tą nową przygodą, usłyszeli świst podobny temu, jakiego używają pasterze trzód, i w tejże chwili ujrzeli na lewo wielką gromadę kóz, a za nimi starego pasterza.

Don Kichot zawołał nań, a staruszek zdziwiony zapytał, co ich sprowadziło w miejsce tak dzikie i ustronne, w którym tylko kozy, wilki i inne dzikie zwierzęta przebywają.

– Zbliź się tu, dobry człowieku – rzekł Sancho – a opowiemy ci wszystko. Pasterz zeszedł z góry i zbliżając się do Don Kichota:

– Założyłbym się – rzecze – że przypatrujecie się zdechłemu mułowi. On tu wszakże już szósty miesiąc leży i ciekawy jestem, czy nie spotkaliście kędy po drodze jego pana?

– Nie znaleźliśmy nikogo – rzecze Don Kichot – oprócz poduszki i walizy, które o kilka kroków stąd leżały.

– Zdybałem je również – rzecze pasterz – lecz nie chciałem dotknąć ich nawet, żeby mnie czasem później o złodziejstwo nie posądzono, bo to diabeł, panie, czasem rzuca pod nogi rzeczy, które później bokiem wyłażą.

– Tak samo i ja uczyniłem – rzecze Sancho – nie zbliżyłem się nawet do walizy i zostawiłem ją tam, gdzie była. Niech tam sobie leży spokojnie!

– Powiedz też mi, dobry człowieku, czy nie wiesz, do kogo ten muł należał? – zapytał Don Kichot.

– To tylko wiem – odpowie pasterz – że przed sześciu miesiącami jakiś młody i bardzo piękny pan przybył na tym mule z walizką i poduszką, które widzieliście, i pytał się pasterzy, o trzy mile stąd mieszkających, jakie jest najbardziej ukryte i najdziksze miejsce w górach. Ukazaliśmy mu to właśnie, gdyż w samej rzeczy, wszedłszy dalej troszkę, już stąd wyjść trudno. Dlatego dziwię się mocno, widząc was tutaj, gdyż żadna droga, ani ścieżka nie prowadzi w to miejsce. Otóż więc ów młody człowiek, usłyszawszy naszą odpowiedź, odjechał czym prędzej drogą mu wskazaną, zostawiając nas zdziwionych swoją pięknoscą i pośpiechem, z jakim podązał w góry. Jakiś czas nie widzieliśmy go wcale, aż w kilka dni potem, spotkawszy jednego z naszych pasterzy, rzucił się na niego i dawszy mu ze sto kijów, zabrał z objuczonego osła wszystko pożywienie nasze i z szybkością jelenia, schronił się w góry. Dowiedziawszy się o tym, wybraliśmy się w kilku dla wyszukania go i przez dwa dni przetrząsając najskrytsze miejsca w górach, znaleźliśmy wreszcie ukrytego w spróchniałym drzewie. Przyjął nas ze słodyczą lecz tak był zmieniony na twarzy, tak spalony od słońca, że tylko po sukniach poznaliśmy go, a i te zupełnie poszarpane były. Pozdrowił nas grzecznie i w krótkich, ale wymownych wyrazach prosił, abyśmy nie dziwili się jego postępowaniu, gdyż tym sposobem dopełnia tylko przeznaczonej mu pokuty. Prosił nas go usilnie, aby nam powiedział, kto jest. Nie odpowiedział na to wcale. Oświadczyliśmy mu wtedy, aby nam wskazał miejsce, w którym by znaleźć go można było w razie jakiej potrzeby, a mianowicie żywność mu przynosząc, którą chętnie dawać mu przyrzekliśmy, byleby jej gwałtem nie wydzierał, jak to uczynił. Podziękował nam uprzejmie, przeprosił za wyrządzoną pasterzowi krzywdę, przyrzekając, że odtąd o wszystko w imieniu Pana Boga prosić będzie, nie napadając na nikogo. Zapytaliśmy go jeszcze, gdzie jego schronienie. Odpowiedział, że nie ma oznaczonego miejsca, lecz korzysta z każdej sposobności, by noc przepędzić bezpiecznie i zakończył swoją mowę tak żałośnymi skargami, że my zwłaszcza, cośmy go niedawno w takim widzieli stanie, musielibyśmy mieć kamienne serca, by nie rozczulić się jego niedolą; bo, jak to już wam powiedziałem, był to młody, przyjemny człowiek, bardzo dowcipny i rozumny i, jak się zdawało, wysokiego rodu. Nagle przestał mówić, spuścił oczy w ziemię i w tym stanie pozostał czas jakiś. Po chwili zobaczyliśmy, że zmienił wyraz twarzy; otwierał i zamykał oczy, marszczył brwi, zaciskał mocno usta i pięści, jak człowiek, którego paroksyzm szaleństwa napada. Jakoż tak było w istocie, podniósł się bowiem gwałtownie z miejsca, na którym siedział, i na najbliższego z nas rzucił się z taką furią i wściekłością, że gdybyśmy nie pośpieszyli z pomocą, zabiłby go niezawodnie razami pięści i rozszarpał zębami. Podczas tej całej strasznej sceny młodzieniec krzyczał: – Ach, zdrajco, Fernandzie! teraz dopiero zapłacisz mi za wszystkie zniewagi! Rękami wydrę ci serce, w którym złość całego świata, a nade wszystko fałsz i zdrada mieszkają. Wyzionął jeszcze mnóstwo innych przekleństw, a wszystkie kończyły się wyrzutami zdrady Fernandowi, po czym oddalił się od nas w milczeniu i zniknął w lesie, przeskakując przez skały z taką szybkością,

że doścignąć go było niepodobna. To zdarzenie przekonało nas, że cierpiał napady szaleństwa, że jakiś Fernando był powodem jego nieszczęścia. Umocniło nas w tym przekonaniu i to, że niekiedy przybywał do naszych mieszkań, łagodnie prosząc o pożywienie, niekiedy zaś rzucał się i wydierał je gwałtem. Trzeba wam wiedzieć, panowie – ciągnął dalej pasterz – że postanowiliśmy ja i dwaj moi przyjaciele pasterze, razem ze sługami wyszukać koniecznie nieszczęśliwego młodzieńca i chociażby gwałtem zaprowadzić go do Almodovar, o kilka mil stąd leżącego, celem niesienia mu ratunku w tak smutnej chorobie. Tam, myśleliśmy, dowiemy się, kto on jest i oddamy go pod opiekę rodziny. Oto wszystko, co wiem, moi panowie; nie wątpię, że ten, któregoście widzieli przebiegającego z taką lekkością przez skały, jest istotnie właścicielem walizy i zdechłego muła.

Don Kichot był zachwycony opowiadaniem pasterza i teraz tym większej nabrał chęci dowiedzieć się, kto był ów nieszczęśliwy młodzieniec; postanowił przeto szukać go wszędzie, przetrząść każdą rozpadlinę, każde drzewo w górach, dopóki nie znajdzie młodego zbiega; lecz wypadek zrządził inaczej, gdyż w tej samej chwili z jaskini, w pobliskiej skale będącej, wyszedł ten sam młodzian i idąc prosto ku nim, mrucał coś niewyraźnie. Wyglądał tak, jak już go raz opisaliśmy; zwierzchnia jego suknia była poszarpana zupełnie. Don Kichot jednak wniósł z jej szczątków, że to był człowiek wysokiego rodu. Młodzieniec uklonił się im grzecznie i przywitał głosem szybkim a chrypliwym. Don Kichot oddał mu ukłon z wyszukaną uprzejmością i zsiadłszy z Rosynanta, uściskał go tak czule, jakby się znali od dawna. Przybyły odstąpił trochę od rycerza, potem zbliżył się znowu i położywszy mu rękę na piersiach, przypatrywał się z równym podziwieniem i ciekawością, jak nasz bohater przyglądał się jemu poprzednio. Pierwszy z nich przemówił rycerz obszarpany, a co wyrzekł, dowiedzie się w następnym rozdziale.

## Rozdział X

W którym zamyka się dalszy ciąg przygody na Sierra Morena.

Historia powiada, że Don Kichot słuchał z wielką uwagą opowiadania obszarpanego rycerza gór, który tak kończył swoją mowę:

– Panie, ktokolwiek jesteś, gdyż nie znam cię wcale, jestem przecież nieskończenie ci obowiązany za grzeczność i uczciwość, z jaką obchodzisz się ze mną, i chciałbym serdecznie czymś więcej niż słowami okazać wdzięczność moją, lecz los okrutny nie zgadza się z chęciami serca mojego i za tyle dobroci mogę ci tylko bezużyteczne ofiarować chęci.

– Co do mnie – odpowie Don Kichot – postanowiłem zawsze i wszędzie wspierać ciebie. Już pierwiej przedsięwziąłem nie opuścić tych gór, dopóki nie wyszukam i nie dowiem się z ust twoich, jakim sposobem można by przynieść ulgę cierpieniom twoim, chociażby z narażeniem życia mojego, a w razie, jeśli nieszczęścia twoje są bez ratunku, znosić je i podzielać z tobą, mieszając łyżę moje z twoimi. Wiem dobrze, że zawsze w nieszczęściu pociesza nas współczucie serdeczne i jeżeli pan sądzisz, że moje dobre chęci zasługują na wdzięczność, błagam cię w imieniu grzeczności, jaką mi okazujesz, i zaklinam w imieniu wszystkiego, co kochałeś, powiedz, kto jesteś i jaki powód zagnał cię ukrywać się w miejscu tak dzikim i odludnym; przysięgam – dodał Don Kichot – na zakon rycerstwa, do którego acz niegodny należę, że oddam ci wszelkie usługi, jakich w nieszczęściu twoim mógłbyś potrzebować.

Rycerz gór, słysząc taką mowę Rycerza Posępnego Oblicza, ciekawie nań pozieirał, mierząc go wzrokiem od stóp do głowy. Na koniec, dokładnie mu przyjrząwszy się, rzecze:

– Jeżeli masz kawałek czego do zjedzenia, na miłość boską, chciej mi użyzyć, a skoro się najem, zrobię wszystko, co tylko zechcesz.

Natychmiast Sancho ze swego tłumoczek, a pasterz z koszałki dobył pożywienie i rycerz obdartus zaczął zającać z chciwością i takim pośpiechem, że raczej pożerał niż jadł. Napelniwszy wreszcie żołądek, powstał i skinąwszy na Don Kichota i jego towarzyszków, aby się za nim udali, zaprowadził ich na łąkę między skałami leżącą, a sam usiadłszy na murawie i rozparłszy się wygodnie, tak zaczął:

– Jeżeli żądasz, panie, usłyszeć historię nieszczęść moich, uczyni mi przyrzeczenie, że nikt z obecnych tu ani słowem, ani gestem, nie będzie mi przerywał, gdyż w przeciwnym razie za najmniejszym uchybieniem przerwę swoje opowiadanie.

Taki wstęp przypomniał Don Kichotowi ową bajkę, którą mu Sancho w nocy opowiadał, gdzie z powodu pomyłki w liczbie kóz przepawionych przez rzekę urwała się historia.

– Czynie to ostrzeżenie jedynie dlatego – dodał rycerz leśny – ażebym prędzej mógł skończyć opowiadanie swych nieszczęść, na których wspomnienie okropny ból czuję. Jednakże opowiem wam wszystko, nie opuszczając najdrobniejszego szczegółu.

Don Kichot w imieniu wszystkich przyrzekł zupełną uwagę i najsolenniejsze milczenie, a po tym zapewnieniu rycerz obdartus zaczął w ten sposób:

– Nazywam się Kardenio, ojczyzną moją jest jedno ze znaczniejszych miast Andaluzji, pochodzę ze szlchetnego rodu i mam bogatą rodzinę. Nieszczęścia me jednak są tak wielkie, że ani bogactwa, ani pomyślność mych krewnych nie mogą przynieść mi ulgi. W tym samym mieście urodziła się cudna Luscinda, niezrównana w piękności, szlachetności i bogactwie, która jednakże nie miała dosyć stałości, ażeby odpowiedzieć godnie szczerości uczuć moich; kochałem Luscindę od najmłodszych lat, uwielbiałem ją w dzieciństwie, a ona kochała mnie z tą prostotą i szczerością, które towarzyszą uczuciom młodego wieku. Nasi rodzice nie przeszkadzali rozwijaniu się naszej miłości, gdyż równość urodzenia i majątku do małżeństwa naszego nie stawiały zapory. Miłość wzrastała z wiekiem, wtedy ojciec Luscindy, nie mogąc znieść zbytnej poufałości naszej, lub może

z innych jakich powodów, prosił mnie, ażebym zaprzestał bywać w jego domu. Ta przeciwność powiększyła nasz zapał i stworzyła nowe żądze. Nie mogąc widywać się, pisywaliśmy do siebie, gdyż pozostawiono nam tę wolność; tak więc w każdej chwili mogliśmy swobodnie odkrywać sobie myśli nasze. Składałem pieśni i wiersze miłosne i nawet czyniłem wszystko, co czynią kochankowie, by osłodzić swoje troski. Luscinda starała się także dać mi poznać całą moc swojej czułości i szukaliśmy ulgi cierpieniom, rozbudzając w sobie gwałtowną namiętność. Na koniec, powodowany żądzą i niecierpliwością widzenia Luscindy, postanowiłem prosić o jej rękę i ażeby nie stracić czasu tak drogiego dla zakochanych, udałem się osobiście do jej ojca. Odpowiedział mi z wielką grzecznością, podziękował za honor, jaki mu czynię, lecz oświadczył zarazem, że żądanie podobne nie ja sam, lecz ojciec mój uczynić powinien; gdyż jeżeli przychodzę bez jego wiedzy, lub jeżeli odmówi zezwolenia, to córka jego nie może połączyć się ze mną. Podziękowałem mu za grzeczność i przyznając słuszność, przyrzekłem, że ojciec sam przybędzie powtórzyć prośbę moją. Jakoż w tej chwili wyszedłem szukać go, ażeby odkryć mu rzecz całą. Znalazłem ojca w swoim pokoju. Trzymał list otwarty w rękę i podał mi go natychmiast. – Dowiesz się, Kardenio, rzecze mi, jaką łaskę książę Ryszard chce ci wyświadczyć. (Wiecie panowie, że książę Ryszard jest grandem Hiszpanii, którego majątek w najżyźniejszej części Andaluzji leży). W liście tym książę prosił mego ojca, ażeby przysłał mnie na dwór jego dla towarzystwa młodszego syna, za to przyrzekał ustalić mój los i przyszłość całą. Przeraziłem się na myśl rozstania się bliskiego z Luscindą, gdyż ojciec oświadczył, iż w ciągu dwóch dni nastąpi mój wyjazd. Dzień oddalenia nadszedł. Poprzedniej nocy widziałem Luscindę i uwiadomiłem ją o tym, co zaszło, poszedłem do jej ojca, prosząc, by zachował dla mnie dobre chęci swoje, dopóki nie wrócę od księcia Ryszarda. Przyrzekł mi to i rozstaliśmy się z Luscindą z całą boleścią kochających się serc, poprzysięgając sobie wzajemną stałość. Na koniec wyjechałem do księcia, który przyjął mnie tak życzliwie, że cały dwór jego zazdrością napełniłem. Starszy syn księcia przyjął mnie również serdecznie, lecz brat jego młodszy Don Fernand, piękny i pełen uprzejmości, nadzwyczajnie rozmiłował się we mnie. Dawał mi ciągle dowody najczulszej przyjaźni tak dalece, że lubo brat jego serdecznym był dla mnie, wielką przecież w przyjaźni ich dla siebie znajdowałem różnicę. Ponieważ między przyjaciółmi nie masz tajemnic, Don Fernand zwierzał mi się ze wszystkimi myślami. Dowiedziałem się tedy, że był zakochany w pięknej wieśniaczce, córce bogatego rolnika, który był wasalem księcia, jego ojca. Ta dziewczica była tak piękna i skromna, że obudzała powszechne uwielbienie, a przymioty jej tak oczarowały umysł Don Fernanda, że nie mogąc posiąść jej inaczej, postanowił zaślubić wieśniaczkę. Zniewolony przyjaźnią Fernanda, czułem się w obowiązku odwieść go od takiego zamiaru, który za nierozsądny uważałem, lecz widząc, że starania moje są bezskuteczne, postanowiłem donieść o wszystkim księciu. Don Fernand był zręczny i przenikliwy, przewidział mój zamiar i chcąc zapobiec wykonaniu go, udał, że sam pragnie uleczyć się z nierozsądnej namiętności, a mniemając, że oddalenie korzystny wyrzecz może skutek, namówił mnie, żebym prosił księcia o pozwolenie, abyśmy pod pozorem kupienia koni, które w moich rodzinnych stronach były najlepsze, udali się obydwaj do domu moich rodziców. Chęć zobaczenia Luscindy sprawiła, że przystałem z radością na jego zamiar i nawet nagliłem o śpieszne wykonanie. Don Fernand, jak się o tym później dowiedziałem, zaślubił już potajemnie ową wieśniaczkę, lecz nie śmiał odkryć się w niepewności, jak książę przyjmie jego małżeństwo. U wielu wszelako ludzi miłość jest tylko żądzą nasycenia zmysłów. Don Fernand, odebrawszy już wszystkie dowody czułości od swojej kochanki, stygł sercem coraz bardziej dla niej i jak pierwiej przez podstęp, tak teraz rzeczywiście pragnąc oddalić się z domu, uzyskał pozwolenie księcia i wkrótce wyjechaliśmy obydwaj do majątku mego ojca. Rodzice moi przyjęli Don Fernanda z uszanowaniem, należnym człowiekowi wysokiego urodzenia, a Luscinda, ucieszona z mego przybycia, okazywała mi dowody najczulszej miłości. Po upływie dni kilku, nie chcąc mieć tajemnicy dla Don Fernanda, na moje nieszczęście uwiadomiłem go o miłości swojej. Skreśliłem mu z zapałem piękność Luscindy i tym sposobem roznieciłem w nim chęć poznania osoby tak doskonałej, a chcąc przekonać go o prawdziwości słów moich, ułatwiłem mu sposobność zobaczenia jej, gdy pewnego dnia siedzieliśmy

oboje na balkonie. Luscinda wtedy ustrojona była z wielką wytwornością i Don Fernand przyznał, że nic piękniejszego w życiu nie widział. Od tej chwili zapomniał dawnych uczuć, złamał dane słowo, a zachwycony widokiem Luscindy, rozgorzał ku niej namiętą miłością, której zobaczycie skutki. Jakby dla zapalenia bardziej jego namiętności i rozniecienia zazdrości, wpadł mu w ręce bilet napisany przez Luscindę do mnie, w którym zażądała, abym przyspieszył nasze małżeństwo, lecz uczyniła to z taką dyskrecją i delikatnością, iż Fernand zachwycony zawołał, że wszystkie piękności umysłu i ciała łączą się w jej osobie. Muszę wyznać, że pochwały Don Fernanda nie były mi bardzo po myśli, zacząłem go podejrzewać i kryć się przed nim; lecz o ile ja unikałem mówić z nim o Luscindzie, o tyle on zwracał ku temu sposobność. Tym sposobem obudziła się we mnie zazdrość nie dlatego, aby Luscinda dawała jakie do tego powody, której wierności zresztą pewny byłem, lecz, że miałem przecucie złego losu. Don Fernand był niezmiernie ciekawy widzieć wszystkie listy, które odbierałem od Luscindy, jak również moje odpowiedzi, i ażebym mu nie mógł odmówić pokazania, oświadczył mi, że sprawa mu nadzwyczajną rozkosz szlachetny i delikatny sposób naszej korespondencji. Pewnego dnia Luscinda, która bardzo lubiła czytać rycerskie powieści, prosiła mnie o przysłanie historii Amadisa z Galii...

Zaledwie Don Kichot usłyszał tytuł rycerskiej książki, przerwał Kardeniowi i zawołał.

– Gdybyś był mi na początku powiedział, że ta piękna panna lubiła czytać rycerskie powieści, bez dalszego opisu miałbym już najwyższe wyobrażenie o wzniosłości jej umysłu, a ponieważ jest taką, uznaję ją od tej chwili za najpiękniejszą i najrozumniejszą ze wszystkich dziewic świata. Szkoda, panie, że nie posłałeś jej razem z Amadisem z Galii, historii dobrego Don Rogera z Grecji. Panna Luscinda bez wątpienia polubiłaby bardzo Darajda, Garraja i dyskretnego pasterza Darinela, który swoje wiersze pasterskie tak czule wyśpiewywał, ale czasem da się to naprawić, gdyż skoro tylko uczynisz mi pan honor, że odwiedzisz mnie w moim domu, pokażę ci całe 300 tomów, które są rozkoszą i szczęściem życia mego. Chętnie poświęcę je na twoje usługi, chociaż może nie znajdę ani jednego obecnie wskutek złośliwego czarnoksiężników uroku. Przebacz mi pan, że złamałem obietnicę i przerwałem opowiadanie, lecz skoro usłyszę co o rycerzach błędnych, niepodobna milczeć, mów dalej, jeśli łaska.

Podczas gdy Don Kichot mówił, Kardenio siedział nieruchomy ze spuszczoną na piersi głową, wreszcie podniósł wzrok błędny i rzekł:

– Trzeba być łotrem i zbójcą, żeby ośmielić się zaprzeczyć mi, iż niegodziwy majster Elisabeth syział z królową Madasimą.

– Nieprawda – zawołał Don Kichot z gniewem – królowa Madasima była cnotliwą damą i nie ma przykładowi, ażeby tak wielka księżniczka bawiła się miłością z wyrwizębem, ktokolwiek to mówi, kłamie bezczelnie i gotów jestem dowodzić tego pieszo lub konno, zbrojnie lub bez broni, dniem lub nocą.

Kardenio spoglądał bacznie na Don Kichota i milczał. Jego obłąkanie powróciło i nie był w stanie kończyć swej historii, jak równie Don Kichot słuchać jej dalej, tak był rozgniewany obrazą, wyrządzoną królowej Madasima, nasz rycerz bowiem, będąc zapalonym czcicielem swoich książek, wierzył we wszystko, co w nich napisano. Kardenio, który, jak powiedziałem, już był w paroksyzmie obłąkania, słysząc groźby Don Kichota, podniósł kamień z ziemi i tak dzielnie uderzył nim w brzuch rycerza, że od razu powalił go na ziemię. Sancho Pansa nie mógł ścierpieć podobnego obejścia się ze swym panem, rzucił się z zaciśniętymi pięściami na Kardenia, lecz ten jednym uderzeniem pięści rzucił go pod nogi i wskoczywszy na brzuch, gniótł nielitościwie. Pasterz, przybywający na pomoc Sanchy, nie lepiej był przyjęty. Kardenio, zbiwszy ich wszystkich, oddalił się spokojnie i ukrył się w lesie. Sancho po chwili podniósł się i wściekły ze złości, zaczął wyrzucać pasterzowi, że nie uprzedził go, iż ten człowiek miewa niekiedy paroksyzmy szaleństwa, gdyż wiedząc o tym, byłby się strzegł. Pasterz odpowiedział, że ich uprzedził obydwo, a jeżeli nie słyszeli, to nie jego wina. Sancho zaprzeczył, pasterz upierał się i wreszcie z tych wszystkich wymówek i wyrzutów, chwycili się za

brody i zaczęli okładać kułakami tak silnie, że gdyby Don Kichot ich nie rozerwał, poszarpaliby się na sztuki. Sancho miał chrapkę do bicia i krzyczał:

– Nie przeszkadzaj mi, wasza wielmożność, Rycerzu Posępnego Oblicza, ten człowiek jest tylko nędznym chłopem, ni mniej, ni więcej, jak ja, nie jest to zbrojny rycerz, mogę więc walczyć z nim zęb za zęb, jak człowiek honoru i pomścić za obrazę mi uczynioną.

– To prawda – rzecze Don Kichot – lecz w tym wszystkim, co nam się przytrafiło, obrazy nie ma.

Mówiąc to, rozdzielił ich i zapytał pasterza, gdzie by mógł znaleźć Kardenia, gdyż umierał z żądzły poznania końca jego historii. Pasterz odpowiedział jak pierwszej, że nie zna jego siedziby, lecz że szalony, czy zdrów, wkrótce się znów pokaże.

## Rozdział XI

O nadzwyczajnych rzeczach, które się przytrafiły błędnemu rycerzowi z Manchy W Sierra Morena i o pokucie, jaką czynił, naśladowując Chmurnego Pięknisia.

Don Kichot pożegnał pasterza, a Sancho spojrzawszy nań spodełba, rycerz wsiadł na konia, a giermek udał się pieszo. Postępowali po najprzykrzejszej drodze. Jakiś czas trwało milczenie, choć Sancho umierał z chęci rezonowania, lecz nie śmiał zacząć, by nie przestąpić rozkazu pana. Widząc wreszcie, że Don Kichot milczy i nie mogąc wytrzymać już dłużej, rzekł:

– Jaśnie wielmożny panie, upraszam waszą dostojność o błogosławieństwo i odpuszczenie, woleę powrócić zaraz do mojej żony i dzieci, z którymi przynajmniej rozmawiać i kłócić się mogę, bo to straszna rzecz, ażebym towarzyszył panu i dniem, i nocą wśród tej pustyni, nie otworzywszy gęby, wolałbym, żeby mnie pogrzebano żywcem. Gdyby Bóg pozwolił zwierzętom mówić, jak to było za czasów Ezopa, rozmawiałbym z Rosynantem o wszystkim, co mi przyjdzie do głowy, i słowa nie gnęłyby we mnie. Na moją duszę! to rzecz nieznośna, chodzić ciągle, szukać przygód, a znajdować tylko ludzi, którzy nas podzuczają, biją kułakami, kamieniami i na domiar wszystkiego mieć gębę zamurowaną jak niemowa.

– Rozumiem cię, Sancho – odpowie Don Kichot – nie możesz utrzymać języka za zębami, przywracam ci wolność mówienia pod warunkiem, że trwać będzie tylko dopóty, dopóki w tych górach będziemy, mów więc, co chcesz.

– Niech już będzie jak chce – rzecze Sancho – przynajmniej teraz nagałam się do syta i korzystając z przywileju, powiedz mi, wasza wielmożność z łaski swojej, jaki interes mogłeś mieć tak gorąco bronić królowej Mascapissy, albo jak tam ją zowią, i co wam to szkodziło, czy ów Helabass był jej kochankiem lub nie; gdybyście nie zważali na to, wariat byłby skończył swoją historię, wy nie dostalibyście kamieniem, a ja nie miałbym brzucha odartego ze skóry.

– Przyjacielu Sancho – odrzekł Don Kichot – gdybyś wiedział tyle, co ja o zacności królowej Madasimy, powiedziałbyś niezawodnie, że byłem nadto cierpliwy, bo nie wyrwałem oszczerczego języka, który ośmielił się wyrzec podobne bluźnierstwo; bo czyż to nie szkaradne bluźnierstwo powiedzieć, że królowa sypia z cyrulikiem? Historyczną jest prawdą, że majster Elisabeth był zręcznym człowiekiem i roztroptym w radzie, że był zarazem rządcą i lekarzem królowej, ale myśleć, że był jej kochankiem, jest potwarzą karygodną, a na koniec widziałeś, że Kardenio nie wiedział, co mówi, gdyż napadł go już wtedy paroksyzm wariacji.

– O panie, a tożem was złapał teraz – zawołał Sancho – jakże mogliście sprzeczać się z wariatem? A gdyby przypadkiem ów kamień trafił was w głowę zamiast w brzuch, ślicznie byśmy wyszli na obronę tej damy, niech ją Pan Bóg sekunduje<sup>94</sup>!

– Sancho – odeprze Don Kichot – tak przeciw szalonym, jak przeciw mędrcom, każdy rycerz błędny powinien bronić honoru dam w ogólności, a cóż dopiero, gdy idzie o królową Madasimę, dla której mam osobliwsze uwielbienie, gdyż nie tylko piękną była, ale nadto pełną mądrości i cierpliwości w nieszczęściach, które ją prześladowały; wtedy to właśnie potrzebowała mądrych rad majstra Elisabeth, który wspierał ją w jej cierpieniach, a złośliwi prostacy sądzili, że oni poufale żyją z sobą, lecz skłamał niegodnie i kłamają teraz ci wszyscy, którym myśl podobna do głowy przychodzi.

– Co do mnie, ani mówię, ani myślę tego – rzecze Sancho – nie mieszać się do spraw cudzych, patrzę się, a jeśli robię głupstwa, to na swój rachunek, ja w swoim młynie mąkę miele, nie sadzam palca we drzwi, bo wiem, że kto się wścibia, często chybia, a czy oni spali razem, czy nie, to mnie ani parzy, ani ziębi. Często myślimy, że w garnku słonina, a tam tylko szumowina.

---

<sup>94</sup> sekundować (z łac. *secundare*) – wspierać, pomagać; wtórować. [przypis edytorski]

– Wielki Boże! – krzyknął Don Kichot – ileż ty głupstw powiedziałeś od razu, jakież związki mogą mieć te prostackie przysłowia z tym, co ja powiedziałem? Pamiętaj sobie raz na zawsze i wryj to sobie we łbie, że wszystko co robiłem, robię i robić będę, stosuje się ściśle do praw rycerskich, które znam lepiej, niż którykolwiek z rycerzy mojego stanu.

– Na dobry ład, panie rycerzu – rzecze Sancho – czyż to prawa rycerskie każą nam włóczyć się po górach, jak zbójcom, bez drogi i ścieżki szukając kogoś, który rozbije do reszty panu głowę, a mnie boki?

– Dość już tego powtarzania – rzecze Don Kichot – dowiedz się, że zamiarem moim jest nie tylko znaleźć tego wariata, lecz zarazem dokonać tu czynu, który zjedna mi sławę pomiędzy ludźmi i uwieczni imię moje pomiędzy całym błędnym rycerstwem przeszłych i przyszłych wieków.

– Czy przedsięwzięcie to niebezpieczne? – zapyta Sancho.

– Nie – rzecze Don Kichot – chociaż rzeczy mogą pójść w ten sposób, że spotkają nas smutne wypadki, wreszcie wszystko zależeć będzie od twojej pilności.

– Od mojej pilności, panie?

– Tak jest, mój przyjacielu – rzecze Don Kichot – jeśli bowiem powrócisz szybko z miejsca, do którego wysłać cię zamierzam, moja pokuta skończy się, a rozpocznie sława. Lecz na cóż mam cię trzymać w nieświadomości, dowiedz się zatem, wierny giermku, że sławny Amadis z Galii był najdoskonalszym błędnym rycerzem w świecie i że ani Bellianis, ani żaden inny, nie mogą iść z nim w porównanie; żaden z nich niegodzien był zostać jego giermkim. Dowiedz się teraz, że malarz, chcąc dość sławy w swej sztuce, stara się naśladować najlepsze oryginały i bierze za wzór dzieła najlepszych mistrzów; to samo powinno być prawidłem dla wszystkich sztuk i umiejętności, tak więc, kto chce naśladować Ulissesa, powinien mieć reputację cierpliwego i rozumnego, jakim go Homer przedstawił. Wirgiliusz w osobie Eneasza daje cudowny przykład pobożności i przywiązania synowskiego, a jednocześnie roztropności dzielnego wodza, bo każdy tworzy swego bohatera nie takim, jakim jest, lecz jakim być powinien; dlatego też Amadis, będąc gwiazdą i słońcem walecznych i zakochanych rycerzy, powinien być naśladowany przez nas, którzy walczymy pod sztandarami miłości i błędnego rycerstwa. Tak więc rycerz błędny powinien naśladować jak najlepsze jego czyny, a czyż jest czyn większy nad ten, że Amadis, dając dowód mądrości i męstwa, stałości i miłości, oddalił się na ubogą skałę i tam czynił pokutę pod imieniem Chmurnego Piękniśia, a ponieważ nierównie łatwiej mi jest naśladować go w pokucie niż w walce z olbrzymami, w rozcinaniu węzów, zabijaniu gryfów, rozbijaniu armii całych, rozpraszeniu flot i w zwyciężaniu czarnoksiężników, i gdy zresztą to dzikie miejsce dogodnie odpowiada memu zamiarowi, nie chcę tracić tak pięknej sposobności.

– Cóż to więc, panie – rzecze Sancho – zamyślacie czynić na tej pustyni?

– Nie powiedziałem ci – odpowie Don Kichot – że chcę naśladować Amadisa? Będę tu szalał, rozpaczał, wściekał się, naśladowując również walecznego Rolanda, który, dowiedziawszy się, że Angelika została podle wydaną Medorowi, oszalał ze zmartwienia i wyrwał drzewa, mącił wody w źródłach, rozpraszał trzody, mordował pasterzy, palił ich chaty i czynił sto tysięcy innych jeszcze szaleństw, godnych wiekuiestej pamięci, a jakkolwiek nie myślę naśladować Rolanda, Orlanda albo Rotolanda (gdyż miał te wszystkie imiona) we wszystkich jego szaleństwach, chcę wybrać przynajmniej najcelniejsze. Być może, że poprzestanę jedynie na naśladowaniu Amadisa, który, nie robiąc szaleństw niszczących i krzyczących, pozyskał nieśmiertelną chwałę.

– Zdaje mi się, panie – rzecze Sancho – że rycerze, czyniący te szaleństwa i pokuty, mieli do tego powody, ale wy z jakiejże przyczyny chcecie zostać wariatem, któraż dama pogardziła wami? jakież dowód macie, że pani Dulcynea z Toboso zrobiła jakie głupstwo z Maurem lub chrześcijaninem?

– Właśnie dlatego – zawoła Don Kichot – w tym leży cała subtelność mego pomysłu. Błędny rycerz staje się wariatem bez przyczyny i racji, w tym właśnie węzeł gordyjski, ażeby stracić zmysły bez potrzeby i tym sposobem pokazać mojej damie, do czego jestem zdolny w potrzebie. Zresztą

długie oddalenie od nieporównanej Dulcynei nie daje mi do tego powodów? Nieobecność rodzi niepokój i obawę; tak więc, przyjacielu Sancho, nie trać czasu, aby odwieść mnie od chwalebego przedsięwzięcia, jestem i będę wariatem, dopóki nie powrócisz z odpowiedzią na list, który poniesiesz pannie Dulcynei. Jeśli ją znajdę godną mojej wierności, powrócę do zmysłów i zrzeknę się pokuty, lecz jeśli nie będzie łaskawą, pozostanę pełnym wariatem i w tym stanie nic czuć nie będę. W każdym więc razie wyjdę szczęśliwy; ale, ale, Sancho! czy uratowałeś szyszak Mambryna? Spozrzegłem, że go podniosłeś w chwili, gdy ten łotr niewdzięczny usiłował rozbić go na kawałki. Co się z nim stało?

– Przez Boga żywego! panie Rycerzu Posępnego Oblicza – wykrzyknął Sancho – nie mogę ścierpieć mowy takiej, bo wnoszę z niej, że wszystko, co mi bajecie o rycerskości, o zdobyciu królestw i cesarstw, o darze wysp i innych nagród, wedle zwyczaju błędnych rycerzy, że to wszystko jest pełnym kłamstwem, bo jakżeż u diabła! (Boże, przebacz!) można słuchać mówiącego, że miednica golibrody jest szyszakiem Mambryna i widzieć, że ktoś nie wychodzi z błędu przez cztery lub pięć dni, trzebaż go już mieć za wariata koniecznie! Mam ci ja miednicę w swoim tłumoku, cała pogięta, pokrzywiona, każę ją naprawić, aby służyła do golenia brody, jeżeli Bóg pozwoli mi kiedykolwiek powrócić do żony i dzieci.

– Na imię nieba, Sancho – rzecze Don Kichot – jesteś najgłupszy z giermków, jacy kiedykolwiek żyli na świecie. Czy podobna, ażeby tak długo będąc już ze mną, nie widzieć, że wszystkie sprawy błędnego rycerstwa, wyglądają jak chimery, jak szaleństwa, że wszystko wydaje się pierwotne, nie żeby tak było w istocie, lecz że między nami krąży ciągle gromada czarnoksiężników, którzy czarują wszystko wedle upodobania. Dlatego to, co ja biorę za szyszak Mambryna, tobie zdaje się być miednicą golibrody, a komu innemu czym innym wydać się może jeszcze. Jest to łaska Opatrzności dla mnie, że szyszak ten jak miednica wygląda, gdyż posiadając w naturalnym kształcie rzecz tak kosztowną, musiałbym o nią ciągle staczać walki. Schowaj go, drogi przyjacielu, Sancho, na teraz nie potrzebuję szyszaka, muszę rozbroić się zupełnie i będę chodził nago, jak gdybym dopiero z łona matki wyszedł, chyba, że zamiast Amadisowej, naśladować będę Rolanda pokutę.

Kończąc tę rozmowę, znaleźli się u stóp wysokiej skały i jakby umyślnie od innych odosobnionej; strumyk, biegnąc powoli po wzgórzu i wijąc się, skrapiał łąkę otoczoną skałami. Świeża zieloność ziół, ilość drzew dzikich, rośliny i kwiaty, którymi skała była okryta, czyniły to miejsce najprzyjemniejszym w świecie. Ustron ta podobała się nadzwyczajnie Rycerzowi Posępnego Oblicza, wybrał więc ją do pokutowania i objął w posiadanie tymi słowy:

– O nieba! – wołał – otóż jest miejsce, które wybieram, aby opłakiwać smutny stan, do którego mnie przywiedziono. Chcę, aby łzami mymi wezbrały wody tego strumienia, aby moje nieustanne westchnienia wiecznie poruszały liśćmi i gałęziami tych drzew, na okazanie całemu światu strasznej zgryzoty i zadziwiającej troski, którymi napełnione jest serce moje. O wy, ktokolwiek jesteście, burzliwi bogowie, mieszkańcy tej pustyni! słuchajcie skarg nieszczęśliwego kochanka, którego długa nieobecność i zazdrość wymarzona przywiodły w te smutne miejsca, aby opłakiwać los okrutny i swobodnie skarżyć się na zatwardziałość ślicznej niewdzięcznicy, w której niebo zgromadziło wszystkie piękności ludzkiej powaby. O wy! nimfy gór i wy driady, co rade zamieszkujecie dzikich gór ustronia (bądźcie zabezpieczone od Satyrów, którzy mieszkają wasz spoczynek), wspierajcie mnie w lamentach moich lub przynajmniej nie dajcie mnie samemu ich słyszeć. O Dulcyneo z Toboso, ty słońce dni moich i księżycu mych nocy, chwało moich cierpień, stello moich podróży, gwiazdo moich przygód. Oby niebo dawało ci zawsze nieprzebrane szczęścia zdroje. Zaklinam cię, miej litość nad smutnym stanem, w jaki mnie wtrąciła okrutna nieobecność twoja, i niech twe serce uczuje litość dla stałej czci mojej. O wy, posępne i samotne drzewa, co towarzyszyć mi będziecie w opuszczeniu moim, upewnijcie mnie słodkim szmerem waszych liści i lekkim drganiem waszych gałęzi, że obecność moja jest wam przyjemną, i ty, mój drogi giermku, kochany i przyjemny towarzyszu przygód moich, uważaj pilnie na wszystko, co czynić będę, nie zapominając najmniejszej rzeczy, abyś mógł to opowiedzieć tej, dla której to czynię. O ty, Rosynancie! który nierozłącznie towarzyszyłeś mi

wszędzie, służąc mi wiernie nie tylko w pomyślności, lecz i w niefortunnych dniach moich, ty, co podzielałeś zawsze szczęście i niedolę moją, przebac mi, że obecnie na samotność skazuję się i wierz mi, że z boleścią cię opuszczam!

To powiedziawszy, zsiadł na ziemię, zdjął szybko siodło i uzdeczkę z konia i klepiąc go po grzbiecie, rzekł doń, wzdychając:

– Ten, który stracił wolność, tobie ją powraca. O koniu! równie znamienity wielkimi czynami swymi, jak nieszczęśliwy w posepnym losie, idź, gdzie cię nogi poniosą. Poznają cię wszędzie, bo nosisz napisane na wzniosłym czole swoim, że nawet hipogryf Astolfa, ni sławny Frontin, tak drogo zapłacony przez Bragamanta, nie dorównałyby nigdy twojej lekkości i sile.

– Przeklęty bądź stokroć – w tym miejscu przerwał Sancho – ty, co pozbawiłeś mnie rozkoszy rozkulbaczenia mego osła i mnie by nie zabrakło przekleństw dla niego, ni słów pięknych na jego chwałę. Lecz z tym wszystkim, chociażby i był tu biedny osiołek, po cóż miałbym mu zdejmować siodółko, cóż on ma mieć wspólnego z wariacją zakochanych i desperatów, kiedy ja, pan jego, nie byłem ani jednym, ani drugim? Lecz powiedzcie mi, panie, czy moja podróż i wasze obłąkanie są już prawdziwe, a jeśli tak, to by było nieźle osiodłać tego Rosynanta znów, ażeby zastąpiwszy osła, ułatwił mi podróż i przyśpieszył powrót w tę stronę, gdyż jeśli przyjdzie mi iść piechotą, nie wiem, kiedy przybędę i kiedy powrócę, bo po prawdzie lichej ze mnie piechur.

– Rób jak chcesz, Sancho – odpowiedział Don Kichot – zdaje mi się, że masz słuszność, wreszcie dopiero za trzy dni pojedziesz. Zatrzymuję cię przez ten czas jeszcze, ażebyś widział, co czynię dla mojej damy i wiernie jej o tym doniósł.

– A cóż ja mogę więcej zobaczyć nad to, co już widziałem? – rzecze Sancho.

– Daleki jesteś od prawdy – odrzekł Don Kichot – potrzeba, ażebym rozdarł szaty, rzucił zbroję, ażebym zeskoczył ze skały na głowę i tysiąc podobnych a zadziwiających czynił rzeczy.

– Na miłość Boską, panie – rzecze Sancho – strzeż się pan skakać z wysoka, możesz uderzyć głową w takie miejsce, że od pierwszego razu skończysz pokutę, a według mego zdania, jeżeli te podskoki są konieczne, wypadałoby przestać (ponieważ tylko naśladowanie pokuty) na naśladowaniu i skakać w wodę lub na materace, a ja mimo to powiem pani Dulcynei, że się wasza wielmożność rzuciłeś głową na skałę ostrą i twardą jak żelazo.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.